



- **Bob Dylan**
– większy od Nobla
- Nowy wariant „American Psycho”
- Tajemniczy bestseller retro



**WYSOKIE
OBCASY**
Diagnoza była
trochę za późno



MAGAZYN

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Ciasne i co z tego?

Zaprzyżądniam się z małym mieszkaniem ▶ 6

FOT. GETTY IMAGES, REUTERS/MIKE BLAKE

GAZETA **wyborcza**

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X



0 9 >

9 770860 908167

**Duda
u Trumpa**
Tak Sakiewicz idzie
po władzę? ▶ 12

**Izrael,
państwo
rasistowskie**
▶ 14

**Dlaczego ani
jeden Piast**
nie został
świętym ▶ 44



Nasz Culkin
w Hollywood
oraz parę imb
Przewodnik po
Oscarach ▶ 28-31



Sobota-czwartek, 1-6 marca 2025 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 50.10847, 1

Nakład 76 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

KRAJ/34359246



**Projektujesz, realizujesz, działasz
na rzecz szczęśliwych sąsiedztw?**

Weź udział w konkursie:
Wyborcza.pl/zplkonkurs

**NAGRODA
20 TYS. ZŁ!**

ZAPROJEKTOWANE
POŁUDZKU

✓ SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR

wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY

otodom

REKLAMA



REACH FOR THE CROWN





THE DAY-DATE



Jarosław Mikołajewski

Dobry człowiek, a jaki papież?

Ciężka choroba papieża zawsze jest ważną wiadomością, głównie ze względu na nasze przywiązanie do widomych form jego obecności. Żal nam, bo przez ileś lat widzieliśmy, jak chodzi, jak gestykuluje, słyszeliśmy, jak mówi, akcentuje, wygłupialiśmy się, wypowiadając pontyfikalne formuły (np. Carissimi fratelli e sorelle) z hiszpańskim akcentem, jak za poprzednich papieży z niemieckim czy polskim.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to dość wstrętnie dla ludzi, którzy uznają papieża za autentycznego przewodnika ich życia. Mnie to nie dotyczy. Nawet ten papież nie odwiódł mnie od poczucia, że żaden kapłan nie jest mi potrzebny do życia doczesnego ani wiecznego. Lecz to za tego pontyfikatu rozstałem się z nadzieją, że któryś z papieży okaże się skutecznym, wrzliwym i silnym reformatorem instytucji.

Serce skakało mi do gardła, kiedy Jorge Bergoglio przybrał rewolucyjne imię Franciszek (imię solidarności i skromności z wyboru). Zaszlochałem, kiedy ujawniono, że afrykańskim biedakom, którzy przyплыли na Lampedusę, kazał rozdawać karty telefoniczne, żeby mieli jak zadzwonić do domów i powiedzieć, że żyją. Imponowało mi, że nie zamieszkał w Pałacu Apostolskim, lecz w domu świętej Marty, gdzie mógł zamienić dwa słowa z ludźmi mającymi coś wspólnego z prawdziwym życiem.

Staralem się – bez skutku – o wywiad. Napisałem z Adamem Michnikiem list otwarty, publikowany w „Wyborczej” i „La Repubblica” o nędzy Kościoła w Polsce. Bardzo żalowałem, że owszem, powołał radę czy komi-

sję do spraw pedofilii, zwolnił kilka osób, lecz nie wypenił arogancji, nienawiści i politycznych ambicji hierarchów. Wciąż słyszałem, że to nie takie proste, że proces jest żmudny. A przecież tak chciałem, żeby Franciszek zajął szybkie stanowisko wobec roli, jaką odgrywa Radia Maryja, wobec kazań antyaborcyjnych podczas pogrzebów i propagandy prawicowej w kościołach, wobec faszyzacji obrzędów religijnych...

Ale powiadam: był ten papież człowiekiem słusznego porwy. Sprawiedliwego gniewu. Wzgardy dla blichtru. Póki żyjesz, Ojciec Święty, dziękuję Ci za wrażliwą encyklikę „Laudato si’”, w której rozmawiasz z nami o lirycznej wiedzy, jaką Kościół ma na tematy intymne – o rozmowie, w jakiej jesteśmy od narodzin świata, z drzewami, powietrzem, wilkami. Bo przecież wiecie w tym swoim Kościele, że drzewa i łąki będą zbawione. Wiecie, że kobiety muszą być w swoich decyzjach bezgranicznie wolne. Że miłość szuka i znajduje swój wyraz bez ingerencji funkcjonariuszy. Że wiara to również niewiara, że ludziom nie trzeba kazać, trzeba z nimi być.

Choruje właśnie dobry człowiek, którego znamy. Odwiedziłbym go, gdyby pozwalały na to protokoły. Żeby go pogłaskać po dłoni. Po twarzy. ●

Andrzej rysuje



Londyn Krzywda ziemian



Brytyjscy farmerzy protestują przeciwko nowemu podatkowi spadkowemu. Od 2026 r. dziedziczący ziemię uprawną wartą powyżej miliona funtów zapłacą 20 proc. To połowa standardowej stawki, która dotknie do 500 osób, ale manifestacje z udziałem celebrytów – m.in. Jeremy'ego Clarksona – gromadzą tysiące rolników.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat tygodnia

Paląc porannego papierosa, rozmyślałem nad tym, że jestem wielkim zboczeńcem. I jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy



Z PAMIĘTNIKI JOELA LE SCOUARNEC'AR

We Francji zaczął się proces chirurga, który wykorzystał 300 dzieci

Więcej ► Wysokieobcasy.pl

Nika, Domen, Peter i Cene Prevc Fruwająca rodzina

Nika jest Słowenką, ma 19 lat i w rodzinnym domu całą kolekcję medali z największych imprez. Z trwających w Trondheim mistrzostwach świata w narciarstwie klasycznym może przywieźć kolejne.

Dotychczasowe medale przewozili jej bracia, zwłaszcza najstarszy i najsłynniejszy, 32-letni dziś Peter. On zakończył już karierę, podobnie jak Cene, wciąż skacze za to – z powodzeniem – Domen. Przez lata bracia stanowili trzon reprezentacji Słowenii, na ostatnich igrzyskach w Pekinie Peter i Cene wywalczyli srebro w męskim konkursie drużynowym i złoto w konkursie mieszanych.

Nika miała wtedy 15 lat i dawała znać, że jej talent wykracza poza to, co prezentowali starsi bracia. – Skokami zaczęłam się ekscytować, gdy rodzice oglądali Petera w telewizji, więc to on jest moim idolem i wzorem – opowiadała dziennikarzom. Rok później wywalczyła pierwszy medal mistrzostw świata juniorów, w następnych latach dołożyła sześć kolej-



nych, w tym trzy złote. W ubiegłym sezonie wygrała klasyfikację generalną Pucharu Świata, w tym jest zdecydowaną liderką. Trudno wyobrazić sobie, by nie dominowała też w Trondheim.

Ojciec, Božidar, wytwarza meble i sędziuje – skoki narciarskie. – Rodzice i dziadkowie to ludzie bardzo aktywni, wszyscy kochają sport. Nie można odziedziczyć czegoś takiego jak talent do skoków, ale można takie cechy jak wytrwałość, ambicja czy miłość do adrenaliny – opowiada Nika. ●

Marcin Wesolek

Cena bezpieczeństwa

PRAWIE

800

MARTWYCH
ZWIERZĄT



w tym ok. 440 kręgowców naliczyli biolodzy badający wpływ budowy muru granicznego na Puszczę Białowieską w latach 2022-23.

W ciągu raptem 50 dni i na jednej tylko drodze biegnącej wzdłuż rezerwatu – a wojsko i budowlancy (bo zaporą jest modernizowana) wciąż wykorzystuje ich setki. Na innej z dróg zliczono uszkodzone drzewa: 30 na kilometr.

Więcej ► Wyborcza.pl/nauka

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wybory w Niemczech a sprawa polska

Ciepły wiatr zza Odry

Ze Scholzem chemii nie było. Z Merzem będzie?

Wielński



Chociaż Donald Tusk pochodzi z hanzeatyckiego Gdańska, a Olaf Scholz z hanzeatyckiego Hamburga, nie potrafili się dogadać. Jak polskiemu premierowi ułożyć się z Friedrichem Merzem? Czy półtora roku po zmianie rządu w Warszawie stosunki polsko-niemieckie uda się wreszcie naprawić? Na razie z Berlina płyną dobre sygnały. W grudniu Merz jako szef CDU (razem z PO należy do Europejskiej Partii Ludowej) i kandydat na kanclerza przyjechał do Warszawy. Rozmawiali z Tuskiem dobrą godzinę.

Przypomniało mi się podobne spotkanie sprzed 19 lat. Latem 2005 roku, również miesiąc przed wyborami, do Warszawy przyjechała ówczesna szefowa CDU Angela Merkel i też spotkała się z Tuskiem, przywódcą PO, który wówczas walczył o prezydenturę. Wtedy spotkanie miało rytualny charakter. Merkel chciała zapunktować kosztem socjaldemokratycznego kanclerza Gerharda Schrödera, który usilnie stawał na relacje z Rosją. Zapowiedziała, że latając do Moskwy jako kanclerz, będzie łądować w Warszawy. Obietnicy nie dotrzymała.

Tusk, rozmawiając z przyszłą kanclerz, pokazywał wyborcom, że potrafi poruszać się w polityce zagranicznej. Wątek niemiecki szybko się zemścił. Dwa tygodnie po spotkaniu z Merkel Jacek Kurski odpalił słynną kłamliwą opowieść o „dziadku z Wehrmachtu”.

Przyjazd Merza do Tuska też dawał punkty w kampanii – tym razem gościowi – ale rytualny nie był. Nie każdy chadecki polityk walczący o władzę w Europie zostałby w Warszawie przyjęty z takimi honorami. Tusk to w końcu zawodnik pierwszej ligi, a jako ten, który pokonał w wyborach populistów – symboliczna figura wśród europejskich demokratów.

Z gościem rozmawiali o wojnie w Ukrainie, konsolidacji Europy przeciwko Rosji, o powyborczej sytuacji w USA. I o tym, co Polska i Niemcy mogą zrobić razem, gdy Merz przejmie władzę.

Kolejny dobry sygnał z Berlina nadszedł pod koniec stycznia. Merz zapowiedział, że będzie zabiegał o nowy traktat polsko-niemiecki o przyjaźni. Obowiązujący podpisano w 1991 r., w zupełnie innych realiach, gdy Polska dopiero wychodziła na prostą po obaleniu komunizmu. O partnerskich relacjach z Berlinem (a właściwie z Bonn, bo rząd zjednoczonych Niemiec urzędował jeszcze na Zachodzie) nie było mowy. Niemcom zrozumienie Polski przychodziło wtedy z dużym trudem. – Będziemy traktować naszego sąsiada na Wschodzie z szacunkiem, a ze względu na naszą pełną zwrotów historię, z empatią – mówił Merz, zapowiadając nowy traktat i proponując, by podpisać go w czerwcu przyszłego roku, w 35 rocznicę podpisania obowią-

zującej obecnie umowy. Pośpiech być może wynika z tego, że na podobny pomysł wpadł Emmanuel Macron, a prace nad nowym traktatem polsko-francuskim są bardzo zaawansowane. Dokument ma już nazwę: „traktat z Nancy”, od stolicy Lotaryngii, gdzie jako ostatni książę w XVIII w. rządził Stanisław Leszczyński, wygnany z kraju król Polski.

W ostatnim czasie relacje Warszawy i Paryża są o wiele bliższe niż Warszawy z Berlinem. Niemców to zaczyna niepokoić. Merz chce temu przeciwdziałać. Po wyborach zapowiedział, że po wyborze na kanclerza (w Berlinie mówi się, że nowy rząd powstanie do Wielkanocy, ale mogą to być pobożne życzenia), po-leci do Paryża i do Warszawy.

To całkiem miła tradycja zapoczątkowana na początku XXI w. przez ówczesnego prezydenta Niemiec Horsta Köhlera. Na niezbyt długo.

Polsko-niemieckie dewastował z pełną premedytacją PiS. Polska germanofobia okazała się kopalnią politycznego złota, a „dziadek z Wehrmachtu”



przylepił się do Tuska na stałe. Im było plugawiej, tym lepiej. Gdy PiS wrócił do władzy w 2015 r., działacze partii wrzucali na swoje media społecznościowe nawet fotomontaże z jego twarzą doklejoną do munduru SS. A gdy PiS władzę w 2023 r. stracił, Jarosław Kaczyński z sejmowej mównicy ogłosił, że Tusk jest niemieckim agentem.

Obraz, jaki wylaniał się z propagandowych przekazów: działania Niemiec, najważniejszego partnera handlowego polskiej gospodarki i sojusznika z NATO, którego dywizje mają bronić Polski na wypadek rosyjskiego ataku, to dla Polski egzystencjalnie niebezpieczeństwo. To miał na myśli główny ideolog PiS prof. Zdzisław Krasnodębski (notabene emerytowany profesor Uniwersytetu w Bremie), mówiąc, że większe zagrożenie, niż ze wschodu, czyha na Polskę z zachodu. Według propagandy wylewającej się z socjal mediów i przejętej TVP, na gruzach UE miała powstać IV Rzesza. Polska poddana landyzacji – tak propagandyści rządzącej prawicy deformowali postulat decentralizacji Polski – miała stracić suwerenność, a na jej terenie ludność polskiego pochodzenia wymieszać się z migrantami z Afryki oraz Azji.

Z roku na rok kolejni politycy PiS zakładali antyniemieckie maski. Włącznie z premierem Mateuszem Morawieckim, który w przeciwieństwie do Tuska mówi biegle po niemiecku, studiował w Niemczech, a nawet odbył staż w niemieckim banku centralnym, gdzie nie zatrudnia się ludzi z ulicy. Jako polityk pielęgnował kontakty z dzia-

łaczami niemieckiej chadecji, w kuluarowych rozmowach w Brukseli chwalił przywództwo Merkel w Europie i chował się za jej spódnicą, gdy Polskę atakowano za niszczenie praworządności i demokracji. Bo Merkel – w imię ratowania jedności Europy – hamowała pomysły Skandynawów czy Holendrów, by Polskę postawić pod prężerem za dewastującą wymiar sprawiedliwości działalność Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobro.

Dopiero gdy Morawiecki wracał z Brukseli do Warszawy, przełączał się na nienawistny partyjny przekaz. Być może dlatego potajemnie nagrywany wiceminister sprawiedliwości, Ziobrysta Michał Romanowski zastanawiał się, czy premier rządu PiS nie jest niemieckim agentem.

A Kaczyński przyspieszał. W 2022 r. po napaści Rosji na Ukrainę ogłosił, że za wojnę współodpowiadają Niemcy, bo kupowały tłoczony gazociągiem Nord Stream rosyjski gaz (choć to paliwo od Rosji kupowała cała Europa, w tym Polska, która dodatkowo uzależniła się od rosyjskiego węgla). A potem Kaczyński zażądał 6 bln – tak, bilionów

Przyszły kanclerz zapowiada nowy traktat polsko-niemiecki o przyjaźni. Chce go szybko, być może dlatego, że na podobny pomysł wpadł Macron

– złotych reparacji za straty i zniszczenia podczas okupacji.

Wydawało się, że po zmianie rządu sytuacja na linii Warszawa-Berlin błyskawicznie się poprawi, tak jak w 2007 r., gdy Tusk zastąpił Kaczyńskiego. Tak przynajmniej wydawało się Niemcom. Nic takiego się nie stało. Z ich winy.

Kanclerz Olaf Scholz był dość gruboskórnym politykiem. Nie miał charyzmy, w przeciwieństwie do poprzedniczkę nie miał też żadnego emocjonalnego stosunku do Polski. Więc dyplomaci po obydwu stronach Odry próbowali zbliżyć go z Tuskiem po linii hanzeatyckiej. Do Hanzy należał jego rodzinny Hamburg, tak jak Gdańsk – rodzinne miasto Tuska. Hanzeatyccy mieszcianie – tej świadomości poza Gdańskiem w Polsce nie ma – to ludzie solidni i rzetelni. Jak coś obiecują, to dowożą. Na takim fundamencie można było budować zaufanie. W pewnym momencie wydawało się, że to się uda.

W marcu zeszłego roku Tusk w pośpiechu leciał do Berlina na improwizowany szczyt Trójkąta Weimarskiego. Lecił godzić Scholza i Macrona, którzy nie potrafili przełamać impasu w sprawie pomocy dla Kijowa i polityki obronnej Unii. Macron zdenerwował Niemców, mówiąc o możliwości wysłania wojsk NATO do Ukrainy. Co prawda wzbierał się przed kupowaniem za unijne pieniądze sprzętu wojskowego i amunicji dla Ukrainy poza Europą i to Niemcom z ich przemyśłem zbrojeniowym mogło się podobać – ale nie przy-

padł im do gustu pomysł rozszerzenia ukraińskiego arsenału o rakiety dalekiego zasięgu. Mediacja Tuska okazała się sukcesem, Francuz i Niemiec poszli na kompromisy. Zaczęto nawet przymierzać się do szczytu Trójkąta Weimarskiego w Gdańsku... Ale poprawa relacji z Niemcami zaraz się zatrzymała.

Scholz przyjechał na polsko-niemieckie konsultacje międzyrządowe bez propozycji współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, na czym Warszawie szczególnie zależało. A pomysł rozwiązania sprawy reparacji z pomocą 200 mln euro dla kilkudziesięciu tysięcy żyjących ofiar wojny w Polsce odebrano jako niedorzeczność stawiającą rząd w niezręcznej sytuacji. Bo choć niedorzecznością była cała awantura o reparacje, to temat już stał się częścią politycznej agendy – i PiS mógł go dalej rozgrywać: myślny bili się o bilion euro i godność, a Tuskowi Niemcy oferują śmieszny ochlap, bo wiedzą, że chodzi na pasku Berlina.

Zgrzyty miało wyglądać spotkanie premiera z kanclerzem. Ale do niego nie doszło, bo latem Niemcy walczący z nielegalną imigracją wprowadzili kontrole na swoich granicach – o czym Scholz nie uprzedził Tuska. A w październiku nie zaprosił go na spotkanie z Joe Bidenem, który przyjechał do Berlina, choć miejsca przy stole rozmów zaoferował Macronowi i premierowi Wielkiej Brytanii Keirowi Starmerowi. W taki sposób nie dało się budować zaufania.

Ale otoczenie Scholza było zdziwione chłodem z Warszawy. Niemcy byli przekonani, że po utracie władzy przez PiS relacje z Polską automatycznie wrócą do poziomu z 2015 roku. A właściwie do jeszcze wcześniejszego punktu, gdy Tusk zostawał szefem Rady Europejskiej. Nie chcieli zauważyć, jak mogą być odbierane ich własne gesty oraz ich brak. Oraz jak zmieniły się polityczne okoliczności.

Otóż Tusk radzi sobie z pisowskimi atakami, stosując aikido. Wykorzystuje siłę przeciwnika przeciwko niemu. PiS rozkręca kampanię, że Tusk sprowadzi do Polski migrantów – Tusk zaostrza politykę migracyjną i zapowiada, że skuteczniej będzie chronić granic Polski niż PiS. PiS straszy, że Tusk będzie popychadłem Brukseli – Tusk odrzuca zapisy paktu migracyjnego, kontestuje Zielony Ład i można wręcz odnieść wrażenie, że szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen pracuje dla niego. PiS na chama straszy Niemcami – Tusk trzyma wobec Berlina dystans.

Nie tylko dlatego, żeby pokonać PiS własną bronią. Po prostu Polska już nie jest zdana tylko na Berlin czy Paryż. Bardzo dobrze rozwijają się relacje z państwami bałtyckimi i nordyckimi, które tak jak my czują bezpośrednie rosyjskie zagrożenie i które – w odróżnieniu od Niemiec – nazywają rze-czy po imieniu, szykując na ewentualną wojnę. Ta grupa dziewięciu państw może wyznaczać kierunek polityki bezpieczeństwa całej wspólnoty, zwłaszcza w czasie, gdy na USA pod rządami Trumpa nie można w pełni polegać.

Więc Merz wie, że nie może popełniać błędów Scholza i przyjeżdżać do Warszawy z pustymi rękami. ●

Bartosz T. Wielński

ZAWSZE BRAKUJE nam POKOJU

Może 25 metrów kwadratowych wystarczy i powinniśmy nauczyć się na nich mieścić?

Natalia Mazur

Aby efektywnie wykorzystać przestrzeń, postanowiono wprowadzić system selekcji lokatorów oparty na wzroście. Przyjęto założenie, że osoby niższe nie potrzebują pomieszczeń wysokich na 2,5 m. Przeznaczone są dla nich lokale na wyższych kondygnacjach, z niższymi sufitami, ale – coś za coś – mniejsza kubatura jest tańsza do ogrzania, niżsi płacą mniej. „Taki system sprawia, że wysokość czynszu jest dopasowana do realnych potrzeb lokatorów – sprawiedliwa i efektywna”.

Ta koncepcja ma tytuł „Piramida wzrostowa”. Są i inne pomysły.

W mierzącym 10 m kw. mieszkaniu obniżono sufit w łazience – stał się on podłogą antresoli, na której leży dwuosobowy materac.

Niespełna 40-metrowe mieszkanie podzielono na dwa – niestety tak, że trzeba było rozdzielić jedyne okno ścianą. Klamka znajduje się w lokalu o wyższym standardzie.

Ale jest też mieszkanie w ogóle bez okien, doświetlone dzięki szklanym drzwiom prowadzącym na klatkę schodową, nad którą, zgaduję, znajduje się świetlik. Mierzy 9,6 m kw. Podziwiam sprytnie rozwiązanie w łazience: chcąc skorzystać z toalety, przeskoczyć trzeba brodzik.

Studenci z politechnik Warszawskiej, Wrocławskiej i poznańskiego Uniwersytetu Artystycznego opracowywali scenariusze rozwoju rynku mieszkaniowego. Tu wyobrażali sobie rynek bez regulacji.

Bo regulacje zanikają.

25 m i kropka

W PRL normy budowlane dokładnie określały, ile metrów ma przypadać na jaką liczbę osób. Gdy tylko Polska podniosła się z powojennych zniszczeń, państwo zaczęło wprowadzać standardy. Po 1959 r.

M1 musiał mieć między 17 a 20 m kw., M2 – 24-30 m kw., M4 – 42-48 m kw., M7 – 71 m kw.

Gierek był hojniejszy od Gomułki. W dawnym M4 widział miejsce dla trójki, dla czteroosobowej rodziny przewidywał 56-61 m kw., dla piątki – 65-70 m kw, a dla szóstki – nawet 85 m kw. Deficyt był oczywiście ogromny i koniec końców każdy mieszkał w tym, co zdobył, ale przynajmniej precyzyjnie wiedział, o czym może pomarzyć.

W 1994 r. normy opisujące M1, M2 itd. zamieniono innymi. W mieszkaniu musiało się znajdować przynajmniej jedno pomieszczenie o powierzchni 16 m kw., sypialnia jednoosobowa musiała mieć 2,2 m szerokości, dwuosobowa – 2,7 m (by kładąc się spać, dało się obejść łóżko, a nie skakać nad śpiącym partnerem), a kuchnia – 1,8 m. Coraz więcej do powiedzenia miała niewidzialna ręka rynku.

Mieszkania największy rozmiar osiągnęły w 1997 r. i od tego czasu się kurczą. Pokazywała to wystawa „Produkt mieszkanie”, na której oglądałam opisane wyżej studenckie projekty. I o tej wystawie, i o malejących mieszkaniach pisała w „Wyborczej” Maria Korcz. W 1997 r. średnie mieszkanie w Warszawie miało 82,7 m kw., ćwierć wieku później: 56,9 m kw. (i to z uwzględnieniem domków jednorodzinnych).

W 2018 r. znikły nawet zapisy o szerokościach pomieszczeń. Mieszkanie musi mieć nie mniej niż 25 m kw. I kropka. Gdzie jest granica między niezbędnym do funkcjonowania minimum a patologią ciasnotą? Może 25 m kw. wystarczy i powinniśmy – niezależnie od liczby osób – nauczyć się na nich mieścić?

Śmiesz was półkotapczan?

Uwagę aktywistów skupiają mikrokawalerki. Są ciekawe, egzotyczne, fotogeniczne. W małym, przeludnionym mieszkaniu ekwilibrystyki wymaga nie ustawienie lodówki, ale organizacja codziennego życia. Półkotapczan, w którym trzeba sprzątnąć blat,

by się położyć spać, nie jest nawet w ćwierci tak śmieszny jak prysznic oddzielony firanką od spąnia czy toaleta schowana pod biurkiem, nie da się na nim zbić kapitału lajków.

Mikrokawalerki to margines. 2 proc. rynku sprzedaży, 6,5 proc. rynku najmu (dane Property.io z III kwartału 2023 r.). W przeludnionych mieszkaniach żyje 36 proc. Polaków.

W 2024 r. przeciętne kupowane w Polsce mieszkanie miało 54 m kw. Najmniejsze mieszkania – 52 m kw. – kupowaliśmy w 2022 r. – wynika z najnowszego raportu „Szczęśliwy dom” przygotowanego przez Otodom. „Jednak już dziś wiemy, że malejąca powierzchnia mieszkań kupionych przez Polaków w ostatnich latach była przede wszystkim efektem ograniczeń finansowych, a nie gwałtownych zmian preferencji i postaw”.

A gdy państwo weźmie w garść niewidzialną rękę rynku? W pierwszym osiedlu zbudowanym w ramach pisowskiego programu „Mieszkanie plus” w Siedleminie pod Jarocinem rodziny z dzieckiem dostawały mieszkania 35 m kw., a te z trójką – 55 m kw.

Gdyby mieszkania miały odpowiadać na potrzeby mieszkańców, jaki powinny mieć metraż?

Zamiast drugiego pokoju – wersalka

– Brytyjczycy, gdy adoptują dziecko, muszą wykazać, że mają dla niego osobną sypialnię. Popularne w Szwajcarii spółdzielnie mieszkaniowe też liczą pokoje. Parze z dwójką dzieci przysługuje salon i trzy sypialnie, a gdy jedno z dzieci wyprowadzi, rodzina musi się przenieść do lokum o jeden pokój mniejszego – mówi Hanna Milewska-Wilk, specjalista ds. mieszkalnictwa. – W Polsce opieka społeczna wymaga od rodziców adopcyjnych odpowiednich warunków mieszkaniowych. Ale te nigdzie nie są opisane.

Podpowiedzią mogą być kryteria Eurostatu, z których urząd korzysta, mierząc przeludnienie. Otóż mieszkanie jest nieprzeludnione, jeśli swo-





• **Jakub Szczęsny, architekt:**
– **Pamiętajmy, że mieszkanie to początek rozmowy, bo w dobrze zaprojektowanym mieście nie musi być ono duże. Po Saskiej Kępie jeżdżę rowerem, pieszo chodzę do pracy, pod nosem mam przystanek**

FOT. SHUTTERSTOCK

chitekt. – No i pamiętajmy, że mieszkanie to początek rozmowy, bo w dobrze zaprojektowanym mieście nie musi być ono duże. Po Saskiej Kępie jeżdżę rowerem, pieszo chodzę do pracy, pod nosem mam przystanek. Co z tego, że miałbym apartament na Tarchominie, skoro na co dzień musiałbym jeździć samochodem i posyłać dzieci do dwuzmianowej szkoły lub płacić za prywatną? Czy byłbym szczęśliwszy?

Odpowiednia skala, sąsiedztwo, widok, dobre skomunikowanie i bliskość usług, naturalne światło – to wszystko jest ważne dla dobrostanu.

Szczęsny jest autorem Domu Kereta, mierzącej 14 m kw. instalacji artystycznej do mieszkania. Ma doświadczenie z małymi domami po latach współtworzenia marki Simple House, gdzie na 8 m kw. rozwiązywał jednoosobowe sypialnie z łóżkiem, szafą i biurkiem.

A sam mieszka na 68 m kw., w rodzinie 2 + 2, w bloku na Saskiej Kępie zaprojektowanym w latach 50. – Widać tu przedwojenną szkołę projektowania: pokoje są kwadratowe, mają ponadprzeciętne 2,8 m wysokości, w każdym pomieszczeniu jest wentylacja grawitacyjna, bo kiedyś wszyscy palili – mówi architekt. – Problemem współczesnych mieszkań jest nie tyle metraż, ile kultura projektowania determinowana systemową czapą. W PRL nakładali ją pierwsi sekretarze, deficytowa ekonomia i systemowy bezwład. Dziś z kolei widzimy leseferyzm i niekonsekwencję kolejnych rządów i bezwzględność dyktowania cen przez deweloperów, a ich działalność bardziej niż państwo regulują banki i praktycznie pozbawiony alternatyw rynek mieszkaniowy.

Z 25 m kw. z lat 60. XX w., czyli z ówczesnego pokoju z aneksem kuchennym, zdaniem Szczęsnego można wycisnąć więcej komfortu niż z nowszych lokali. W aneksie lub niewielkiej kuchence, które zwykle mają osobne okno, urządzić alkowę, w strefie dziennej umieścić ciąg kuchenny. W ten sposób lokator zyska intymną przestrzeń strefy nocnej.

Inaczej żyje się na 30-40 m kw. usytuowanych w rogu budynku, by słońce docierało z dwóch stron, a inaczej na 50-60 m kw. oświetlonych z jednej tylko strony. Kiedyś tak dużych jednostronnych mieszkań się nie budowało, lokator mieszkania większego niż 35 m kw. musiał mieć możliwość zrobienia przeciągu. Mieszkańcom mniejszych zdarzało się umawiać z sąsiadem vis-a-vis na wspólne wietrzenie, zwłaszcza jeśli okna były nagrzewane zachodnim światłem.

– Dziś deweloper inwestuje w wentylację mechaniczną. To znacząco podnosi koszt budowy, ale zwróci się on w cenie mieszkań, których przy jednostronnym układzie można zmieścić więcej – zauważa Szczęsny. Z tych samych przyczyn – łatwiejszego planowania lokali na piętrze – deweloperzy wolą głębokie mieszkania z pokojami w kształcie wydłużonych prostokątów. Tymczasem pomieszczenia o rzucie zbliżonym do kwadratu robią wrażenie większych.

50 m kw. dla czwórki za ciasne, dla piątki już OK

„Szukam mieszkania idealnego” – piszę na platformie społecznościowej. Ile ma metrów? Najaktywniejsze są przedstawicielki i przedstawiciele rodzin 2 + 2. Padają liczby: 120, 95, 80, 70, 65... Kto da mniej?

28 m kw. – tyle Anka kupiła w centrum Warszawy. Sama ustawiła ścianki, wydzieliła sypialnię i salon. W mieście, w którym mieszkala wcześniej, wynajmowała cztery pokoje. – Ciągłe ktoś u mnie gościł: rodzina, przyjaciele, ciocia z wnuczką. A teraz? Wbrew pozorom wiele się nie zmieniło, tyle że mam dla gości jeden pokój, nie trzy – mówi. Rekord pobity został pewnego lata, gdy przed dłuższą wyprawą nocowała u niej 11 osób. – Rano zastałam kolegę śpiącego pod prysznicem. Zwinął się w brodziku, człowiek guma – wspomina.

Ale Anka mieszka sama. Joanna nie mogła wytrzymać na 50 m kw. W trzech pokojach w bloku żyła z mężem, dwoma synami, kotem i psem. Buty, płaszcze, rowerki, kuweta, miski, smycz – od progu przedmioty podkładały nogę domownikom. Hitem była toaleta niedostosowana do osób wysokich, które siadając, musiały podkurczać nogi lub zostawiać niedomknięte drzwi.

Wynajęli stary poniemiecki dom, 180 m kw. Centrum życia stała się kuchnia z jadalnią, zmieścili w niej wygodną kanapę do czytania. Na piętrze każdy ma swój pokój. Odżyli po przeprowadzce, wzięli kredyt i dom odkupili. Joanna snuje plany: powiększy okna w kuchni, zlikwiduje wąski korytarz, w miejscu prysznicza z łazienki na parterze ustawi

ją sypialnię posiada każda dorosła para i każda samotna osoba dorosła. Osobny pokój należy się dzieciom, najwyżej dwuosobowy. Dzieci tej samej płci mogą mieszkać razem do 17. roku życia, a odmiennie – do 12.

– Ale normy niekoniecznie muszą się zgadzać z oczekiwaniami – zauważa Milewska-Wilk. W mieszkaniach w Sadach Żoliborskich, osiedlu z przełomu lat 50. i 60., do dziś stawianym za wzór, architektka Halina Skibniewska – znana z projektowania pod ludzkie potrzeby – w ogóle nie przewidywała łóżek małżeńskich.

Albo architektce duże łóżka nie mieściły się w gomułkowskiej normie, albo założyła, że pary będą spać na wersalkach. – W produkcji mebli z funkcją spania Polska jest potęgą. A z różnych badań wynika, że zawsze brakuje nam tego jednego pokoju. I rozkładaną kanapą sobie brak rekompensujemy – mówi Milewska-Wilk. Nawet szczęściarze, którzy nie muszą zamieniać na noc salonu w sypialnię, kupują sofę z funkcją spania, by kłaść na niej gości.

„Ciasne, ale własne” – z tym zdaniem zgadza się 65 proc. Polaków – wynika ze wspomnianego wyżej raportu „Szczęśliwy dom”. – Jednak powodem jest przywiązanie nie do ciasnoty, ale własności – komentuje Katarzyna Kuniewicz z Otodom.

– Dziś coraz rzadziej odwiedzamy się w domach, urodziny urządzamy w restauracji. Wydaje się więc, że przestrzeni prywatnej potrzebujemy mniej niż np. w minionym wieku – mówi Milewska-Wilk. – Z drugiej strony: częściej pracujemy hybrydowo lub zdalnie. Potrzebna jest nam więc przestrzeń do pracy. Więc może jednak potrzebujemy trochę więcej?

Wyższość metra z lat 60. nad metrem współczesnym

– Nie demonizowałbym małych mieszkań, sam dobrze się w nich czuję. Jestem „zepsuty” przez dorastanie na Ursynowie – mówi Jakub Szczęsny, ar-

Przed dłuższą kąpielą należy obejść wszystkich i zapytać, czy nie muszą skorzystać z łazienki



• **Mikroapartamenty Starter przy ul. Pasteura we Wrocławiu. Najmniejsze mają niecałe 13 m kw., największe prawie 31,5**

FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Blok z 870 mikrokawalerkami na wynajem długoterminowy przy ul. Romanowicza na krakowskim Zablociu FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

dębową szafę na odkurzacz i środki czystości. Jak znajdzie kasę na remont, na razie ma raty i przestrzeń do marzeń.

Tymczasem Ewa na 50 m kw. radzi sobie w piątkę. Plus kot i pies. Kiedyś jej mieszkanie miało przestronny salon, 14-metrową sypialnię i 7-metrową kuchnię. Dziś w salonie jest aneks, rozkładana kanapa Ewy i jej męża, a dwa pozostałe pomieszczenia przerobili na pokoje dla dzieci. Młodszy synowie w jednym, najstarszy, student I roku, w drugim. Mieszkanie przeludniło się dopiero niedawno, gdy średni syn skończył 17 lat.

– Są plusy: dzieciaki nie mają szans zamknąć się w swoich przestrzeniach na długi czas. Mamy system rotacyjnych przestrzeni samotności. Na razie się sprawdza – mówi Ewa. I dzieli się garścią zasad.

Młodszy chłopcy ustalają dni, w które każdy z nich może mieć pokój tylko dla siebie i np. zaprosić znajomych. Ich pokój służy też jako awaryjne miejsce wyciszenia dla domowników – zwykle godzina wystarczy. Dzieci mają dużo zajęć poza domem, chłopcy uprawiają sporty, ale w dni, kiedy wszyscy tłoczą się w domu, rodzina umawia się na ciszę poobiednią i leżakowanie przed telewizorem.

Brać kąpiele i suszyć włosy wolno do godz. 23, bo później budzi się domowników. Przed dłuższą kąpielą należy obejść wszystkich i zapytać, czy nie muszą skorzystać z łazienki.

Kiedy przyjeżdżają bliscy, średnio dwa razy do roku, Ewa wynajmuje dla nich mieszkanie w sąsiedztwie. Tak samo, gdy któryś z dorosłych się rozchoruje. Przez pięć lat było to potrzebne dwa razy.

Po narodzinach najmłodszego dziecka Ewa pozbyła się mnóstwa niepotrzebnych rzeczy. W rodzinie ustalili, że każdy może

mieć w korytarzu po trzy pary butów. Rozgardiasz się zdarza, ale dom jest superczysty, bo w pandemii podzielili się obowiązkami – działają szybko i sprawnie, jak profesjonalna ekipa sprzątająca.

Czy są spięcia? No jasne. Na szczęście wszyscy lubią spędzać czas poza domem. Wyjeżdżają lub wychodzą na dłużej przynajmniej w trzy weekendy w miesiącu, starsze dzieci mają wtedy cały dom dla siebie. A Ewa najbardziej lubi przedpołudnia, gdy pracuje z domu, a reszta znika.

Nie lubi za to gotować w przestronnej kuchni swojej mamy, czuje się potem skonana. Ale kroki wyrabia! Chciała by mieć drugą łazienkę i trzecią sypialnię – by każdy syn miał swoją. Buduje antresolę, by chociaż w ten sposób oddzielić strefę dzienną od nocnej.

Średnia cena metra w mieście Ewy jest ponad dwa razy wyższa niż średnia cena w mieście Joanny. Może stąd ta zdolność adaptacji?

Meksykańska fala dla gości

Mam dużo zrozumienia dla małych mieszkań. Przez pięć lat (licząc z dzieciństwem – dłużej) mieszałam w mieszkaniu 38 m kw., w dwóch pokojach z bezokienką kuchnią – w trójkę, potem w czwórkę. Nie było idealnie. Ale za każdym razem, gdy słyszałam – a słyszałam wielokrotnie – że nie da się żyć na 40 (45, 50 itd.) metrach, miałam ochotę pomachać i zawołać: „Hej, żyję! Formalnie: w nieprzeludnionych!”

Czułam się w tym mieszkaniu jak ślimak w muszli. Nauczona doświadczeniem poprzedniego pokolenia wiedziałam, jak je urządzić i jakich błędów unikać. Zza regału z książkami wyjeżdżała drewniana zasłona, którą mogłam oddzielić kuchnię od pokoju. Wiedziałam, że trzeba mieć paw-

lacz, dużą narożną szafę, i że do łazienki nigdy nie kupię sobie stylowego kosza z napisem „laundry”, by nim zagrzać podłogę. We wnęce nad pralką zamontowałam półkę, na niej pudła do sortowania odpadów, w których dzieliłam pranie kolorami.

Po rozłożeniu stołu mogło usiąść przy nim 12 dorosłych osób. Gdy osoba siedząca pod oknem chciała przejść do drzwi, pół stołu robiło dla niej meksykańską falę – kolejno wstając, by zrobić przejście. Miałam plan – zanim dzieci dorosną, uzbieramy na wkład i przeprowadzimy się na ok. 65 m kw. I to, że ostatecznie mamy 10 m kw. więcej, wynika wyłącznie z tego, że mniejsze z upatrzonych mieszkań było trochę droższe, a wcale nie miało w zamian innych zalet.

Z amatorskiej sondy wśród znajomych i obserwujących wnioskuje, że nawet posiadacze mieszkań niemal 80- i 100-metrowych uważają, że przydałoby się jeszcze miejsce na gabinet, drugą łazienkę, a przynajmniej na schowek na szczotki. Może my po prostu nie potrafimy się ogarnąć w tym, co mamy?

Włodek wychował się na 150 m kw., mieszka na 65 m kw. – czteroosobowa rodzina plus koty i gady. Chciałby mieć jeszcze 15-20 m kw., nie więcej. Jego definicja za małego / za dużego mieszkania podoba mi się najbardziej. „Za małe, gdy nie można się w spokoju kochać, rozciągać w porannej gimnastyce, wyizolować z książką, pracować w oddaleniu, wspólnie spędzać czasu w kilka osób. Za duże, gdy się gubi bliskość, nie spotyka przypadkiem, sprzątanie jest nie tylko uciążliwe, ale i dotkliwe czasowo”.

Złudzenie przytulnego kokonu

– Normy określające rozmiar naszych mieszkań to pokłosie badań XX-wiecz-

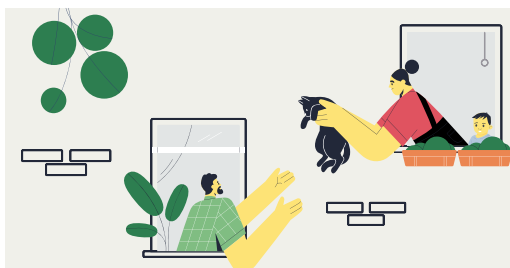
nych modernistów. Na podstawie naszych zachowań oszacowali m.in., jak szerokie muszą być łóżka, blaty, ile miejsc potrzebujemy, by wygodnie poruszać się między sprzętami – mówi architektka Kinga Zemla. Absolutne minimum określiłaby na 30 m kw., 45-55 m kw. to dobry metraż dla pary, troje będzie się czuło dobrze na 60-75 m kw. – Ale wielkość mieszkania zawsze będzie efektem pewnego przeciągania liny między aspiracjami a możliwościami. Znaczenie ma też okolica: wokół centrów dużych miast gromadzimy się gęściej, mieszkamy ciaśniej, ale za to możemy korzystać z udogodnień, które one zapewniają.

Zemla siedem lat mieszkała w Sztokholmie – tam też mieszkania maleją. Rozmawiała o tym z teoretyczką architektury Helen Runting w „Autoportrecie. Piśmie o dobrej przestrzeni”. Runting wspomina o swojej łódce. „Jest coś przemożnie przyciągającego i przytulnego w tym perfekcyjnie zorganizowanym wnętrzu, w którym każdy centymetr pełni określoną funkcję i żaden skrawek przestrzeni się nie marnuje”. I dodaje, że cudownie jest wrócić po wakacjach do swojego mieszkania.

Przytulność małych wnętrz jest złudzeniem. – Każdemu zdarzają się dni, gdy nie chce mu się pościelić łóżka, odłożyć rzeczy na miejsce. A co, jeśli od utrzymania porządku zależy, czy będziemy mogli położyć się spać? Przygotować jedzenie? W taki sposób można żyć w kamperze na wakacjach, na co dzień jest to po prostu koszmarnie uciążliwe – Zemla przestrzega przed meblami typu smart. Sama do 10. roku życia mieszkała z rodzicami na 36,6 m kw.

OGŁOSZENIE

Kraj/34364398



**Projektujesz, realizujesz, działasz
na rzecz szczęśliwych sąsiedztw?**

Weź udział w konkursie:
Wyborcza.pl/zplkonkurs

**NAGRODA
20 TYS. ZŁ!**

ZAPROJEKTOWANE
POLUDZKU
SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR

wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY

otodam

Runting i Zemla zauważają jeszcze jedną rzecz: małe mieszkania nas ograniczają. Można w nich oglądać telewizję, siedzieć w telefonie. A co z podejmowaniem gości? Gotowaniem z przepisów Julii Child? Malowaniem obrazów? Nocowaniem przyjaciół? Ćwiczeniem śpiewu, tańca, przygotowaniem amatorskiej sztuki teatralnej? – Pytanie, czy skoro nie możemy realizować swoich potrzeb i pasji w mieszkaniu, to czy gdzieś w dostępnej odległości znajduje się bezpłatne lub przystępne cenowo miejsce, w którym możemy to robić – mówi Zemla.

Pralka na spółę

No właśnie: może małe mieszkania byłyby bardziej znośne, gdybyśmy więcej rzeczy robili poza domem? JW Construction przekonuje do 18-metrowych mikrokawalererek właśnie tym, że ich mieszkańcy mało czasu spędzają wewnątrz, bo korzystają z miejskich atrakcji.

Nie każdy szuka miejsca do ćwiczeń tanecznych, ale poza domem można robić pranie. W Polsce normy budowlane nakazują, by w każdym mieszkaniu było miejsce do podłączenia pralki. Dla Skandynawów to normalna rzecz, że pralki używa się wspólnie z sąsiadami.

– Nie można powiedzieć, że to zupełnie nieuciągliwe, bo trzeba dostosować sobie plany do systemu rezerwacji pralni – mówi Kinga Zemla. – Dla mnie zewnętrzna pralka była wygodna, pranie szybko schło, bo w suszarni był nawiew. Ale ludzie mają różne style życia, dzieci, psy, koty, czasem pralka jest potrzebna nagle. Nie dziwi mnie, że mieszkańcy wolą mieć miejsce na pralkę, choć zasadniczo koncepcja dzielenia pralki mi się podoba.

O wspólnych przestrzeniach zdarza się już pomyśleć deweloperom. Echo Investment w inwestycji Modern Mokotów zaplanował klub mieszkańca z przestrzenią do ćwiczeń, przestrzenie coworkingowe i sąsiedzki warsztat. (Choć nie wszystkie mieszkania będą tam małe, w ofercie są metraże od 28 do 142 m kw.).

Dzielić możemy narzędzia. Większość z nas trzyma w domu całe komplety, nawet jeśli używa wkrętarki raz do roku. Pod sztandarem ograniczania konsumpcji przedsiębiorczyni Yael Shemer i architekt Yshai Lehavi założyli w Nowym Jorku w 2019 r. start-up TULU. Wstawiają do budynków automaty, w których wypożyczyć można wiertarkę, odkurzacz, maszynę do szycia, projektor, planszówkę. I zapłacić tylko za czas korzystania.

Kinga Zemla chętnie dzieliłaby z mieszkańcami kwartału salę do organiza-

cji przyjęć – nie każdego stać na wynajęcie restauracji.

– Podczas pandemii niektóre wspólnoty zamieniały dawne suszarnie w przestrzenie coworkingowe – przypomina Milewska-Wilk.

Ale wspólna przestrzeń nie zawsze zagra. Na jej osiedlu z lat 60. Za Żelazną Bramą architekci zaprojektowali mieszkania o powierzchni 28-48 m kw., tylko szczytowe mają 56 m kw. W pięknych, przestronnych holach mieszkańcy mieli realizować modernistyczną ideę wspólnotowego życia. Co z tego wyszło? – Stoją stoliki, czasem ktoś przysiadnie, zostawi książkę. I organizujemy tam spotkania spółdzielcze – mówi Milewska-Wilk.

Nie sąsiedzkie, spółdzielcze – takie, na których się denerwujesz, że opłaty wzrosły. – A żeby hole ożyły, opłaty musiałyby wrosnąć, bo ktoś musi o takie miejsce dbać, wyposażać, sprzątać, tak jak dziś ktoś dba o zieleni przed blokiem – mó-

cje, za to z gotowaniem, jedzeniem biesiadowaniem, owszem. I denerwujemy się, gdy zginie ulubiony kubeczek.

Ale nawet wspólna pralka może być emocjonalnie kosztowna. – Te badania z kolei prowadzono w Szwajcarii. Okazało się, że wspólna pralka dla ludzi, którzy są na etapie zakładania rodzin, staje się przestrzenią konfliktów. U nas byłoby podobnie. Wchodzimy w dorosłość, budujemy związek, karierę, rodzinę, stoimy przed mnóstwem wyzwań, a tu jeszcze dokładamy nam się kolejne: podzielenie się z kimś przestrzenią – ocenia socjolożka.

O współdzieleniu można myśleć – jej zdaniem – w kontekście wspierania młodych na etapie usamodzielniania. I potem znów – w wieku senioralnym – gdy zaczyna nam doskwierać brak kontaktów międzyludzkich. W tych przypadkach sprawdziłyby się nawet mikrokawalerki złączone salą spotkań lub semikomercyjnym biostro, w którym lokatorzy mają zniżki.

Dla Skandynawów to normalna rzecz, że pralki używa się wspólnie z sąsiadami

wi ekspertka. Widzi szanse na zmianę. – Przestaliśmy zapraszać ludzi do mieszkań, cenimy sobie prywatność, a przy tym coraz częściej żyjemy w pojedynkę. Gdzieś trzeba z drugim człowiekiem porozmawiać.

Emocjonalny koszt współdzielenia

Zauważam, że żaden z moich rozmówców nie mówił o dzieleniu kuchni (przestrzeń do organizacji imprez to nie to samo), choć historycznie zdarzały się eksperymenty z budynkami, w których to właśnie kuchnia miała być wspólna (i paliły na panewce).

– W zachodnich akademikach były prowadzone badania. Jedna grupa studentów miała przy swoich pokojach minikuchnię, za to musiała korzystać ze wspólnych łazienek, druga miała prywatne łazienki, a gotowała we wspólnej kuchni. Ci pierwsi oceniali miejsce zamieszkania dużo wyżej – mówi dr hab. Paula Pustulka, socjolożka z Uniwersytetu SWPS. – Z czynnościami higienicznymi nie wiążą się emo-

To nie znaczy, że nie należy inwestować we wspólne przestrzenie, zadbane parki, domy kultury – one jednak nie zastąpią rodzinom metrów. – Gdy rozmawiamy z młodymi, widzimy, że oni ciągle z czymś się siłują: a to z pracą, a to ze związkiem, nie mają czasu dla przyjaciół, bo muszą biec na szkolenie. Brakuje nam czasu na budowanie wspólnot – mówi. Co by pomogło? – Potrzeba nam względnego dobrobytu, czterodniowego tygodnia pracy. I żeby państwo wzięło się za kryzys mieszkaniowy – mówi naukowczyni.

Renesans spółdzielni mieszkaniowych

No to wyobraźmy sobie, że państwo interweniuje. O jaki metraż dla obywateli powinno zadbać?

– W latach 90. zdarzały się 90-metrowe apartamenty z jedną sypialnią – przypomina Szczęsny. I zaznacza: – Ważne jest nie to, żeby maksymalizować powierzchnie, tylko żeby zaproponować optymalne rozwiązania dla danej liczby osób. Te

rozwiązania muszą gwarantować z jednej strony intymność, z drugiej możliwość wspólnego zjedzenia posiłków i korzystania z tego, co się kiedyś nazywało wygodami.

I dodaje, że tu niewidzialna ręka rynku bywa pomocna. – Banki zatrudniają architektów do weryfikowania dokumentacji deweloperów starających się o kredyty inwestycyjne. Architekci, opierając się na normach, własnej wiedzy i badaniach wiedzą, jakie mieszkania będą się sprzedawać. Myślę, że nasze portfele są coraz płytsze, a rynek nasycony, więc Polacy, myśląc o mieszkaniach dla siebie, będą kupować, stawiając raczej na zestaw parametrów, a nie na duże powierzchnie czy relację ceny do metrażu – przewiduje architekt.

Proponuje jednak: – Żeby ludzie chcieli mieć dzieci, potrzeba im poczucia stabilności. Zaczniemy się dystansować wobec neoliberalnych aspiracji i przychylniejszym okiem spojrzmy na ruch spółdzielczy. Państwo powinno wspierać spółdzielnie mieszkaniowe, choćby przekazując grunty w zamian za to, że wybudują jakąś wspólnotową funkcję, na przykład edukacyjną, albo zapewnią mieszkania spełniające określone kryteria.

Spółdzielcze mieszkania też będą kosztowały, bo trzeba zapłacić za projekt, zagospodarowanie terenu, budowę i nadzór, ale odpada marża dewelopera, co wpływa na obniżenie kosztu metra kwadratowego, a co za tym idzie – na wysokość kredytu. Światelkiem w tunelu są od niedawna kredyty BGK dla spółdzielni.

W ramach projektu koordynowanego przez Szczęsny (Politechnika Warszawska) i dr. Jerzego Łątkę (Politechnika Wrocławska) studenci obu wydziałów zaprojektowali osiem propozycji zespołów mieszkaniowych dla pracowników wrocławskiej uczelni. Studenci z Warszawy zaproponowali też formę własności w postaci spółdzielni.

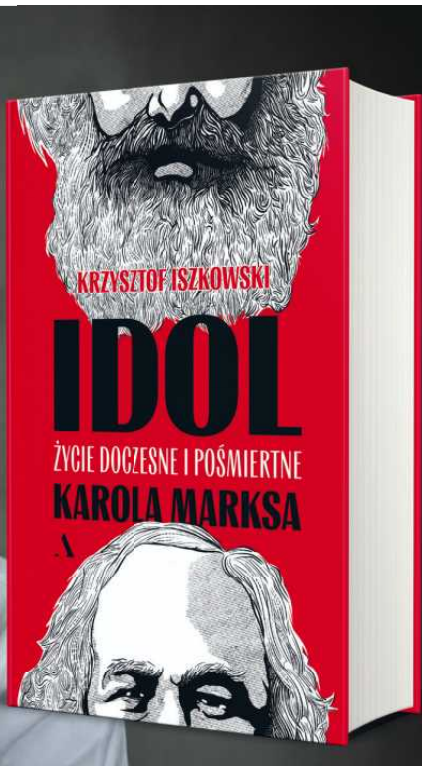
Jej zasobem prócz mieszkań i terenu mają być też wspólna przestrzeń, które będzie można wynająć lub wykorzystywać na własne aktywności. – Członkowie mogliby się dogadać z najemcą: my dajemy ci w dobrej cenie miejsce na żłobek, przedszkole, kawiarnię, a ty dajesz nam zniżkę na usługi – mówi architekt.

Czy spółdzielcze mieszkania byłyby ogromne?

W studenckim projekcie przyjęto zasadę, że w zestawie mieszkań znajdują się: kawalerki o powierzchni 25 m kw., mieszkania dla par nie większe niż 35 m kw. i mieszkania dwusypialniowe mniejsze niż 70 m kw. ●

REKLAMA

Kraj/34363145



O CZŁOWIEKU, KTÓRY **ZMIENIŁ MYŚLENIE LUDZI** O TYM, JAK DZIAŁA ŚWIAT

Brawurowa opowieść o Karolu Marksie, który, chociaż zanurzony w historii, wpłynął na nią jak mało kto. Co z tej zmiany zostało? I ile dzisiaj jest Marksa w „marksizmie”?

KATARZYNA KASIA

BEZ WSI TRZASKOWSKI NIE WYGRA

Powinien przekonać rolników, że nie chce ściągać krzyży w ich szkołach i urzędach.

Z **ARTUREM BALAZSEM***
ROZMAWIA **KRYSTYNA NASZKOWSKA**

W drugiej turze w poprzednich wyborach prezydenckich Rafał Trzaskowski zwyciężył w miastach. Ale ostatecznie przegrał, bo wieś zagłosowała na kandydata PiS, czyli na Andrzeja Dudę. Potwierdziła się prawidłowość: kto wygrywa na wsi, wygrywa też w całym kraju. Teraz sondaże dają w drugiej turze wygraną Trzaskowskiemu. Może spać spokojnie?

– Pamiętam, jak przed wyborami w 2015 r. Bronisław Komorowski miał olbrzymią przewagę w sondażach nad Andrzejem Dudą – ponad 60 proc. Sztab Komorowskiego uważał, że sprawa jest przesądzona, ja miałem inne wrażenie, także z powodu nastrojów na wsi. Jestem w bliskich relacjach z Aleksandrem Hallem, znam też Komorowskiego i powiedziałem Olkowi, że sondaże nie oddają właściwych nastrojów.

Jakiś miesiąc przed pierwszą turą prezydent zaprosił mnie na spotkanie z udziałem jego współpracowników i profesora Halla, na którym przedstawiłem swoje wątpliwości. Mówiłem, że wynik wyborów nie jest przesądzony, a w kampanii brakuje jasnego przesłania ideowego, które mobilizowałoby wyborców. Dla nich moja ocena brzmiała jak herezja, niejako na podsumowanie dyskusji zaprosili mnie na szampa na po pierwszej turze.

Tymczasem już wtedy uruchomiony był mechanizm szukania przez wyborców alternatywy dla kandydatury Komorowskiego i w drugiej turze tego nie udało się już odwrócić. Kampania Komorowskiego nie przekonała przede wszystkim mieszkańców wsi, którzy zagłosowali na Dudę.

Jak ważne są głosy wsi?

– Moim zdaniem są kluczowe dla rozstrzygnięcia wyborów. Uważam, że do drugiej tury wejdzie Trzaskowski i Nawrocki, chociaż zakładam bardzo dobry wynik kandydata Konfederatów – Sławomira Mentzena.

Jeżeli Trzaskowski nie znajdzie na wsi poparcia części elektoratu dotychczas piśowskiego, dotyczy to zwłaszcza rolników produkujących na rynek, których jest ponad 400 tys., a z rodzinami – około miliona, to wynik wyborów będzie sprawą otwartą.

Wyborcy, o których wspomniałem, oraz mieszkańcy wsi niebędący rolnikami są w zasięgu Trzaskowskiego.

Rolnicy i wieś oczekują niekonkurencyjnej, wiarygodnej i merytorycznej oferty z jego strony. Musi ona jednak wyjść poza ogólne deklaracje typu: zablokuję Zielony Ład czy umowę UE-Mercosur.

To musi być zapowiedź konkretnych działań, które w istotny sposób zmieniąby merytorycznie Zielony Ład i zablokowały tę umowę. Te działania wyraźnie dookreśliłyby rolę prezydenta.

Karol Nawrocki na spotkaniach mówi, że zablokuje Zielony Ład i cała sala bije brawo. Nikt z jego zwolenników nie ocze-

kuje chyba niczego więcej poza ogólnymi deklaracjami.

– Nawrocki opowiada bajki, składa obietnice nierealne. Jeśli wygra, to niczego nie zrobi, bo niczego z obecnym rządem nie załatwi.

A to rząd ma narzędzia, by w Zielonym Ładzie zmienić coś, na czym zależy rolnikom. Jedynym kandydatem, który będzie miał przełożenie na decyzje rządu, jest Trzaskowski. Możliwość wpływania na rząd to jego przewaga, dodatkowy atut. Dlatego jego obietnice, nawet wykraczające poza kompetencje prezydenta, nie są wcale papierowe. Ale musi pokazać, w jaki sposób zamierza walczyć o sprawy rolników. I wcale nie chodzi o wyrzucenie w całości Zielonego Ładu do kosza, jak mówi Nawrocki.

Nie tego chcą rolnicy?

– Ponad 400 tys. rolników złożyło wnioski o dodatkowe płatności w ramach tego projektu na tzw. ekoschematy. Wyrzucenie teraz tego do kosza oznacza pozbawienie ich wynikających z tego pieniędzy. Nie wydaje mi się, by byli z tego zadowoleni. Największym problemem dla rolników jest niewyobrażalna biurokracja związana z unijną polityką rolną. Mówię to jako rolnik, który sam te wszystkie procedury przechodzi. Rolnikom potrzebna jest deregulacja jak tlen. Na walkę o odbiurokratyzowanie wszyscy rolnicy czekają. I Trzaskowski może mobilizować rząd, by o to w Brukseli walczył. Tu jest najbardziej wiarygodny dla rolników ze wszystkich kandydatów. Powinien pytać, co może dla nich zrobić, co usunąć z Zielonego Ładu, traktować ich po partnersku, a nie jedynie składać deklaracje, że do czegoś nie dopuści. Musi budować swoją wiarygodność, przełamywać bariery. Deregulacja musi dotyczyć wielu barier stworzonych przez monumentalną administrację unijną.

Widział pan Trzaskowskiego na spotkaniu z mieszkańcami wsi?

– Tak, w woj. zachodniopomorskim, przyszło mniej więcej stu rolników. Ci, którzy mają po kilkaset hektarów, i tacy, co posiadają kilkanaście, dzierżawcy i właściciele. I nawet doszło tam do sporu między nimi o ziemię – ci mniejsi chcieliby przejąć część hektarów od dużych, by powiększyć gospodarstwa.

I Trzaskowski dobrze odnalazł się w tym sporze, przyjął taką postawę rozjemczą, że wszyscy są potrzebni – jednym trzeba dać szansę na powiększenie, ale nie wolno niszczyć innych.

Jest potrzebne dookreślenie formatu gospodarstwa wspieranego przez rząd, które będzie zróżnicowane w zależności od regionu. To była dobra dyskusja, mówiono otwarcie, nikt tych wypowiedzi nie hamował. To się podobało rolnikom, zaskoczył ich pozytywnie otwartością. Rozmawiałem po tym spotkaniu z kilkoma uczestnikami. Ktoś powiedział, że kiedy jechał na spotkanie, był przekonany, że na Trzaskowskiego nie zagłosuje, ale teraz cieszy się, że go poznał. Trzaskowski nie jest ekspertem od



rolnictwa i nie musi nim być, wystarczy, że ma niezbędne kwantum wiedzy i otoczy się ludźmi, którzy na tym się znają.

Rolnicy to nie wszystko, na wsi mieszka 40 proc. obywateli, a oni są w mniejszości. Kto dziś ma największy wpływ na nastroje na wsi? Kościół?

– Na pewno ma duże. A ponieważ PiS jest bardzo blisko z Kościołem, to sprzyja on jego kandydatowi. Nawrocki w swoich wystąpieniach jak mantrę powtarza, że Trzaskowski, nakazując w Warszawie zdjęcie krzyży w miejscach publicznych, walczy z Kościołem. To budzi obawy. Trzaskowski musi przekonać mieszkańców wsi, że nie jest wrogiem Kościoła, muszą mieć pewność, że nikt im w remizach, szkołach, świetlicach i ośrodkach zdrowia nie będzie krzyży zdejmował. Musi zaproponować ko-habitację państwa i Kościoła i swoją w tym rolę jako prezydenta.

Mówił to wielokrotnie.

– Mówienie nie wystarczy, musi przekonać wiejskich wyborców, że chce takiej ko-habitacji.

Kościół na wsi nie traci na znaczeniu?

– W Zachodniopomorskiem, na moim terenie, nie widzę tego zjawiska. Chodzę na msze i widzę, że wiernych nie ubywa, a po pandemii jest ich nawet więcej. Przynajmniej tak jest w archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej.

Program „Sto konkretów” to był błąd. PiS wziął go na agendę i ciągle tym gra. Przypomina, że rząd obiecał i słowa nie dotrzymał. A oni dotrzymali obietnic. Jeśli ludzie porównują oba rządy, to PiS wspominają lepiej

Proboszczowie angażują się w kampanię?

– Zachodniopomorski Kościół jest dużo bardziej wstrzemięźliwy niż ten na wschodzie czy południu Polski. Ale i u nas widać przychylność w stosunku do PiS. W czasie rządów tej partii Kościół był dużo bardziej upolityczniony, a z ambon głoszone mowy tożsame z narracją PiS. Teraz powoli to się zmienia. Po raz pierwszy od lat widziałem w tym roku pod kościołami zbiórki pieniędzy na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy akceptowaną przez księży. Zbierali młodzi i starsi, często ci sami, których widuję w kościele.

A PSL ma jeszcze na wsi znaczenie?

– Elektorat ludowców skupia się wokół instytucji agencji publicznych i samorządowych.

Tak jest od lat, to jest ich stały elektorat.

– Zostały przyczółki. Współpraca w ramach Trzeciej Drogi z Szymonem Holownią i różnice demonstrowane zwłaszcza przez Polskę 2050 nie pomagają PSL-owi na wsi.

Ostatnie badanie CBOS daje Trzeciej Drodze 6 proc., czyli poniżej progu wyborczego. Rozpad wydaje się pewny. Może PSL powinien wcześniej wyjść z tego układu, by się ratować?

– Słaby wynik Holowni może przypieczętować koniec Trzeciej Drogi.

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz torpeduje wszelkie ustawy dotyczące łagodzenia przepisów antyaborcyjnych, związków partnerskich, obecności religii w szkołach? Chce się jedynie przypodobać wiejskiemu elektoratowi czy sam jest „kościółkowy”?

– Mam o nim dobre zdanie. Żałuję, że tak mało jest w naszej polityce podobnych ludzi – szukających porozumienia, tego, co nas łączy, a nie dzieli. A w sprawach, o które pani pyta, uważam, że jest autentyczny – takie są jego poglądy i daje im wyraz.

Chyba nie szuka tego, co łączy, skoro zdecydowana większość społeczeństwa ma jednak inne poglądy niż on, choćby w sprawie ustawy depenalizacyjnej.



– Jego poglądy są tożsame z większością PSL-u i trudno oczekiwać, żeby było inaczej. Tak myśleli i myślą, są w tym wiarygodni. I zgodnie z tym głosują.

W tym roku są wybory na prezesa PSL i na szefa rady naczelnej, którym jest dziś Waldemar Pawlak. Mogą być niespodzianki?

– Próba zmiany prezesa postawi ludowców w bardzo trudnej sytuacji. To mógłby być pocałunek śmierci dla tej partii. To ryzykowne, dlatego sądzę, że Kosiniak-Kamysz znów zostanie prezesem.

Za trzy lata PSL wystartuje w wyborach samodzielnie i wejdzie do Sejmu?

– Zależy od tego, co się przez ten czas będzie działo. Jaki kurs przyjmie partia, z jakim przesłaniem będzie chciała trafić do wyborców? Nie przesądzałbym o losach PSL-u. Sondaże dotyczą dziś Trzeciej Drogi, a trudno przewidzieć, że w tej koalicji ludowcy pójdą do wyborów.

Skąd na wsi tak silne poparcie dla Konfederacji, zwłaszcza wśród młodszych mieszkańców?

– Wydaje się alternatywą wobec dwóch głównych partii obarczanych winą za obecny podział w Polsce. A jednocześnie Konfederacja wskazuje drogę do dobrobytu, odwołuje się do gospodarki w prosty, ale odpowiedzialny sposób, który zwłaszcza młodym wydaje się atrakcyjny. W każdej kampanii wyborcy szukają alternatywy dla układu dwóch formacji rządzących Polską ponad 30 lat.

Niskie i proste podatki?

– To się musi podobać. Kiedy mamy 20-30 lat, nie myślimy o przyszłości, o służbie zdrowia czy emeryturach, chcemy, by więcej zostało nam pieniędzy w kieszeni. Dlatego hasła Konfederacji młodym się podobają.

Do tego dochodzi odwoływanie się do tożsamości narodowej, silnej Polski w Europie i na świecie. To atrakcyjne hasła, które są mocno eksploatowane zarówno przez PiS, jak i Konfederację. Tymczasem nie trzeba mieć dużej wyobraźni, żeby zrozumieć, że nasze położenie geopolityczne po

• **Rafał Trzaskowski, kandydat KO na prezydenta RP, po spotkaniu z przedsiębiorcami rolnymi w Zosinie w Lubelskim (15.12.2024)** FOT. KAROL ZIENKIEWICZ/PAP

wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA i po jego inicjatywie zakończenia agresji Rosji na Ukrainę, czego konsekwencją może być budowa nowego porządku światowego, stawia Polskę i Europę w strefie wpływów sowieckich. To wymusza potrzebę ściślejszej integracji w ramach europejskiej wspólnoty, bo tylko dzięki temu może przetrwać nasza tożsamość narodowa w sąsiedztwie imperialnej Rosji.

Kogo poprą wyborcy w drugiej turze?

– Obóz rządzący popełnił błąd, wystawiając kilku kandydatów. Powinien być jeden, wspólny. To dawałoby największą szansę na wygraną już w pierwszej turze. Pierwsza tura jest areną ostrej walki, która w drugiej turze utrudni pozyskanie elektoratu kandydatów, którzy przegrali. Bo jak można atakować konkurenta, a po kilku dniach wzywać swoich wyborców, by na niego zagłosowali?

Mamy etap ostrej walki?

– Każdy kandydat buduje teraz własną tożsamość, często kosztem ostrej krytyki konkurenta z tego samego obozu, a to dopiero początek zmagani. Liderom zabrakło determinacji, by zbudować porozumienie. Ten błąd będzie miał konsekwencje, zwłaszcza że wynik wyborów jest kwestią otwartą.

A temperaturę sporu politycznego podniosło jeszcze doniesienie skierowane do prokuratury przez Bogdana Święczkowskiego, szefa tzw. Trybunału Konstytucyjnego, dotyczące zamachu stanu w Polsce. Choć w tym przypadku nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

A co w tym dobrego?

– To, że wniosek Święczkowskiego powinien być ostatnim dzwonkiem alarmowym dla koalicji rządzącej do integracji wokół rządu.

PiS w ostatnich latach zdemolował najważniejsze instytucje państwa: Trybunał

Konstytucyjny, który jest dziś atrapą, Prokuraturę Krajową, Sąd Najwyższy, którego kierownictwo destabilizuje państwo. A przede wszystkim oddał prawo do rozstrzygania o ważności wyborów Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, która jest tworem pozakonstytucyjnym. Zapewne od lat brał pod uwagę, że jak przegra wybory, to będzie musiał ponieść odpowiedzialność za przestępstwa części swoich polityków. Zabezpieczył się przed tym, anektując te instytucje, a jednocześnie uniemożliwił wpływ na nie demokratycznie wybranej większości parlamentarnej.

PiS może wrócić do władzy?

– Decydujące będzie uznanie ważności wyborów. Jeśli wygra je Trzaskowski i potwierdzi je legalny organ, a nie niekonstytucyjna Izba, to rząd Tuska dostanie tlen, a wówczas ustawy zawetowane przez prezydenta Dudę zostaną podpisane, Trybunał Konstytucyjny będzie prawdziwym trybunałem, Sąd Najwyższy prawdziwym sądem i nikt nie będzie podważał wiarygodności prokuratury. Wtedy proces zmian i rozliczeń zostanie dokończony, a ład konstytucyjny – przywrócony.

Natomiast jeżeli obóz rządzący dopuści do tego, że decyzja o ważności zostanie w gestii organu niekonstytucyjnego, a nie Sądu Najwyższego, to różnych rozstrzygnięć można się spodziewać, niekoniecznie związanych z wolą wyborców. Może nas czekać czas chaosu. Ład konstytucyjny nie zostanie przywrócony, proces rozliczeń zostanie zablokowany, a programu gospodarczego nie będzie można zrealizować. Tym samym obywatele poczują się rozczarowani, PiS będzie naciskał na przyspieszone wybory parlamentarne, których rozstrzygnięcie może być różne.

Dlaczego rząd Tuska ma tak słabe notowania?

– Bo program „Sto konkretów” to był błąd. PiS wziął go na agendę i ciągle tym gra. Przypomina, że rząd obiecał i słowa nie dotrzymał. A oni dotrzymali obietnic. Jeśli ludzie porównują oba rządy, to PiS wspominają lepiej. Do tego wielu ludziom rzeczywiście żyje się gorzej, choćby z powodu wyższych cen prądu i gazu. Minał trudny pierwszy rok tego rządu i z tych obietnic jest on rozliczany.

Można tłumaczyć, że wielu nie dało się szybko zrealizować, bo prezydent utrudnia, ale ludzie i tak mogą czuć się rozczarowani. Zupełnie zaginęło poczucie wspólnoty narodowej, co w momentach trudnych dla państwa powinno być ważnym punktem odniesienia. Dzisiaj nie ma już miejsca na spotkania rządu o pozycję, na jakąkolwiek współpracę. Do niedawna polityka zagraniczna, bezpieczeństwo narodowe, obecność w Unii Europejskiej nie były elementem ostrego sporu.

Czyja to wina?

– To na formacji rządzącej ciąży większa odpowiedzialność za odbudowę wspólnoty narodowej. Bez względu na to, co robi telewizja Republika czy Radio Maryja, obóz rządzący ma narzędzia, by zasypywać podziały. Donald Tusk nie został zwolniony ze swej deklaracji, że wspólnotę odbuduje. Że znajdzie propozycje dla inaczej oceniających rzeczywistość niż on, ale akceptujących potrzebę współpracy w zakresie bezpieczeństwa, obronności, obecności w UE. Odbudowa poczucia wspólnoty powinna stać się fundamentem naszego bezpieczeństwa, zwłaszcza w czasie imperialnych zachowań Rosji.

Nie mam wątpliwości, że wygrana Trzaskowskiego stworzy Tusкови przestrzeń do odbudowy wspólnoty. Pytanie tylko, czy premier rzeczywiście tego chce? Czy to była tylko deklaracja, czy realna potrzeba? Podziały trzeba zasypywać ze świadomością, że PiS nie zniknie, nadal będzie miał wpływ. Mimo to trzeba szukać wspólnych punktów.

A podoba się panu polityka imigracyjna tego rządu?

– Unia jest na początku budowy nowej polityki imigracyjnej i będzie ona zbliżona do tego, co teraz proponuje Tusk. Będzie wpuszczać tych, których potrzebujemy, a nie otwierać szeroko granice dla wszystkich.

Pan zatrudnia imigrantów?

– Nie. Ale w mojej okolicy dużo ich pracuje, głównie z Ukrainy – w budownictwie, hotelach, restauracjach, w usługach.

Nastroje antyukraińskie?

– Nie ma ich u nas. Było trochę na początku wobec roszczeniowych Ukraińców, którzy nie chcieli pracować. To przyszło na rzecz myślenia, że oni walczą w naszym imieniu. Ludzie traktują ich tu dość specyficznie – niby są z zagranicy, ale jednak jakby swoi.

Dobrze, że Trzaskowski chce zabrać 800 plus tym niepracującym?

– Większość ludzi to popiera.

Ale wieś boi się rolnictwa ukraińskiego.

– To prawdziwy problem. Ukraińskie rolnictwo ma olbrzymi potencjał, niewspółmierny do naszego. Do tego produkuje w innych warunkach, bez wysrubowanych kryteriów obowiązujących w UE, których przestrzeganie jest bardzo kosztowne. Nieodpowiedzialne otwarcie rynku europejskiego bez wprowadzenia kryteriów jakościowych, takich jak dobrostan zwierząt, warunki fitosanitarne, długie okresy przejściowe, kwoty dostępu do rynku, mogłoby zdestabilizować wspólną politykę rolną.

Ukraina powinna być traktowana tak jak inne kraje, które musiały dostosować się do warunków europejskich.

Skrajnie nieodpowiedzialna była decyzja Komisji Europejskiej, a szczególnie brak protestu komisarza do spraw rolnictwa Janusza Wojciechowskiego, o bezwarunkowym otwarciu rynku na początku wojny na produkty z Ukrainy. To zdestabilizowało sytuację zwłaszcza w krajach przygranicznych, w szczególności w Polsce. Doszło do protestów. Ale działania rządu Tuska i naciski na Brukselę doprowadziły do przywrócenia w miarę racjonalnych warunków handlowych.

Ma pan jeszcze kontakty w PiS?

– Skończyły się dość dawno. Po zrujnowaniu przez PiS instytucji państwa prawa i podjęciu współpracy z premierem Węgier Viktorom Orbánem uznałem, że moja rola się skończyła. PiS jest dziś partią skonsolidowaną, jej członków łączy przede wszystkim strach przed rozliczeniami. Dużo widziałem w polityce i różnych rzeczy doświadczyłem, wiem, że politycy to nie są aniołki, ale nigdy nie przypuszczałem, że PiS może być zainfekowany taką skalą nadużyć, korupcji, zwykłego złodziejstwa. Nawet jeśli część liderów partii nie brała w tym udziału, to odpowiada za te decyzje, bo nigdy się od nich nie odcięła.

Boją się?

– Absolutnie tak. Mało tego. Uważam, że poseł Marcin Romanowski nie jest jedynym, który poprosi o azyl na Węgrzech, jeśli tylko nasza prokuratura będzie zdecydowanie działała. ●



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Artur Balazs

• ur. w 1952 r., rolnik, polityk, poseł kilku kadencji i senator (1993-97), minister rolnictwa w latach 1999-2001. Kierował rozwiązaniem w 2014 roku Stronnictwem Konserwatywno-Ludowym

ANDRZEJ DUDA WYSTĄPIŁ W REKLAMIE?



• **Najstynniejsze 10 minut w historii polskiej dyplomacji. Tyle trwało spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem Donaldem Trumpem w Oxon Hill przed jego (prawie dwugodzinną) przemową na kongresie konserwatystów (CPAC) w sobotę 22 lutego br.**

FOT. MOLLY RILEY/WHITE HOUSE

Stoisko na zlocie konserwatystów w USA, kontakty w Waszyngtonie, płatne wycieczki na inaugurację Trumpa. Czy TV Republika łączy przyjemne (zarabianie) z pożytecznym (szykowaniem nowej partii)

Dominika Wielowiejska

La organizacją wizyty Andrzeja Dudy w USA stoi zastępca biura ds. zagranicznych w kancelarii prezydenta Nikodem Rachoń, brat Michała Rachonia, gwiazdy TV Republika. Po miesiącach oczekiwania na zaproszenie od Donalda Trumpa prezydent stwierdził, że kanały, jakimi dysponował Marcin Mastalerek, nie sprawdziły się. Opowieści, że szef jego gabinetu i zaufany doradca ma świetne relacje z Susie Wiles, szefową personelu Białego Domu, okazały się mitem. – Niestety biuro ds. zagranicznych w pałacu prezydenckim zostało rozbite, który niezbyt dobrze mówi po angielsku. Ta ekipa to katastrofa na wielu poziomach – uważa jeden z moich rozmówców znających relacje w otoczeniu Dudy.

Nikodem Rachoń, który dołączył do prezydenckiej ekipy niespełna przed mie-

siącem, wcześniej pracował w Waszyngtonie jako podwładny ambasadora Marka Magierowskiego. Kluczowymi postaciami w jego relacjach z amerykańskimi konserwatystami jest małżeństwo Schlappów. Czyli współorganizatorów kongresu Conservative Political Action Conference (CPAC), na którym występował w sobotę Trump i to oni pomogli zorganizować spotkanie prezydentów w kulisach tego kongresu.

Matt i Mercedes Schlappowie byli w Polsce trzy tygodnie temu, przyjął ich Duda. Wizyta zbiegła się ze zmianami w kancelarii prezydenta – odpowiedzialny za sprawy zagraniczne Mieszko Pawlak odszedł do Biura Bezpieczeństwa Narodowego, na czele biura ds. międzynarodowych stanął Wojciech Kolarski, zaufany przyboczny jeszcze sprzed prezydentury („odgrywa taką rolę jak kiedyś ksiądz Stanisław Dziwisz u boku Jana Pawła II” – mówił o nim działacz PiS w 2015, gdy Duda został zaskakującym kandydatem na prezydenta). Ale kluczowe jest to, że jego zastępcą został Rachoń i to on z bratem – ale w po-

rozumieniu z Mastalerkiem – są tu rozgrywającymi.

• Nie przypadkiem. Bowiem Republika, do której z odzyskanej po wyborach 2023 roku telewizji publicznej ewakuował się Michał Rachoń, jedna z największych gwiazd TVPiS, od dłuższego czasu buduje dobre relacje z trumpistami. Dzięki tym kontaktom pojawiła się szansa na rozmowę z Dudą z Trumpem.

Początkowo Duda nie zgadzał się na ten wyjazd i spotkanie w kuluarach kongresu konserwatystów. Upierał się, że jeśli nie udało się być gościem Trumpa jeszcze przed inauguracją, na przykład na Florydzie w rezydencji prezydenta elekta Mar-a-Lago, to powinien zostać przyjęty w Białym Domu. Prezydent nie mógł przeboleć, że premierka Włoch Giorgia Meloni potrafiła tak szybko ułożyć sobie dobre relacje z prezydentem USA.

i pojechać na Florydę, choć przecież wcześniej przymilała się do Joe Bidena. A on – Andrzej Duda – zawsze był przy Trumpie, mimo to znalazł się na bocznym torze.

Pierwotnie wizyta polskiego prezydenta w Waszyngtonie była szykowana na marzec, choć stała pod dużym znakiem zapytania. Duda i tak wybiera się wiosną do USA, aby spotkać się z Polonią, między innymi w Chicago, i ludzie prezydenta wymyślili, że uda się też zorganizować spo-

tkanie w Białym Domu. Rachoniowie przekonali prezydenta, żeby marzec opuścić i pojechać już teraz. Bo może zaplecze kongresu CPAC to nie to samo, co Gabinet Ovalny, ale to najważniejsza dziś impreza polityczna w USA. I okazja, żeby porozmawiać z Trumpem jako pierwszy przywódca z Europy. Duda posłuchał.

Ranga wydarzenia nie była imponująca. Trump się spóźnił i rozmowa zamiast pół godziny trwała niecałe 10 minut. Potem Duda zasiadł na widowni, a gospodarz na otarcie łez chwalił go z mównicy, nazywając przyjacielem (przy okazji jak zwykle opowiadając bajki, że poparło go 84 proc. Polonusów, mimo że głosy Polonii były podzielone pół na pół). W porównaniu z wizytą Emmanuela Macrona spotkanie na kongresie CPAC wyglądało bardzo słabo. Prezydent Francji był w Białym Domu, program wizyty był bardzo rozbudowany, była wspólna konferencja obu przywódców, na której Macron spokojnie prostował pomysły Trumpa na temat pomocy Europy dla Ukrainy. Kontrast z Dudą był rażący.

• Ale polską opinię publiczną mniej zbulwersowała niezbyt godna atmosfera wizyty i skrócenie oczekiwanej poważnej rozmowy do pogawędki w przelocie – w końcu Trump lekceważąco potraktował niejednego przywódcę – bardziej to, jak spotkanie z Trumpem pokazała TV Republika. Która na żywo pokazywała oczekiwanie na spo-

tkanie z Trumpem. Wyglądało to tak: Duda nerwowo chodzi po pokoju, wyraźnie obawiając się, że w ogóle do spotkania nie dojdzie, bo mijają kolejne minuty, a prezydenta USA nie ma. Prezydent Polski z nikim nie rozmawia, choć obok krąży jego ludzie – Wojciech Kolarski, Marcin Mastalerek, Bracia Rachoniowie. Jest także właściciel TV Republika Tomasz Sakiewicz.

Odbiór jest fatalny: polska głowa państwa została potraktowana lekceważąco, a prezydent USA się spóźniał, bo pewnie nie chciał poświęcić Polakowi zbyt wiele czasu – Duda kończy kadencję, Trump ma swoje pomysły w sprawie Rosji i Ukrainy i nie chce mu się wysłuchiwać antyrosyjskich tyrad.

Po rozmowie, podczas której starał się mimo wszystko przedstawić polski punkt widzenia, Duda powiedział dziennikarzom, że nie ma obaw o redukcję wojsk USA w Polsce. Przytoczył słowa Trumpa, że ów przewiduje raczej umacnianie amerykańskiej armii w naszym kraju.

To ważna deklaracja i dałoby się tę wizytę przedstawić w lepszym świetle, gdyby Republika nie transmitowała nerwowego krążenia Dudy po pokoju.

Można było zamarkować, że prezydent rozmawia jeszcze z innymi wpływowymi postaciami, sugerować, że rozmowa trwała dłużej, ale Republika własnoręcznie obnażyła tę katastrofę.

Nie umknęło to Michałowi Karnowskiemu. Współwłaściciel konkurencyjnej PiS-owskiej telewizji wPolsce24.pl w portalu wPolityce.pl i na antenie swojej stacji ostro krytykował Republikę i Sakiewicza. „Musimy wyjaśnić, kto – prowokacją czy nieświadomie – chciał uderzyć w sukces prezydenta” – napisał w felietonie.

Tą prowokacją było oczywiście relacjonowanie na żywo oczekiwania Dudy na Trumpa. Karnowski wypomina też Sakiewiczowi, że ten „uparcie” informował, że spotkanie „będzie bardzo długie”, co najmniej godzinne, choć od początku było wiadomo, że zaplanowano pół godziny. Napompowano oczekiwania opinii publicznej. Karnowski ujawnił, że oczekiwanie Dudy miało być transmitowane „z telefonu postawionego niejawnie przez przedstawiciela Republiki”. Całkiem możliwe – w pewnym momencie kamera zmieniła kąt widzenia i zaczęła pokazywać... nogi i buty zebranych. Oraz wzory na ścianie – jak zauważyła znana dziennikarka polityczna Agata Szczęśniak.

Prezydent ponoć nie zdawał sobie sprawy, że obraz z „poczekalni”, jak sztycherzy komentowali obserwatorzy w sieci, był transmitowany. Padły oskarżenia, że Republika kosztem wizerunku polskiego prezydenta chciała odzyskać pieniądze zainwestowane w pobyt w Waszyngtonie. Sakiewicz za swoje stoisko na CPAC musiał – zdaniem Karnowskiego – zapłacić blisko 100 tys. dolarów. „Do tego pobyt całej ekipy – świadkowie mówili o nawet 10 osobach od pana Sakiewicza. To kolejne kilkanaście tysięcy dolarów” – wylicza współwłaściciel portalu wPolityce, tygodnika „Sieci” i telewizji wPolsce24.pl.

W PiS sprawę opisują jeszcze ostrzej: Rachoniowie namówili Dudę na przyjazd do USA tylko po to, by zrefinansować sobie stoisko na CPAC. Reszta spraw była drugorzędna. A nerwowe krążenie Dudy było ekskluzywem Republiki, bo inne media nie miały dostępu do prezydenta Polski.

– Realizatorzy robili to z premedytacją – takie przekonanie panuje na Nowogrodzkiej. W którym ludzi PiS utwierdza to, że w pewnym momencie stacja zamiast Dudy pokazywała niebo, na którym miał się pojawić Marine One, czyli prezydencki helikopter z Trumpem. I komentarzami – jak to nazywa Szczęśniak – jak z religijnych objawień: „zaraz nadleci, czekamy, już prawie widać, spójrzcie na te chmury!”.

Karnowski pisze: „Ktoś mi powiedział: »Zauważyłeś, że kto Republiki tyka, ten zaraz

znika? Jakoś tak się dzieje, że gdy kogoś przytulą, ten za chwilę ma kłopoty, gdzieś niechcący nadeptuje na minę medialną« – pyta mnie jeden ze sztabowców. Nic nie odpowiedziałem. Może to tylko wpadki, pomyłki ludzi, którzy umyśleli sobie zastąpić Prawo i Sprawiedliwość w kraju, a prezydenta Andrzeja Dudę w roli »mostu transatlantyckiego«”.

Republiki bronił Mateusz Morawiecki, który powiedział Karnowskiemu: „Ktoś tam nagrywał »z biodra«. Nie sądzę, by był to ktoś z zespołu telewizji Republika”. Ale Karnowski w to nie wierzy. „Nie było żadnego upokorzenia, bo na konferencjach takich jak CPAC zawsze ktoś na kogoś czeka (kilkaset superważnych osób czekało na wystąpienie Trumpa), a Trump zasadniczo preferuje krótkie spotkania. Zresztą amerykański prezydent już w czasie przemówienia przywitał ciepło swojego »przyjaciela« prezydenta Polski. Szukając przyczyn tego przekazu, dochodzimy do narracji narzuconej przez telewizję Republika”.

„Mamy do czynienia ze strategicznym pęknięciem interesów pomiędzy środowiskiem pana Sakiewicza a obozem pisowskim. Pierwsze na opozycyjności bardzo zyskuje i świetnie się w niej czuje, drugi wolałby jednak władzę odzyskać, także dla dobra Polski” – uważa Karnowski.

„Czy za tym pęknięciem mogą iść czyny, choćby w postaci prób »palenia« poszczególnych aktywów prawicy? Takich jak wyjątkowe relacje prezydenta Dudy z Trumpem, ważne także w kontekście kampanii Karola Nawrockiego? Czy chodzi o »spalenie« wszystkich, by na tym tle uruchomić »partię Republika«, o której coraz głośniej? Nie podejmuję się odpowiedzi na to pytanie, ale jest faktem, że pytania o motyw, z tego rodzaju podejrzeniami, słychać na zapleczu prawicy coraz częściej. Do tej pory wszystko to miało wymiar gier i gier, które można było traktować jak normalny element polityki. Po sobotnich wydarzeniach sprawy weszły jednak w nową fazę. Musimy wyjaśnić, kto – prowokacją czy nieświadomie – chciał uderzyć w sukces prezydenta Andrzeja Dudy i ważny interes Polski” – konkluduje biznesowo-medialny rywal Sakiewicza.

Rzeczywiście, w byłym obozie władzy spekuluje się coraz głośniej, że właściciel TV Republika szykuje się do nowego rozdania w PiS i uważa, że w chwili, gdy Jarosław Kaczyński nie będzie już w stanie kierować partią, to on, Sakiewicz, zacznie rozdawać karty, ponieważ dysponuje głównym kanałem komunikacji z elektoratem.

Jednocześnie chce zarobić na tym jak najwięcej pieniędzy. Organizuje mnóstwo społecznych zbiórek – ostatnio głośną akcję „Nie daję Owsiakowi, wspieram Republikę” – za to od dawna nie pokazuje apele PiS, by wpłacać na kampanię Karola Nawrockiego, co swego czasu wypominała stacji bliska Kaczyńskiemu posłanka Joanna Lichocka.

A wizytę Dudy – również ku wielkiemu niezadowoleniu partii – Republika zmonopolizowała całkowicie. Rachoniowie odseparowali wszystkie inne media. Wieloletni korespondent RMF FM w Stanach Paweł Żuchowski komentował tak w serwisie X: „Nikodem Rachoń także decyduje, jakie media dostąpią zaszczytu i będą mogły relacjonować wizytę. Oczywiście pierwsza jest od jakiegoś czasu telewizja brata. Mnie strona polska nie poinformowała o wizycie. Nie mogłem tej wizyty relacjonować. Nasza strona nie korzysta z ambasady, jak to zawsze się odbywało. Kancelaria organizuje sobie wszystko sama. Grupa jakichś ludzi decyduje, kto może, a kto nie obsługiwać wizytę. To stało na głowie. I uderza w wolność prasy. I jest to absolutna krytyka Kancelarii Prezydenta za takie postępowanie, z panami Nikodemem Rachoniem i Mastalerkiem na czele”.

Inny mój rozmówca, który zna polski świat medialny w Stanach, komentuje: „Wielu Polaków w Waszyngtonie знаło Nikodema jako pracownika ambasady i uważało za przeciwnictwo brata: otwarty, in-

teligentny, wykształcony. Ale odkąd gra w jednej drużynie w Republice, od wszystkich się odciął i zmienił front. Liczy się tylko interes Sakiewicza”.

A Republika triumfuje: materiał z nerwowym prezydentem to sukces. „Fantastyczne wyniki oglądalności transmisji wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie oraz spotkania z prezydentem Donaldem Trumpem. Transmisję obejrzało 800 tys. widzów” – napisał Jarosław Olechowski, za rządów Jacka Kurskiego w TVP dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej i współnadzorujący „Wiadomo-

Padły oskarżenia, że Republika kosztem wizerunku polskiego prezydenta chciała odzyskać pieniądze zainwestowane w pobyt w Waszyngtonie. Sakiewicz za stoisko na CPAC musiał – zdaniem Karnowskiego – zapłacić blisko 100 tys. dolarów

Nikodem Rachoń, który dołączył do prezydenckiej ekipy niespełna przed miesiącem, wcześniej pracował w ambasadzie Waszyngtonie. Kluczowymi postaciami w jego relacjach z amerykańskimi konserwatystami jest małżeństwo Schlappów. Czyli współorganizatorów kongresu Conservative Political Action Conference (CPAC), na którym występował tydzień temu Trump

ści”, dziś szef wydawców Republiki. „Republika wygrała nie tylko ze wszystkimi stacjami informacyjnymi. W sobotę byliśmy drugą najchętniej oglądaną telewizją w Polsce! Minimalnie wyprzedziła nas tylko TVP2” – dodał.

Jednak wizyta Dudy 22 lutego nie oglądała się jakoś specjalnie lepiej niż inne programy w poprzednie sobotnie wieczory. A co do intencji, trudno zaprzeczyć, że Karnowski miał rację.

Trudno zresztą, żeby nie miał, bo powszechnie wiadomo, że panowie od dawna ostro rywalizują. Podbierają sobie gości i atakują się w mediach społecznościowych. Gdy Karol Nawrocki, świeżo po ogłoszeniu jego nominacji prezydenckiej, przyszedł na wywiad do Republiki, Danuta Holecka tak przedłużała wywiad, by prezes IPN nie zdążył na czas do telewizji wPolsce24.pl.

Potem Karnowscy odwiedzili się podobnym manewrem z Michałem Kuczmierowskim, bliskim Morawieckiemu byłym szefem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, kiedy wychodził z brytyjskiego aresztu. Wyemitowali wywiad jako pierwsi i przedłużali rozmowę, starając się zablokować wejście w Republice.

Bracia Karnowscy są w dobrych stosunkach z władzami PiS, natomiast Sakiewicz faktycznie nie ogląda się na Nowogrodzką. Uważa, że skoro Kaczyński nie chce go przyjmować ani z nim negocjować, nie słu-

cha jego rad, a jego, Sakiewicza, diagnozy i pomysły się sprawdzają, to czemu miałby nie budować własnego ośrodka władzy w obozie populistycznej prawicy.

Ważnym elementem tej strategii są dobre relacje z Konfederacją, ale najważniejszym – inwestycja w kontakty z trumpistami i bardzo duża aktywność w Stanach Zjednoczonych. Republika lansowała się nie tylko na kongresie SPAC; wcześniej stacja była bardzo mocno obecna w czasie kilku imprez towarzyszących zaprzysiężeniu Trumpa na prezydenta. Jeden z moich rozmówców zwraca uwagę, że wielu zwolenników Trumpa nie miało co ze sobą zrobić i wtedy przygarnęła ich Republika, by mogli wspólnie świętować inaugurację.

Sakiewicz wpadł też na inny pomysł: chciał zarobić na Polakach, którzy pragną polecieć do Stanów w tym szczególnym czasie, a także na Polonusach, którzy chcieliby zjechać do stolicy USA. „Telewizja Republika zaprasza na wyjątkowy wyjazd do Waszyngtonu, by wspólnie przeżyć historyczne wydarzenie – inaugurację prezydentury Donalda Trumpa. To niezwykła okazja, by na żywo poczuć atmosferę tego wielkiego święta demokracji i wziąć udział w wyjątkowych wydarzeniach towarzyszących”. I dalej: „Pierwszy w historii bankiet łączący polskich i amerykańskich uczestników wydarzenia to doskonała okazja do nawiązania międzynarodowych znajomości. W eleganckiej oprawie uczestnicy będą mieli okazję do wymiany myśli oraz wspólnego świętowania przy pysznych poczęstunkach”.

Powstała specjalna strona internetowa, za pośrednictwem której można było zapisać się na wyjazd. Pakiet VIP kosztował prawie 6 tys. zł, zwykły prawie 4 tys. zł. Bez przelotu, dojazdu i zakwaterowania, za to wersja VIP dostarczał takich atrakcji, jak kolacja z gwiazdami TV Republika i udział w nagraniu pamiątkowego spotu, który „będzie pamiątką na całe życie”.

Nie jest jasne, ile na tym Sakiewicz zarobił. Ale „targetów” jest więcej. Kolejny to datki od protrupowskiej Polonii. Republika nawiązała już dawno temu współpracę z Adrianem Kubickim, byłym rzecznikiem LOT i byłym konsulem generalnym w Nowym Jorku. On także, jak Nikodem Rachoń, jako dyplomata utrzymywał dobre relacje ze wszystkimi mediami i był przez nie szanowany. Ale teraz sytuacja jest inna. Pod koniec października Sakiewicz rejestruje spółkę TV Republika Incorporated w Nowym Jorku, a zarządza nią Kubicki, który sam siebie przedstawia jako niezależnego konsultanta PR biznesu i marketingu.

Pomysł jest taki, aby nie tylko zebrać pieniądze od Polonii, ale też zmonetyzować kontakty z trumpistami i wykreować swego rodzaju kanał lobbingowy. Na X możemy przeczytać, że Republika „zorganizowała niesamowitą konferencję” z udziałem znanych mówców i gości. I że „nowa administracja w Stanach Zjednoczonych składa się z wielu dobrych przyjaciół Polski i przynosi wiele możliwości dla społeczności polsko-amerykańskiej, polskich przedsiębiorców i właścicieli firm oraz dla Polski jako kraju”.

Wśród przyjaciół Republiki jest Jack Posobiec, były oficer wywiadu; w latach 2018-21 pracował jako prezenter w protrupowskiej telewizji One America News Network, obecnie prowadzi podcast „Human Events Daily with Jack Posobiec”. Jest znany z szerzenia teorii spiskowych, takich jak ta, która stała się załącznikiem ruchu Qanon, głosząca, że członkowie demokratycznych elit politycznych należą do szajki pedofilów.

Posobiec ma dobre relacje z sekretarzem obrony Pete’em Hegsethem, byłym gwiazdorem talk-show w Fox New, i z innymi republikańskimi politykami. Sakiewicz liczył, że dzięki tym znajomościom dostanie na swoją działalność jakieś pieniądze od Amerykanów, bo – jak zauważył Karnowski – aktywność w Waszyngtonie jest kosztowna. Ale – jak słyszę w amerykańskiej stolicy – trumpiści chętnie poklepią Sakiewicza po plecach, staną przed jego kamerami, lecz wspierać go twardymi dolarami nie zamierzają. ●

Czy Izrael jest państwem rasistowskim

SIŁA OGNI
JEST ZBYT
MAŁA

Ludzie II kategorii żyją 5 lat krócej i mają dochody o 50 proc. mniejsze niż ludzie I kategorii. Ludzie III kategorii zużywają trzy razy mniej wody niż ludzie I kategorii.

Mariusz Zawadzki

W tych dniach Izraelczycy zbiorowo marzą o czystce etnicznej, jakiej w XXI wieku jeszcze nie było. Na ich usprawiedliwienie trzeba przyznać, że sami jej nie zaproponowali. Jedynie entuzjastycznie zareagowali na pomysł, jaki podsunął im Donald Trump.

Po spotkaniu z premierem Benjaminem Netanjahu amerykański prezydent z charakterystyczną radosną dezynwolturą oświadczył, że USA przejmą kontrolę nad Strefą Gazy: dwa miliony Palestyńczyków zostanie wysiedlonych. Powojenne ruiny zostaną zrównane z ziemią i powstanie tam piękna śródziemnomorska riwiera.

– A kto tam zamieszka? – dopytywali dziennikarze w Białym Domu.

– Obywatele świata – enigmatycznie odpowiedział Trump. Kilka dni później doprecyzował, że wysiedleni mieszkańcy Gazy nie będą mieli prawa tam wrócić. Już na zawsze pozostaną w Egipcie i Jordanii. A jeśli te dwa kraje nie będą chciały ich przyjąć, to Ameryka wstrzyma pomoc wojskową i finansową dla ich rządów.

Czystka etniczna, którą proponuje Trump, zaszkodziła nawet jego podwładnych i najbliższych doradców. Świadczy o tym przerażona mina Susie Wiles, szefowej personelu Białego Domu, którą fotoreporterzy uchwycili akurat w chwili, gdy jej szef rozstawał się z „piękną śródziemnomorską riwierą”.

Ale stojący obok izraelski premier nie był przerażony. Na jego twarzy gościł promienny uśmiech. Później w Fox News Netanjahu mówił: – Myślę, że plan prezydenta Trumpa to pierwsza od lat świeża idea, która ma potencjał, żeby zmienić wszystko w Gazie. To jest właściwe podejście. Przecież od dawna mówi się, że „Gaza to największe na świecie więzienie po gołym niebem”. Zatem pozwólcmy więźniom wyjść na wolność...

Netanjahu odniósł się również do zarzutów, że Trump, który krytykuje poprzedników za wikłanie Ameryki w bezsensowne interwencje zbrojne w odległych częściach świata, sam nagle chce interweniować w Gazie. – Prezydent nigdy nie mówił, że amerykańscy żołnierze wykonają robotę. My ją wykonamy!

Izraelskie ministerstwo obrony już przygotowuje operacyjny plan „dobrowolnych wysiedleń mieszkańców Strefy Gazy”. Przy czym to, jak generalowie rozumieją „dobrowolność”, pokazały ostatnie miesiące ubiegłego roku – kiedy armia odcięła północną część Strefy Gazy, żeby wytepić tam niedobitki Hamasu, na tym obszarze wstrzymano dostawę żywności i wszelką pomoc humanitarną. Po kilkunastu dniach cywile z północnej Gazy zaczęli dobrowolnie przemieszczać się na południe.

– My, Żydzi, mamy teraz ogromną historyczną szansę, której nie wolno nam zmarnować. Ja już od dawna proponowałem emigrację mieszkańców Gazy, ale wyśmiewano mnie jako fantastę! – mówił Itamar Ben-Gwir, jeden z przywódców żydowskich osadni-

ków. Zapowiedział nawet powrót do rządu, który dwa tygodnie wcześniej opuścił na znak protestu przeciwko rozejmowi z Hamasem.

Ktoś może pomyśli, że plan Trumpa popiera jedynie izraelska skrajna prawica. Gdzie tam! – To bardzo kreatywna, oryginalna i intrygująca propozycja – komentował Benny Ganc, jeden z liderów opozycji i zaciekle krytyk Netanjahu.

Kanał 12 izraelskiej telewizji zlecił sondaż, w którym zapytano: „Czy jesteś za czy przeciwko planom ewakuacji mieszkańców Strefy Gazy?”. 69 proc. respondentów było „za”, 18 proc. opowiadało się przeciwko nim (reszta to niezdeterminowani).

Według dwóch innych sondaży przeprowadzonych na gorąco przez kanały 13 i 14 poparcie dla oczyszczenia Gazy z Arabów jest nawet wyższe – 72 proc. i 76 proc. odpowiedzi na „tak”.

Jedynie redakcja lewicowego dziennika „Haaretz”, od dawna ignorowana w debacie publicznej, wzywała do opamiętania i ostrzegała, że „demon czystek etnicznych został wypuszczony z butelki”.

Reakcje izraelskich Żydów na pomysł Trumpa są – tutaj wypada nazwać rzeczy po imieniu – objawem mocno zaawansowanego rasizmu. Tym bardziej kontrowersyjna wydaje się deklaracja uniwersytetu Harvarda z 21 stycznia. Władze tej szacownej placówki ogłosiły, że jednym z przejawów antysemityzmu jest twierdzenie, że „państwo Izrael jest projektem rasistowskim”. Studenci i wykładowcy, którzy tak twierdzą, będą dyscyplinowani.

Deklaracja polubownie zakończyła sprawę sądową, w której dwie organizacje żydowskie oskarżały Harvard o pobbłażanie antysemitom po masakrze 7 października 2023 r.

Tamtego dnia terroryści Hamasu zabili 1,2 tys. Izraelczyków, w większości cywilów, a później rozpoczęła się operacja odwetowa, czyli masakra mieszkańców Strefy Gazy, w której Izrael zabił około 50 tys. ludzi, w większości cywilów.

Wielu studentów i wykładowców Harvardu protestowało przeciwko bombardowaniom Gazy, dochodziło do aktów agresji przeciwko studentom pochodzenia żydowskiego, na transparentach pojawiały się radykalne antyizraelskie hasła. Rektorka Claudine Grey musiała się z tego wszystkiego tłumaczyć przed komisją w Kongresie i wkrótce potem podała się do dymisji.

Szersza definicja antysemityzmu przyjęta właśnie przez Harvard jest zgodna z roboczą definicją IHRA, Międzynarodowego Sojuszu na rzecz Pamięci Holocaustu, którą oficjalnie uznały rządy ponad 30 krajów, w tym Polski.

Zatem również według rządu polskiego propagują treści antysemickie. Na pocieszenie pozostaje mi jedynie, że wg definicji IHRA antysemitami są też zmarły niedawno b. prezydent USA Jimmy Carter, obrońcy praw człowieka z Amnesty International i Human Rights Watch, którzy nazwali Izrael państwem apartheidu, Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, który wydał nakaz aresztowania Netanjahu, oraz rządy Republiki Południowej Afryki, Hiszpanii, Meksyku i Irlandii, które przed



Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości oskarżają Izrael o ludobójstwo.

Dyskryminacja rasowa w Izraelu zaczęła się z chwilą jego narodzin. Jest grzechem pierworodnym, który zaciążył na losach tego kraju.

W 1948 r., po zwycięskiej dla Żydów wojnie o niepodległość, z terenów nowego państwa uciekło – lub zostało wypędzonych – około 700 tys. Arabów. Ich nieruchomości – domy i ziemia – skonfiskowano jako „porzucone”. Zgodnie z prawem izraelskim potomkowie arabskich uchodźców z 1948 r. nie mają prawa do powrotu, tzn. osiedlenia się w Izraelu, ani nie mają prawa do własności odebranej ich przodkom. Ani nawet do żadnych odszkodowań.

Dla odmiany Żydzi z całego świata, bez względu na przeszłość swoją i swoich rodzin, mają prawo przyjechać do Izraela i się tam osiedlić. Na przykład w jednym z setek miast, które powstały na terenach skonfiskowanych Arabom. Żydowscy imigranci dostają obywatelstwo i wsparcie finansowe przez pierwsze miesiące po przyjeździe.

Jak interpretować tak odmienne traktowanie? Zgodnie z definicją, którą przyjęła w 2002 r. unijna Europejska Komisja przeciwko Rasizmowi i Nietolerancji, „bezpośrednia dyskryminacja rasowa oznacza jakiegokolwiek zróżnicowane traktowanie oparte na takich podstawach, jak rasa, kolor skóry, język, religia, obywatelstwo bądź pochodzenie narodowe lub etniczne, które nie ma żadnego obiektywnego i rozsądnego usprawiedliwienia”.

Niewątpliwie Żydzi i Arabowie są traktowani przez Izrael różnie ze względu na rasę, religię lub pochodzenie etniczne. Czy istnieje jakieś „obiektywne i rozsądne usprawiedliwienie”? Obrońcy Izraela przywołują zwykle argumenty historiozoficzne.

Po pierwsze, powiedzą, że Izrael nie jest normalnym krajem, tylko azylem dla Żydów po Holocaustcie, 2000 lat diaspory i prześladowań.

Po drugie – jest tyle krajów arabskich, w których palestyńscy Arabowie mogą się osiedlać, więc nie ma potrzeby, żeby wracali do ziemi przodków.

Po trzecie – to jest Ziemia Obiecana, którą Bóg przekazał Abrahamowi i Mojżeszowi.

Mówiąc krótko, Żydzi – poszkodowani przez historię i wybrani przez Boga – mają specjalne prawa. Ale co ma powiedzieć Raed, mój znajomy policjant z Ramallah, którego pradiadkowi zabrano dom w Jero-



Miejsce każdego zabitego hamasowca zajmą nowi ochotnicy – jego dzieci, kuzyni lub sąsiedzi

zolimie i wygnano go na zawsze? A piętno wygnania przenosi się na wszystkich potomków pradziadka, w tym na nienarodzone jeszcze dzieci Raeda? Żydowska historiozofia zupełnie go nie obchodzi, chciałby po prostu równych praw i sprawiedliwości.

Gdyby Żydzi pozwolili Raedowi – i milionom jemu podobnych – na powrót, to byłby koniec Izraela. Przy najmniej w obecnej formule „narodowego państwa Żydów” – bo tak Izraelczycy sami zdefiniowali swoje państwo w kontrowersyjnej ustawie z 2018 r. Po prostu Arabów byłoby więcej niż Żydów i w najbliższych wyborach przejęliby władzę.

Innymi słowy, dzisiejszy Izrael musi być rasistowski, żeby przetrwać. A jego wrogowie również są rasistami. Gdyby Arabów zapytać w sondażu, czy popierają wysiedlenie wszystkich Żydów z Palestyny, to większość zapewne odpowiedziałaby „tak”. Imamowie z meczetów w Gazie z upodobaniem powtarzają zapisaną w Koranie opowieść o tym, jak to Bóg zamienił Żydów w świnię.

Ale to żadne usprawiedliwienie. Rasiści, którzy dyskryminują i prześladują innych rasistów, nie przestają być rasistami. Jeszcze gorzej, kiedy prześladowanie nie ma sensu i nie przynosi prześladowcom żadnego pożytku. Na początku wojny niektórzy przestrzegali, że Hamasu nie da się zniszczyć, bo to nie jest tylko organizacja, ale przede wszystkim idea „oporu przeciwko okupantowi”, która siedzi w głowach setek tysięcy ludzi. Plus poczucie krzywdy w ich sercach. Miejsce każdego zabitego hamasowca zajmą nowi ochotnicy – jego dzieci, kuzyni lub sąsiedzi. Po 15 miesiącach bombardowań, po zabiciu 50 tys. ludzi i po zniszczeniu większości budynków w Gazie Hamas nadal istnieje, o czym świadczy choćby to, że jest stroną negocjacji z izraelskim rządem. A kiedy wynegocjowano rozejm, bojownicy – nowi, świeżo zrekrutowani – pojawili się na ulicach. Gdy uwalniają kolejnych zakładników, paradują przed kamerami w pełnym rynsztunku.

Winy za bezsensowną masakrę nie da się zrzucić na „dyżurnych” winowajców, czyli na cynicznego premiera Netanjahu i skrajną izraelską prawicę. Zdecydowana większość izraelskich Żydów chciała tej masakry i miała w absolutnej pogardzie los palestyńskich cywilów. W pierwszych miesiącach wojny, kiedy bombardowania były najintensywniejsze, Uniwersytet w Tel Awiwie zapytał w sondażu: „Czy twoim zdaniem siła ognia używana przez naszą armię w Gazie jest właściwa?”. 57 proc. ankietowanych izraelskich Żydów odpowiedziało, że „siła ognia jest zbyt mała”. Jedynie 2 proc. uznało, że „siła ognia jest zbyt duża”. Inne sondaże dawały wyniki podobne lub nawet jeszcze bardziej przygnębiające.

I znowu: emocje wywołane przez atak terrorystyczny 7 października w jakimś stopniu wyjaśniają przyczyny takich nastrojów społecznych. Ale ich nie usprawiedliwiają.

„To, jak Żydzi traktują Arabów, którzy tutaj jeszcze pozostali, wystarczy samo w sobie, żeby zjednoczyć cały świat przeciwko Izraelowi” – pisała Hannah Arendt do męża w liście z Jerozolimy w 1955 r. W następnych dekadach o rasistowskich praktykach Izraela napisano tyle raportów, książek i artykułów, że łatwo się zgubić w szczegółach.

Dlatego warto przypomnieć istotę problemu. Otóż na terenie kontrolowanym obecnie przez rząd Izraela żyją trzy rodzaje ludzi: obywatele pochodzenia żydowskiego (nazwijmy ich umownie pierwszą kategorią), obywatele pochodzenia arabskiego (druga kategoria) oraz arabscy nieobywatele z ziem okupowanych od 1967 r. (Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy), czyli kategoria trzecia.

Ludzie trzeciej kategorii nie mają prawa do głosowania w Izraelu, czyli nie mogą wybierać ludzi, którzy decydują o ich życiu. Ich dochód w przeliczeniu na osobę jest około 20 razy mniejszy niż dochód na osobę pierwszej kategorii. Nie mają prawa wyjeżdżać z ziem okupowanych. Na Zachodnim Brzegu jeżdżą po gorszych drogach, są zatrzymywani przez doraźne blokady czy kontrole wojskowe. Lepsze drogi zbudowano dla żydowskich osadników, którzy należą do pierwszej kategorii. Izrael uchyla się od odpowiedzialności za ludzi trzeciej kategorii i wyjaśnia, że podlegają oni Autonomii Palestyńskiej. Autonomia jednak jest fikcją, wszystkie istotne dla ludzi trzeciej kategorii decyzje zapadają w Jerozolimie. Na przykład na większości terytorium Zachodniego Brzegu do budowy domu potrzebna jest zgoda izraelskiej administracji, a nie Autonomii. Ponad 95 proc. wniosków o pozwolenie na budowę składanych przez ludzi trzeciej kategorii jest odrzucana.

Dla odmiany, ludzie pierwszej kategorii – jeśli postanowią zamieszkać na okupowanym Zachodnim Brzegu – mogą być spokojni, że pozwolenie na budowę dostaną. Co roku żydowscy osadnicy budują tam „legalnie” kilka tysięcy mieszkań. Pozwolenie trzeba mieć również na wiercenie studni – w tej kwestii na Zachodnim Brzegu również panuje dyskryminacja rasowa. Osoba trzeciej kategorii zużywa średnio 80 litrów wody dziennie, czyli trzy razy mniej niż jej statystyczny sąsiad z osiedla żydowskiego. Światowa Organizacja Zdrowia rekomenduje minimum 100 litrów dziennie.

Różnice między pierwszą a drugą kategorią nie są aż tak dramatyczne, ale jednak wyraźne. Ludzie drugiej kategorii stanowią 21 proc. obywateli Izraela, ale mają tylko 3 proc. ziemi. Żyją średnio pięć lat krócej niż ludzie kategorii pierwszej i mają dochody o 50 proc. mniejsze.

Nawet w proizraelskiej Ameryce niektórzy – szczególnie młodzi – rozumieją, że krytykowanie Izraela nie jest antysemityzmem. ACLU – American Civil Liberties Union – czyli organizacja z wielkimi tradycjami i zasługami w obronie praw obywatelskich, uważa, że robocza definicja antysemityzmu IHRA jest przesadą, a nazywanie Izraela „projektem rasistowskim” nie jest przejawem dyskryminacji Żydów, tylko dopuszczalnym, chronionym przez wolność słowa głosem w debacie politycznej.

Słowo „antysemityzm” jest nadużywane również w Europie – na przykład po zamieszkach w Amsterdamie w grudniu, gdzie kibice Maccabi Tel Awiw bili się na ulicach z miejscowymi, głównie młodymi arabskimi imigrantami. Skoro goście z Izraela skandowali hasła: „Śmierć Arabom”, „W Gazie nie potrzeba szkół, bo tamtejsze dzieci już nie żyją”, i zrywali palestyńskie flagi rozwieszone w oknach, to napaść na nich trudno sklasyfikować jako „akt antysemityzmu”. Był to raczej „akt chuligański” – również godny potępienia, ale jednak niemający nic wspólnego z nieracjonalną niechęcią czy nienawiścią do Żydów, Holocaustem, teoriami spiskowymi o Żydach rządzących światem, mitem o Żydach wypijających krew chrześcijańskich niemowląt i tak dalej.

Często zdarza się, że przed sądem staje oskarżony, który w dzieciństwie był bity przez ojca alkoholika i prześladowany przez lokalnych chuliganów. Rozumiemy okoliczności łagodzące, współczujemy, że miał strasznego pecha w życiu, ale mimo wszystko nie umarzamy postępowania.

Podobnie jest z Izraelczykami. Stali się rasistami w wyniku wyjątkowo niefortunnego zbiegu okoliczności: skomplikowanej historii miejsca, z którego się wywodzą; diaspyry i prześladowań, których ofiarami byli przez wiele wieków; rywalizacji mocarstw na Bliskim Wschodzie, i wreszcie w wyniku fatalnych, trudnych do naprawienia decyzji, które żydowscy ojcowie narodu podjęli w latach 1948 i 1967.

Dodatkowym pechem Izraela jest to, że pojawił się na mapie około stu lat za późno. Amerykańscy rasiści pozamykali Indian w rezerwach, kiedy jeszcze nie było ONZ ani organizacji obrońców praw człowieka, a czarnych dyskryminowali jeszcze 70 lat temu. Dzisiaj jednak podają się za „liderów wolnego świata”. Tymczasem izraelscy rasiści, którzy pozamykali Palestyńczyków w Strefie Gazy i w 165 małych enklawach na Zachodnim Brzegu, są oceniani według współczesnych, bardziej surowych standardów.

Należy im współczuć, ale ich rasizm należy piętnować. I nie jest to „przejaw antysemityzmu”. ●

• **Pranie w ruinach dawnego domu. Życie codzienne, tych którzy przetrwali w Strefie Gazy zniszczonej nalotami i ofensywą wojsk izraelskich (18.02. 2025).**

FOT. JEHAD
ALSHRAFI/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

• Zwolnieni pracownicy Amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego (USAID) opuszczają biura w Waszyngtonie. Na ulicy pozdrawiają ich już wcześniej wyrzuceni koledzy (21 lutego br.). Jak dotąd to USAID najbardziej ucierpiało na kadrowej restrukturyzacji Elona Muska



FOT. REUTERS/BRIAN SNYDER

NIKT NIE KOCHA URZĘDNIKA

Nikt nie zadzwonił, nie przedstawił oczekiwań, wytycznych. Dostaliśmy tylko maila z Departamentu Stanu, że to, czym się zajmujemy, jest „nieamerykańskie”.

Mateusz Mazzini

Błagam, nie podawaj żadnych moich danych. Nic, co pozwoliłoby mnie zidentyfikować. Możesz napisać, że byliśmy największym partnerem wykonawczym USAID. Ale nic więcej. Ludzie, którzy krytykują Trumpa i Muska, są prześladowani w necie. Robi się im doxing. Publikują wszystkie twoje dane wrażliwe: telefon, adres, wszystko.”

Abigail* o zachowanie anonimowości poprosi pięć razy. Gdy odsłuchuję nagranie, dociera do mnie, że rytm i dodatkowy przekaz, niczym refren w piosence, nadają mu te powtarzające się prośby. I że one najwięcej oddają nastrój byłych pracowników amerykańskiego sektora pomocy rozwojowej oraz urzędników federalnych.

Od 20 stycznia, inauguracji nowej administracji prezydenckiej, kierowana przez Elona Muska DOGE, Department of Government Efficiency – departament efektywności rządowej – wyrzucił lub zmusił do odejścia

prawdopodobnie ponad 100 tys. ludzi. Ile dokładnie? Nie wiadomo, bo osoby odpowiedzialne za redukcję zatrudnienia w administracji nie podają wyliczeń. W dodatku status prawny tysięcy jest niepewny, bo sędziowie federalni raz po raz próbują blokować działania wysłanników Muska.

Najwięcej pracowników zostało wyrzucenych z USAID, agencji pomocy rozwojowej, ale też z Departamentu Obrony czy agencji podatkowej (IRS), agencji bezpieczeństwa w lotnictwie (FAA) i spośród strażników parków narodowych.

Strach był pierwszym dowodem na autentyczną panikę w Waszyngtonie. Drugim – lzy i drżący głos. Przez ostatnie kilkanaście dni wysłuchałem historii 12 osób, które straciły pracę po 20 stycznia. W większości to ludzie młodzi, choć wśród moich rozmówców znalazły się też osoby z ponad 20-letnim doświadczeniem w dyplomacji i pomocy międzynarodowej. Wszyscy są wysokiej klasy specjalistami w swoich dziedzinach, legitymują się dyplomami prestiżowych uczelni. Są wśród nich zarejestrowani wyborcy Partii Republikańskiej, którzy za pierwszej kadencji Trumpa usiłowali normalizować jego politykę, a także bezpartyjni fachowcy, którzy dla administracji pracowali pod rządami i Demokratów, i Republikanów. Zwłaszcza perspektywa tych ostatnich była pomocna w zrozumieniu tego, co w tej chwili dzieje się w stolicy USA.

– W służbie naszemu państwu spędziłam 27 lat – mówi mi Sandra*, która pracowała w Departamencie Stanu i w różnych organizacjach, w tym prywatnych, będących podwykonawcami rządu federalnego przy realizacji projektów zagranicznych.

USAID, główna instytucja realizująca amerykańską pomoc rozwojową, w praktyce już nieistniejąca, całkowicie zdewastowana przez Muska, dysponowała 44 mld dol. rocznego budżetu. Rzadko kiedy jednak sama wdrażała projekty na miejscu. To nie pracownicy USAID budowali szpitale w Sudanie czy ukraińskie centra obsługi rodzin weteranów – robiły to za nich prywatne firmy – partnerzy operacyjni. W zdecydowanej większości przypadków były to podmioty amerykańskie, zatrudniające Amerykanów i w Ameryce płacące podatki. To pierwsza rzecz, na którą zwracali mi uwagę rozmówcy – żeby wytknąć kłamstwa Muska twierdzącego, że USAID rozdaje pieniądze amerykańskim podatnikom.

– Akurat tak się złożyło, że większość kariery spędziłam pod władzą Republikanów. Albo mieli prezydenta, albo kontrolowali Kongres. W Waszyngtonie tak się mierz czas – kadencjami obu partii. 27 lat to naprawdę długi okres. Wiele rzeczy doświadczyłam. Busha juniora, który nam się wydawał radykalny, bo obcinał na wszystko wydatki. Pamiętam entuzjazm czasów Obamy, pierwszą kadencję Trumpa, kiedy wszyscy uciekali z rządu federalnego, bo nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Ale nigdy nie widziałam takiej skali destrukcji.

Usprawnienie rządu federalnego, 15. pod względem wielkości pracodawcy w Stanach Zjednoczonych, było jednym z głównych postulatów wyborczych Trumpa. Nie podawał szczegółów, ale żerował na emocjach.

To strategia przemyślana i trafna, bo od lat w USA narasta autentyczna nienawiść do struktur federalnych. Już w głośnej

książce „Obcy we własnym kraju”, wydanej we wrześniu 2016, tuż przed pierwszym zwycięstwem miliardera, Arlie Russell Hochschild opisała negatywne uczucia wobec wszystkiego, co wywodzi się z Waszyngtonu. Dominujące zwłaszcza u wyborców konserwatywnych, z południowych stanów USA. Oraz u wyborców biednych. Podczas badań w Luizjanie socjolożka z Uniwersytetu Kalifornijskiego odkryła ciekawą zależność. Im bardziej dana grupa społeczna potrzebowała rządowej – czyli federalnej – pomocy i im bardziej na niej korzystała, tym bardziej rządowi nienawidziła.

Hochschild opisuje rozmowy z mieszkańcami małej miejscowości, w której rzekę, niegdyś lokalną chlubę i atrakcję, wokół której koncentrowało się życie ludzi, zatruły chemikalia z pobliskiej fabryki. Mieszkańcy z sentymentem wspominają wyprawy na ryby, nadrzeczne spacery, kąpiele, dziecięce zabawy – i na tym samym oddechu pomstują na EPA, Environmental Protection Agency, amerykański odpowiednik ministerstwa środowiska. Narzekają, że EPA narzuca regulacje ekologiczne, które ograniczają pole manewru lokalnym przedsiębiorcom, przez co ich miścina biedniejsza, pustoszeje, po prostu umiera.

Gdy Hochschild pyta, czy nie widzą w tym sprzeczności, bo to właśnie EPA mogłaby pomóc odzyskać rzekę, bez której miasteczko nie jest tym, czym było, odpowiadają, że to nie ma dla nich znaczenia. Dlaczego? „W niebie wszystkie drzewa i tak są wiecznie zielone” – słyszy socjolożka.

Nieracjonalne? Niespójne? Ale tak jest i już. Amerykanie spoza największych metropolii i oaz postindustrialnej nowoczesności nienawidzą rządu, nie cierpią wtrącających się „federalnych”.

Ta nienawiść wybiła na powierzchnię w ostatnich wyborach. Według pracowni Pew Research Center latem, kiedy Ameryka wchodziła w decydującą fazę kampanii, zaufanie do rządu federalnego było prawie najniższe w historii badań. Pozytywnie o jego pracy wypowiadało się zaledwie 23 proc. respondentów – z czego 21 proc. uważało, że władze w Waszyngtonie realizują obowiązki we właściwy sposób „w większości przypadków”, a tylko 2 proc. – że „prawie zawsze”.

Tendencja zniżkowa utrzymuje się praktycznie od lat 50. – czyli istniała już w czasach powojennego boomu. Amerykanie przestawali ufać władzom pomimo sprawiedliwych podatków, budowy podstawowych instytucji socjalnych i świeżej pamięci gigantycznych inwestycji federalnych w ramach New Deal Roosevelta, które wydzwignęły z nędzy miliony obywateli. Odsetek respondentów mających dobre zdanie o rządzie federalnym był najwyższy w 1964 r., gdy prezydentem był Lyndon B. Johnson – dobił do 77 proc. On sam nie przeszedł do historii jako prezydent szczególnie skuteczny, ale jego korzyści przemawiało poszerzenie praw obywatelskich czarnoskórych mieszkańców USA, zbierał też owoce polityki poprzednika, uwielbianego Johna F. Kennedy’ego. Po zmianie w Białym Domu i dojściu do władzy Richarda Nixona było już tylko gorzej. Afera Watergate, coraz wyraźniejsza obecność FBI w życiu publicznym, pierwsze teorie spiskowe i gniew związany z wojną w Wietnamie oddaliły Waszyngton od społeczeństwa. Tej tendencji na dobre nie zatrzymał już nikt.

Na chwilę słupek podskoczył do ponad 60 proc. po atakach z 11 września, kiedy Amerykanie przeżywali wielki patriotyczny i wspólnotowy zryw. Ale zaraz przyszła interwencja w Iraku, upadek banku Lehman Brothers – i podobny do ubiegłorocznego dół zarejestrowano w 2011 r., kiedy gospodarka nadal odczuwała skutki kryzysu finansowego. Od tego czasu, jeśli jest lepiej, to minimalnie i tylko na chwilę.

Jednocześnie widać podział w elektoracie względem opinii o rządzie federalnym. O ile nawet 35 proc. – przeszło co trzeci – wyborców Partii Demokratycznej ma o nim pozytywne zdanie, o tyle już u Republikanów rzadko liczby są dwucyfrowe; w czasie kampanii tylko 7 proc. konserwatywnych Amerykanów dobrze oceniało instytucje centralne. Podobnie wyraziście dzielą się grupy etniczne. Najgorszą opinię o Waszyngtonie mają biali mężczyźni, najlepszą – Amerykanie pochodzenia azjatyckiego i latynoskiego.

Partia Republikańska, od zawsze lubiąca się prezentować jako formacja prawa, porządku i wierności konstytucji ponad wszystko, stała się partią anarchistyczną, ugrupowaniem polityków i wyborców napędzanych nienawiścią do własnego rządu i administracji jako takiej. Musk rękami Trumpa zbiera tylko plony, bo ziarno zasiano już dawno. Niektórzy komentatorzy, jak Ezra Klein z „New York Timesa”, uważają nawet, że amerykańskie państwo zepsuli George W. Bush i Dick Cheney, pomysłodawca obalenia Saddama Husajna w Iraku, którzy poszerzyli uprawnienia prezydenta po atakach z 11 września. A zwłaszcza Cheney, który ucieleśniał wszystkie stereotypy o waszyngtońskim polityku: jednocześnie cynik władzy i zaciekle neokonserwatysta, wyznawca wojny kulturowej, polityczny manipulator i przyjaciel wielkiego biznesu. Jill Lepore, historyczka z Harvardu, autorka nowej historii kraju „My, naród”, sięga jeszcze dalej, do czasów Nixona.

Te analizy pomijają prozaiczny fakt. Amerykanom we własnym kraju żyje się coraz gorzej. Dobijają ich koszty, coraz brutalniejsza rywalizacja na rynku pracy, rosnące nierówności, praktycznie nieistniejący już awans społeczny. Zbiorczo winią za to rząd.

Jeśli dodać do tego, że jedna czwarta obywateli wierzy, że rząd to tajna międzynarodowa siatka pedofilska handlująca dziećmi, przemycająca je w tunelach wykopanych pod ulicami stolicy kraju (to jedna z głównych prawd łączących wyznawców Qanon, ruchu skupiającego wszelkie możliwe teorie

spiskowe), nietrudno zrozumieć entuzjazm dla zwolnień w stolicy.

Muskowi udaje się dorobić do tej czystki wielką propagandę sukcesu także dlatego, że nie ustawił sobie na wstępie konkretnych celów. Chociaż o wielkim sprzątaniu i uelastycznianiu państwa trąbili on, Trump i prawicowe media co najmniej od grudnia, Amerykanie poznali konkretne plany dopiero na początku lutego, gdy CNN poinformowało, że DOGE chce do września wysłać na zieloną trawę co najmniej 100 tys. osób. W tym celu oferuje się im buyout programs, ofertę wykupu ich kontraktów przez władzę. W dużym skrócie: podpisz i nie musisz już nic robić, nawet pojawiać się w pracy. Pensję będziemy ci płacić aż do 30 września, potem jesteś wolny.

Według informacji CNN – bo DOGE danych nie podaje – ofertę zaakceptowało na razie 75 tys. ludzi. Zważywszy na to, że łącznie w instytucjach federalnych pracuje około 3 mln osób, trudno uznać to za jakiś ogromny sukces.

Jednocześnie program wykupu kontraktów (który Musk wprowadził wcześniej u siebie, po przejściu Twittera) z dnia na dzień staje się coraz mniej popularny. Quinta Jurecic, prawniczka z think tanku Brookings Institution, opisała związane z nim problemy w „New York Timesie”. W rozmowie z Ezrą Kleinem tłumaczyła, że warunki umowy cały czas się zmieniają, a poza tym problemem są dwie kwestie. Po pierwsze, oferta rządowa tak naprawdę nie zawiera żadnych gwarancji zatrudnienia do 30 września – czyli każdy, kto ją zaakceptuje, i tak może wylecieć za tydzień, dwa albo za miesiąc. A po drugie, na mocy ustawy przyjętej w grudniu przez Kongres rząd federalny ma zapewnić finansowanie z budżetu jedynie do 14 marca. Jeśli do tego czasu partię nie zawrą nowego paktu, instytucje wejdą w tryb minimalnego funkcjonowania, shutdown, w czasie którego zdecydowana większość usług publicznych realizowanych przez władze federalne nie jest dostępna.

Rzecz w tym, że w ostatnich latach praktycznie nie było roku bez shutdownu, z reguły wywołanego przez wciąż deklarujących się jako propaństwowi Republikanów, którzy blokowali konsensus budżetowy. Co prawda teraz to Republikanie rządzą, ale w atmosferze chaosu i permanentnej – nawet jeśli w sporej mierze werbalnej – rewolucji, więc nie sposób przewidzieć, co będzie po 14 marca. I czy w ogóle jakiś rząd federalny jeszcze będzie istnieć. Dlatego prawnicy ze związków zawodowych zrzeszających federalną budżetówkę kategorycznie odradzają przyjmowania oferty DOGE – i apele te trafiają na podatny grunt.

Nawet takiej szansy nie otrzymali jednak pracownicy USAID i partnerów operacyjnych. Agencja jest pierwszą, która poszła pod nóż. Od rozmówców słyszę, że to pacjent zero terapii szokowej Muska. Abigail: – Testują na nas, co mogą zrobić bez konsekwencji. A ponieważ pracujemy głównie za granicą, USAID nikogo w kraju nie obchodzi. Zarzegli nas bez słowa sprzeciwu, bez żadnego oporu.

Sandra: – Jeśli chcesz wiedzieć, kto jeszcze zostanie zaatakowany, idź za kontraktami Muska. Wszędzie tam, gdzie był w sporze sądowym z rządem lub gdzie rząd go reguluje, będzie cięć. FAA, ludzie od bezpieczeństwa lotnictwa, też oberwą. I regulatorzy finansowi, którzy hamują kryptowaluty.

U Muska za wolnościowymi deklaracjami kryje się coś bardzo prostego. Chce eliminacji blokad stojących na drodze do realizacji jego nadrzędnych celów: wysłania ludzi na Marsa i powiększenia jego imperium biznesowego. Ale u Trumpa za wolnościowo-biznesowymi sloganami kryje się coś jeszcze prostszego: prezydent się mści. Moi rozmówcy uważają, że na pewno rozważone zostaną Departament Edukacji i Departament Zdrowia. Pierwszy Trump ob-



POL/REUTERS/NATHAN HOWARD

• **Wielki reformator Elon Musk z nowym gadżetem – piłą łańcuchową, symbolem cięć – na konferencji konserwatystów (CPAC) w stanie Maryland, 20 lutego br.**

Uderzenie w urzędników i pracowników administracji to strategia bardzo przemyślana i trafna, bo od lat w USA narasta autentyczna nienawiść wobec struktur federalnych

winia o rozprzestrzenianie się ideologii woke i „lewackich” norm społecznych – przegrzywka już nastąpiła, Biały Dom rozesłał nakaz likwidacji programów promujących różnorodność i równe szanse, na razie do instytucji akademickich. Drugi – o pandemiczny reżim sanitarny. Trump jest przekonany, że gdyby ograniczeń w czasie pandemii nie było, nie przegrałby wyborów z Bidenem.

Łącznie te dwie instytucje zatrudniają 70 tys. osób – niewiele w skali kraju. Ich znaczenie dla funkcjonowania społeczeństwa jest jednak krytyczne. Departament Edukacji zarządza całym wsparciem finansowym dla szkół publicznych i koordynuje różne aktywności socjalne dziejące się w szkole, choćby dystrybucję w placówkach edukacyjnych posiłków dla dzieci z ubogich rodzin.

Z kolei Departament Zdrowia to przede wszystkim instytucja zbierająca gigantyczne ilości danych o zdrowiu Amerykanów. To nie może się podobać wolnościowcom, którym umyka, że – jak alarmował David Wallace-Wells, publicysta naukowy „The New York Timesa” – ta „ingerencja w prywatność i wolność” oznacza, że Musk już zniszczył m.in. badania niedożywienia u dzieci i usunął z domeny publicznej bazy danych dotyczące chorób zakaźnych.

Z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego i po prostu życia codziennego bardziej niepokojący jest jednak atak na instytucje porządku publicznego. „Wywiad i mundurowi zostaną zdziśiátkowani” – napisała mi w SMS znajoma zajmująca kierownicze stanowisko w jednej z największych firm

mediowych w USA. Quinta Jurecic z Ezrą Kleinem w „The New York Times” wyliczają, że Trump chciałby wywalić jedną szóstą osób zatrudnionych na stanowiskach operacyjnych w FBI. W liczbach bezwzględnych to 6 tys. osób. Na pozór niewiele, ale liczba nie jest przypadkowa – dokładnie tyle agentów, analityków, ekspertów, profilerów było zaangażowanych w gigantyczne śledztwo w sprawie ataku na Kapitol z 6 stycznia 2021 r. Trump uważał je za motywowany politycznie atak na jego osobę. I chce pozbyć się każdego, kto brał w nim udział.

Uderzy to w bezpieczeństwo narodowe na każdym poziomie – bo do śledztwa w sprawie insurekcji zaciągnięto ludzi z różnych wydziałów. Szeroko o tym rozpisuje się ostatnio „The Wall Street Journal”, konserwatywny biznesowy dziennik klanu Murdochów, coraz bardziej rozczarowany Trumpem. Autorzy wskazują, że osłabiono kadrowo zespoły zajmujące się aktywnością Chin, Rosji i zagrożeniem terrorystycznym z Bliskiego Wschodu. W dodatku ludzie Muska poruszają się po administracji jak dzieciaki po sklepie z porcelaną. Lista kandydatów do zwolnień z FBI i CIA, którą wysłali do Białego Domu, była niezakodowanym plikiem z imionami i pierwszą literą nazwiska. Dla agentów obcego mocarstwa albo kartelu narkotykowego odszyfrowanie pełnych danych tych ludzi to banal.

Na początku lutego „The Washington Post” poinformował też, że całkowicie upolityczniono rekrutację do FBI. Kandydatom zadaje się między innymi takie pytania: „Kto naprawdę wygrał wybory w 2020 r.?” „Która strona w czasie ataku na Kapitol była stroną patriotyczną?”. A nawet: „Kiedy nastąpił twój osobisty moment Make America Great Again”.

Z zewnątrz wygląda to kuriozalnie, bo tych wszystkich zmian dokonują często nastolatki i ludzie bez żadnego doświadczenia zawodowego. Portal śledczy ProPublica ujawnił listę pracowników DOGE, wskazując, że większość to 40-latkowie z doświadczeniem w wielkich kancelariach prawniczych, firmach doradztwa strategicznego i domach mediowych, ale nie oni realizują fantazje Muska na samym dole, w terenie. To miliarder powierzył młodym mężczyznom, w zasadzie chłopakom, którzy mają, 19, 20, góra 26 lat, niektórzy są wciąż na studiach albo zaliczyli rok czy dwa pracy w start-upach w Dolinie Krzemowej.

Jak wynika ze śledztwa zespołu reporterów „The Atlantic”, ci ludzie nie mają pojęcia, jak działa rząd federalny. Kasują kolejne miejsca pracy tak beztrzesko, bawiąc się świetnie jak na imprezie bractwa studenckiego także dlatego, że niewiele ryzykują. Śledztwo magazynu „Wired” pokazało, że niemal wszyscy są dziedzicami sporych fortun żyjącymi z zainwestowanych pieniędzy od rodziców. Tacy ludzie są głusi na uwagi. Piła mechaniczna, ulubiony metaforyczny gadżet neopopulistów, który do obiegu wprowadził prezydent Argentyny, ekscentryczny libertarianin Javier Milei, musi chodzić cały czas na najwyższych obrotach.

USAID jako pierwszy cel Muska, na którym testuje metody „optymalizacji”, doskonale pokazuje to, jak DOGE łamie praktycznie wszystko – od elementów systemu państwowego – normatywnych, prawnych, finansowych – po dobro obywateli.

USAID, instytucja powołana w 1961 r. na wniosek Kennedy’ego, podlega nadzorowi Senatowi i Izbie Reprezentantów. Musk skasował ją bez konsultacji, a kongresmeni potulnie milczą. W obu izbach większość mają Republikanie, a partia jest zdominowana przez trumpistów i altrightowców. Jeśli ktoś sprzeciwi się Trumpowi, w prawyborach dostanie rywala utuczonego na nieograniczonych pieniądzach i zasięgach X Muska. Z takim kontrkandydatem nie da się wygrać, więc członkowie GOP siedzą cicho.

Z USAID przekroczono wszystkie granice. Najpierw, w dniu inauguracji, Trump,

pomijając Kongres, podpisał dekret o zamrożeniu całości budżetu USAID na 90 dni – w tym czasie projekty agencji miały zostać poddane audytowi. To samo zapowiadał sekretarz stanu Marco Rubio. Szybko się okazało, że te względnie rozsądnie brzmiące deklaracje to wszystko zasłona dymna.

Victoria, 31-letnia córka polskich imigrantów, w sektorze pomocy spędziła sześć lat, jest absolwentką prestiżowej uczelni na Wschodnim Wybrzeżu. Długo zachowuje profesjonalizm, spokojnie odpowiada. Głos zaczyna się jej załamywać pod koniec, kiedy mówi, że przestaje rozpoznawać swój kraj.

– Poszłam do pomocy rozwojowej, bo chciałam oddać innym to, co sama dostałam. Rodzice przyjechali tu, uciekając przed komunizmem. Zawsze powtarzano mi, że to mój kraj i kraj szans. Tygiel kultur, w którym jesteśmy mile widziani, jeśli dokładamy się do rozwoju Ameryki. Dzisiaj mam wrażenie, że mnie okłamano. Że ta umowa społeczna w Stanach już nie działa.

Victoria opowiada, że pierwsze komunikaty w sprawie zamrożenia środków USAID jej firma, jeden z największych partnerów operacyjnych agencji, otrzymała 26 stycznia, w niedzielę. – Z pierwszego maila wynikało, że mamy przestać wydawać pieniądze, które nam już przydzielono. Za 90 dni miało się wyjaśnić, co zostanie skasowane, a co przetrwa. Spodziewaliśmy się zmian, wiadomo – każdy się spodziewał. Przeczuliśmy, że nie będzie dalej pieniędzy na projekty o inkluzywności, prawach mniejszości seksualnych. Mogło nam się to podobać lub nie, ale rozumiemy – każda administracja ma swoje priorytety i prawo do meblowania instytucji po swojemu. Ale nikt nie zakładał pełnej blokady. W pierwszym mailu napisano nam, że zostaną utrzymane wszystkie projekty humanitarne, związane ze zdrowiem czy zaopatrzeniem medycznym. Usiedliśmy do komputerów i zaczęliśmy przeglądać budżety. Naprawdę chcieliśmy się dopasować, zobaczyć, co może spełniać ich kryteria. Mimo że nikt nam tych kryteriów nie wyjaśnił.

Victoria akurat uruchamiała firmę mającą realizować projekty społeczne w Etiopii – aktywizować młodzież, pomagać w znalezieniu pierwszej pracy, odciągać weteranów od bojówek. Planowała wyjazd do Afryki, kupno sprzętu, wynajem biura, proces rekrutacyjny na miejscu. Nigdzie nie pojedzie.

Abigail też nie zrealizuje planów swojej firmy, która zajmowała się programami zdrowia publicznego – takimi jak dystrybucja szczepionek, leków, wsparcia technicznego dla szpitali. Te programy nie były tylko numerkami w Excelu. One ratowały życie tysiącom ludzi na całym świecie.

Musk zlikwidował prezydencki program wsparcia osób zakażonych wirusem HIV, w ramach którego leki otrzymuje 20 mln ludzi w Afryce Subsaharyjskiej. W Sudanie Południowym wstrzymano szczepienia dzieci, przestały działać punkty dystrybucji jedzenia. Jedna z rozmówczyń opowiedziała mi, jak w Etiopii dzieci ustawiały się po miski z jedzeniem. Pierwsze jedenaścioro dostało swoje racje, a potem ktoś przeczytał maila z Waszyngtonu i kilkadziesiąt dzieciaków musiał odprawić z kwitkiem.

Nie będzie już wsparcia dla brazylijskich ekologów walczących – z narażeniem życia, bo ich zabójstwa są częste – z wylesieniem Amazonii. Lokalne organizacje w Azji Południowo-Wschodniej już nie mają za co rozbierać min przeciwpiechotnych. Zamknęły się ukraińskie redakcje działające partyzacko na terenach okupowanych.

Liczb jeszcze nikt nie zebrał, ale jest pewne, że z powodu tej jednej decyzji Trumpa i podszeptów Muska umarło już wiele osób.

Victoria i Abigail straciły pracę z dnia na dzień. W samym USAID, nie licząc podwykonawców, zatrudnienie zredukowano z 10 tys. osób do 320. Moi rozmówcy podkreślają, że w praktyce agencja już nie istnieje – ci, którzy zostali, są kimś na kształt syndyka masy upadłościowej.

Oczywiście, można być adwokatem diabła i powiedzieć za zwolennikami Muska

i Trumpa, że ta agencja to przerośnięty bankomat i okej, szkoda pomocy głodującym dzieciom w Afryce, ale dlaczego amerykański podatnik ma utrzymywać jakichś aktywistów w regionach wolnych i jednak na tle świata nieźle sobie radzących, na przykład w Europie Wschodniej? Tyle że ci utrzymywani przez Johna z Ohio Europejczycy, jeśli istnieją, to są nieistotnym promilem. Na większości projektów rozwojowych Ameryka zarabia. Moi rozmówcy wskazują na sukces pożyczek rozwojowych w krajach byłego Związku Radzieckiego. Amerykanie zakładali tam spółki z miejscowymi rolnikami, pożyczali im pieniądze na inwestycje w sprzęt na wcale niemały procent. Pożyczki były spłacane, firmy rosły, przynosiły zyski amerykańskim współinwestorom.

A niedochodowa pomoc humanitarna też w rachunku ciągnionym USA się kalkulowała. Im mniej nieszczęścia w niestabilnych, targanych wojnami domowymi i kłeskami żywiołowymi państwach Afryki czy Bliskiego Wschodu, tym mniej uchodźców, potencjalnych zamachowców, pożywki dla różnych bojówek i milicji siejących dalszy zamęt. I mniej państw upadłych, stających się – jak niegdyś Sudan dla Al-Kaidy – azylem i poligonem grup terrorystycznych.

Poza tym pracownicy USAID nie byli, jak chce Musk, urzędasami żyjącymi z tego, że zza biurek zlecają brudną robotę innym, lecz również czymś na kształt sił szybkiego reagowania. Kiedy coś na miejscu przedstawiało działać – lecieli w teren. W razie potrzeby sami stawiali namioty i szpitale, zarządzali logistyką transportów jedzenia, znali na pamięć procedury w czasie huraganów czy trzęsień ziemi. Armia ekspertów, którą z dnia na dzień wyrzucono na bruk.

Z rozmontowaniem instytucji federalnej upadł cały sektor gospodarki. Victoria: – To nie są takie zwolnienia jak na przykład w firmach technologicznych. Facebook wywalił 3 tys. osób, ale one mogą przejść do innych spółek. U nas nie ma gdzie przejść.

Victoria i Abigail, choć starają się mówić ogólnie i występują anonimowo, wykazały się odwagą. Sporo osób odmówiło mi komentarza – nie tylko zatrudnionych bezpośrednio w agencjach federalnych. Boją się ludzie zatrudnieni w międzynarodowych organizacjach pomocowych. Nie chcieli się wypowiadać nawet anonimowo, powołując się na coraz większe społeczne koszty sprzeciwu wobec Trumpa i Muska.

A jeśli schemat z USAID powtórzy się w innych gałęziach rządu i dojdą do tego cła na każdego partnera handlowego Ameryki, boleśnie to odczują... wyborcy Trumpa. Wzrosną ceny żywności i koszty produkcji, bo z rynku pracy znikną tysiące tanich imigrantów. Już wstrzymywane są subsydia dla rolników. Niektórzy zwolennicy prezydenta skarżą się swoim kongresmenom, że miało być wreszcie dobrze, a jest coraz gorzej. A Republikanie powtarzają za liderem, że drożyzna to вина Bidena i Demokratów.

W Waszyngtonie mało kto jeszcze liczy – jak liczono przed inauguracją – na pozostałe instytucje stanowiące ograniczenie władzy wykonawczej, na czele z sądami. Bo sądy wstrzymują kolejne dekrety Trumpa i posunięcia Muska, ale ludzie Białego Domu to ignorują. Przychodzi rozporządzenie i urzędnicy i funkcjonariusze publiczni ustępują. Bo co mają zrobić? Większość osób pogodziła się już z faktem, że blokad egzekutywy po prostu nie ma.

Abigail: – Ich pierwszym ruchem było zwolnienie całej kadry zarządzającej. Zostawili 60 osób ze średniego szczebla. A potem ci chuligani od Muska przyszli do budynku USAID i chcieli wynieść całe archiwa. 60 lat projektów, w całości skatalogowane, udokumentowane. Chcieli to po prostu zniszczyć, bo archiwa to dla nich biurokracja i papierologia. Szefostwo im nie pozwoliło wejść na teren obiektu, wysłało ochronę. To wiesz, co się stało? Następnego dnia Musk zwolnił i szefostwo, i ochronę. A to przecież jest kradzież własności federalnej, za którą zapłacili podatnicy!

Victoria: – Wszystko, co robiliśmy, było audytowane raz na kwartał. Każdy dolar wydany przez partnera operacyjnego USAID podlegał weryfikacji przez Kongres. Słowa Muska, że jesteśmy skorumpowanymi przestępcami, to zwykle zniesławienie. Ale to jedynie, co teraz dostajemy od rządu: non stop zniesławianie na Twitterze.

Wszystkich rozmówców pytałem o komunikację z nowymi władzami. Kto wysyłał im maile? Skąd pochodziły? Wszystko bezosobowo, mailem, czy były telefony? Spotkania? Rozmowy? Czy w ogóle przedstawiono im, czego się od nich oczekuje? Jeśli nie od nich wprost, to informując o nowej wizji amerykańskiej polityki zagranicznej? Victoria: – Dostaliśmy tylko mail z Departamentu Stanu. Napisano, że pomoc rozwojowa

Abigail: Reszta społeczeństwa żyje, jakby nic się nie działo. Chociaż jesteśmy ich sąsiadami, klientami, współobywatelami. Mnie osobiście ogarnia wściekłość. Gdzie są ludzie, którzy powinni się temu przeciwstawiać? Gdzie jest Partia Demokratyczna? Gdzie, do cholery, jest Obama?

jest „nieamerykańska”. Abigail: – Pytasz, czy Rubio się z nami kontaktował? Och, ile ja bym dała, żeby to był Rubio! Jak bardzo bym chciała, żeby Rubio miał cokolwiek do powiedzenia! Ale sekretarz stanu jest tylko figurantem. Zapowiada jakieś rzeczy, po czym dzieje się coś przeciwnego. Obiecuje, że rząd utrzyma wsparcie dla projektów humanitarnych, a potem przychodzi mail od ludzi Muska, że koniec z pieniędzmi.

Sandra: – Ludzie, którzy zajmują kluczowe stanowiska, nie mają na nic wpływu. Mówisz, że sekretarz obrony Pete Hegseth coś powiedział, roztrząsaszt to, analizujesz? Tracisz czas. To nie ma znaczenia. Błagam, nie umawiajcie się z tymi ludźmi na nic, bo oni nie dotrzymają słowa. Nie dlatego, że są kłamcami, po prostu nie mogą go dotrzymać. Nawet nie będą starali się nabyć jakiegś sprawczości, bo kiedy ją okażą, Trump ich wywali.

Jeśli więc te pomysły nie pochodzą z rządu, to skąd? Kto tak naprawdę rządzi Ameryką – kto zatrudnia, zwalnia, wyznacza cele urzędnikom i instytucjom? Abigail: – W ołicach wyborów kolega podesłał mi link do odcinka podcastu Joego Rogana, najważniejszego głosu medialnego naszej alt-prawicy, człowieka o milionowych zasięgach. Z komentarzem, że „powinnam to obejrzeć”. Przesłuchałam całe nagranie, dwie godziny o USAID. Wszystko, co zostało tam powiedziane, Trump i Musk realizują teraz na naszych oczach. Kropka na kropkę.

Sandra: – Kto teraz rządzi? To widać w geografii Waszyngtonu. Lubię myśleć o stolicy jako o mieście zbudowanym wokół jednej fabryki. Tu mieszkają głównie ludzie, których ściągnęła praca dla rządu. Państwo to główny tutejszy przemysł. I widzę zmianę. 10 lat temu żadna firma technologiczna nie miała tu biura. Mieli w dupie politykę, bo rząd nie miał na nich żadnego wpływu. Jak coś się działo, co dotyczyło ich interesów, uruchamiali i wysyłali lobbystów. Teraz wszyscy z Doliny Krzemowej mają tu przedstawicielstwa.

Rozmawiamy jeszcze przed Monachijską Konferencją Bezpieczeństwa, po której stało się jasne, że sojusz transatlantycki już prak-

tycznie nie istnieje, a Trump Europę postrzega jako niebezpiecznego rywala, nie partnera. I już wtedy słyszę, że „Amerykanie się zwijają”. Nie bacząc na konsekwencje dla własnych obywateli, wysoko wykwalifikowanych ekspertów – i dla wizerunku Ameryki, bo przecież ci ludzie ją reprezentują.

Niektórzy pracownicy pomocy rozwojowej USA dostali informacje o zwolnieniu czy zawieszeniu z dnia na dzień, gdy przebywali za granicą. Mowa o tysiącach osób, które często poza Stanami mieszkają od dekad. Mają tam rodziny, ich dzieci chodzą do szkół. Od tych ludzi oczekuje się, że wrócą do kraju, choć czasami nie mają tam nawet dachu nad głową. W mailach o odwołaniu czy wstrzymaniu ich projektów nie ma słowa o wsparciu przy relokacji, o świadczeniach, o jakiegś pomocy aparatu dyplomatycznego. Radź sobie sam.

Co dalej? Victoria: – Ja po prostu muszę znaleźć pracę. Chciałabym przenieść się do samorządu. Ale takich propozycji jest niewiele, a moje umiejętności nie do końca pasują do tego, co się robi na tak małą skalę. Mam doświadczenie w koordynowaniu wielkich projektów, te są malutkie. Pracowałam z ludźmi bez wykształcenia, a teraz muszę pomagać młodym z dyplomami uniwersyteckimi. W pomocy rozwojowej buduje się wszystko od zera: firmy, infrastrukturę, społeczność, w niesprzyjających warunkach.

Abigail: – Podzieliłiśmy się na trzy grupy. Niektórzy chcą walczyć, protestują, przeszli przez fazę szoku i próbują się organizować. Inni się boją, milczą. A reszta społeczeństwa żyje, jakby nic się nie działo. Chociaż jesteśmy ich sąsiadami, klientami, współobywatelami, częścią gospodarki. Mnie osobiście ogarnia wściekłość. Gdzie są ludzie, którzy powinni się temu przeciwstawiać? Gdzie jest Partia Demokratyczna? Gdzie, do cholery, jest Obama?

Sandra: – Przewiduję 20 lat ciemności dla naszego państwa. Amerykanie nie wyjdą na ulice, nie mamy tego w sobie. Zobacz, u was, w Polsce, zajęło osiem lat, żeby odsunąć populistów od władzy. U nas zajmie to dużo dłużej. Jedyna nadzieja w wojsku – że gdybyśmy się znaleźli naprawdę w kryzysowym momencie, wojsko tej władzy nie posłucha.

Abigail: – Nie zdziwię się, jeśli w najbliższych latach zostaną zniesione limity kadencyjne.

Victoria: – Na pewno będziemy mieć jeszcze wybory. Tylko nie wiem, czy one będą cokolwiek zmieniać. Bo jeśli oni już teraz rządzą obok, po prostu ignorując żelazne elementy naszego ustroju, sądy i sędziów, to dlaczego mieliby przejmować się Kongresem?

Pisząc ten tekst, wysłuchałem opowieści 12 osób. Większość bezpartyjna, ale byli też demokraci i republikanie. Żegnając się, każdemu zadawałem to samo pytanie: kto na tym wszystkim skorzysta najbardziej? Victoria: – Chińska Republika Ludowa. Abigail: – Chińska Republika Ludowa. Jason, Allison, Mark, Daphne, Adam, Robert, Peter, Selena, George: – Chińska Republika Ludowa.

Sandra: – Po co pytasz, skoro doskonale wiesz? Chiny. Zobacz, do jakiego miejsca doszliśmy – spośród wszystkich przywódców największych mocarstw na świecie to Xi Jinping jest dzisiaj najrozsądniejszy. ●

● *imiona bohaterek i bohaterów zostały zmienione

Mateusz Mazzini

● (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Píše o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

Trump i Putin. Przyjaciele?

CZY KOWBOJ
OGRA CHULIGANA

Prezydent USA ogłosi światu, że powstrzymał wojnę, car nazwie siebie zwycięzcą. A Ukraina zniknie jako państwo. Tak będzie?

Wiktor Jerofiejew*

Iuż przed inauguracją Donalda Trumpa na świecie zapanował optymizm: wojna rosyjsko-ukraińska powinna wkrótce się zakończyć. Armie pozostaną tam, gdzie są, ludzie przestaną masowo ginąć, rozpoczyna się negocjacje.

Powodem do optymizmu nie była mało poważna fraza Trumpa, że zakończy wojnę w ciągu 24 godzin, ale – tak się wydawało – gotowość walczących stron do negocjacji. Ale kiedy przyszło do szczegółów, optymizm zniknął.

Pokój w Ukrainie zależy przede wszystkim od Trumpa i Putina. Ale co leży u podstaw ich relacji? Jeśli w głębi serca są przyjaciółmi – sądząc po ich poufnych rozmowach niepozbawionych wzajemnych komplementów jeszcze przed wojną – to teraz taka przyjaźń, tajna lub jawna, jest katastrofą dla Ukrainy, Europy i całego Zachodu.

„Przyjaciele” Trump i Putin wspólnymi siłami wywrą silną presję na Ukrainę i stanie się ona bezbronną ofiarą, bez utraczonych ziem i bez gwarancji bezpieczeństwa. Trump uroczyście ogłosi światu, że powstrzymał wojnę, Putin nazwie siebie zwycięzcą, a koniec Ukrainy jako państwa będzie pewny.

Ewentualna przyjaźń między Trumpem a Putinem to katastrofa dla obecnego porządku światowego. I ta katastrofa jest realna. Ale jeśli Putin i Trump okażą się wrogami, to również będzie to katastrofa. Taka wrogość może na koniec doprowadzić do III wojny światowej i nuklearnej apokalipsy.

• Kiedy niedawno na konferencji w Monachium niemiecki organizator wydarzenia płakał jak dziecko, bo oto Europa pogrążyła się w strasznym śnie – skoro Ameryka zostawiła ją na pastwę losu, a podstawowe wartości UE i USA są rozbieżne – bałem się o Europę. Słabi płaczący ludzie są niczym w obliczu dwóch gigantów. Rosyjski chuligan Putin i amerykański kowboj Trump mają podobne intencje, pragnienia, zamiłowanie do złotych mebli, wreszcie wyznają te same wartości egzystencjalne.

Obaj chcą być zwycięzcami, ale nie jest najważniejsze zwycięstwo kraju, Ameryki czy Rosji, ale ich własne, osobiste. Dlatego jeśli coś pójdzie nie tak, obaj będą wściekli. Obu cechuje podatność na urazę, mściwość, nienawiść do przeciwników. Ich emocje malują się na ich twarzach: Trump jest wiecznie opalony i ma megafryzurę, twarz Putina pokazuje jego arogancką obojętność.

Trump nie może zmiażdżyć Putina, jeśli ten będzie mu się opierał, bo Putina może zmiażdżyć tylko śmierć. Trump jako biz-

nesmen pomyślał sobie, że nowe sankcje wobec Rosji przygwożdżą Putina do ściany. Postanowił mu schlebiać, jest gotów zaprosić go z powrotem do G7. Nie dopuści też do negocjacji Europy, a udział w nich Ukrainy będzie w dużej mierze zależeć od jego widzimisię.

Trump tak naprawdę nie dba o Ukrainę, nie jestem pewien, czy w ogóle wie, gdzie ona dokładnie leży, a jeśli Putin będzie chciał wziąć sobie dwa duże ukraińskie miasta, Zaporozże i Chersoń, Biały Dom będzie miał to gdzieś: najważniejsze jest, by skończyło się zabijanie, a Trump został laureatem Pokojowej Nagrody Nobla.

Prezydent USA raczej celowo wyolbrzymił początkowo liczbę rosyjskich ofiar śmiertelnych w wojnie – milion! Uświadomił swojemu rosyjskiemu koledze, że dalsza wojna jeszcze bardziej zniszczy Rosję. Ale potem do niego dotarło, że zniszczenie Rosji jest praktycznie niemożliwe.

Rosja żyje biednie i będzie jeszcze biedniejsza – nic nie szkodzi! Nie będzie sprzedawać ropy i gazu na Zachód – są Chiny i Indie! Brak nowych technologii – mamy to gdzieś! Rosjanie będą jeździć konno. A jeśli zabraknie im koni, będą jeździć przez tundrę na psich zaprzęgach.

Putin ma tutaj niemal nieograniczone możliwości i w gruncie rzeczy posłusznych

piej być po stronie dyktatora niż w odstawce lub w więzieniu.

Putin rośnie w siłę także dlatego, że Trump postanowił po putinowsku załatwić Grenlandię, Panamę czy Kanadę. I choć w dużej mierze to błąd, to sam kierunek tych pomysłów ułatwi mu ewentualną rozmowę z Putinem.

Oto dwóch chłopców siada do stołu, oczywiście mają różne biografie, gusta i uczucia, ale podstawowe wartości są podobne.

• Jeśli nasi chłopcy chcą pokoju, będą potrzebować Chin jako silnego i wpływowego gracza. A co z Europą? Trump lubi wraz ze swoim przyjacielem Elonem Muskem skrajnie prawicowe ruchy, partie, ideologie w Europie. Jeśli skrajna prawica uzyska silne amerykańskie wsparcie, Europa będzie miała trudności.

Jeśli chodzi o Ukrainę, Trump nie pozwoli Putinowi całkowicie jej rozerwać. Nie leży to w jego egoistycznym interesie. Chyba jest dzieckiem pokoju, a jego marzenie o pokojowym Noblu może być w rękach walczącej Ukrainy.

A kiedy wojna się skończy, czy Putin w Rosji będzie robił to samo, co robi teraz? Czy będzie jeszcze twardszy w radze-

Rosyjski chuligan Putin i amerykański kowboj Trump mają podobne intencje, pragnienia, zamiłowanie do złotych mebli. I wyznają te same wartości

ludzi. Do tej pory nie zginął ich milion, ale jednak wielu. A czy w końcu zginie milion, dwa czy trzy, jakie to ma znaczenie?

• Putinowi zależy na szacunku ze strony Ameryki. Powinien dojść do porozumienia z Trumpem. Jałta 2 to dobry pretekst do zakończenia wojny.

Rosyjska opozycja jest zmiażdżona, przewrót pałacowy – niemożliwy. Dopóki Putin jest u władzy, będzie robił tylko to, co chce. A chce rzucić Ukrainę na kolana i sprowadzić do Kijowa na miejsce Zelenkiego swojego człowieka, Wiktora Medwedczuka, który ma bliskie powiązania rodzinne z rosyjskim carem.

Człowiek jest z natury niedoskonały. Dobrze być bohaterem przez jeden dzień, powiedzmy, rok, ale potem wielu ludzi zaczyna to uwierać. Trump musi wreszcie dojść do wniosku, że rosyjski system rządów różni się od amerykańskiego nie tylko dlatego, że jest dyktaturą, ale także dlatego, że w Rosji nigdy nie było demokracji.

Zdrowy rozsądek, o którym wspomina Trump, mówiąc o słabościach Rosji, nie jest rosyjską koncepcją. Istnieją europejskie cechy w rosyjskim społeczeństwie, jeśli mówimy np. o Moskwie, ale są one zbyt słabe w czasach dyktatury, z jej represjami, aby ludzie mogli przejąć władzę. Dopiero gdy władca odejdzie, przyjdzie czas na odwilż, bo elity są zmęczone napięciami, jakie stwarza dyktatura, ale na razie le-

niu sobie z emigracją wewnętrzną, czy też zwycięskie zakończenie wojny uczyni go „milszym”? W kwestii Zaporozża i Chersoń, które Putin, nie podpiszywszy jeszcze tych miast, uważa za część Rosji, wszystko może się zdarzyć. Dlaczego Rosja potrzebuje tych miast, nie wiem. Ale będą przydatne jako oznaki zwycięstwa.

A co, jeśli nagle rozmowa chłopaków zakończy się wielką walką? Trump ma trochę racji, mówiąc, że Putin jest „sprytny”. W każdym razie jest mądrzejszy od Trumpa, a na pewno potężniejszy od niego w nieludzkich działaniach.

Putin nie pozostał dłużny: ze swojej strony nazwał Trumpa „nie tylko mądrym, ale i pragmatycznym człowiekiem”. Z Donaldem Trumpem „zawsze miał wyjątkowe biznesowe, a jednocześnie pragmatyczne i pełne zaufania relacje”. I dodał: „Zgadza się z nim, że gdyby nie skradziono mu zwycięstwa w 2020 r., być może nie doszłoby do kryzysu na Ukrainie w 2022”.

Jeśli zwycięży hedonizm rosyjskiego dzieciaka, będzie to coś podobnego do dawnego stanowiska Trockiego w sprawie pokoju brzeskiego zawartego z Niemcami podczas I wojny światowej: ani pokój, ani wojna. Jako dla władcy taka formuła jest dla niego miła ze względu na jej „ruch” – jest się dynamicznym, trzyma się wszystkich w strachu, ale nie przekracza się linii, za którą sięga się po broń nuklearną.

Istnieje jednak inna możliwość. Możesz przejść całą drogę do końca. Stać się nis-

zczytelem planety. Z punktu widzenia faceta z leningradzkiego zaułka można by to uznać za apoteozę „nekrohedonizmu”.

Wewnętrzny świat Putina, samotnego byłego agenta wywiadu, nie został wystarczająco zbadany. Co nieco wiadomo z opowieści jego przyjaciół z młodości, ale człowiek obdarzony pełnią władzy zmienia się radykalnie. A w dzisiejszej Rosji nie ma nikogo, od kogo Putin byłby w jakikolwiek sposób zależny. Jest carem i bogiem.

Ostatnio wydaje się nawet, że Putin pozbył się swoich starych przyjaciół; jest otoczony głównie przez podwładnych. Tak więc w porównaniu z nim dla wielu lewicowców i centrolewicowców na Zachodzie znienawidzony Trump jest nadal kimś, kto wygrał demokratyczne wybory i musi liczyć się z wieloma demokratycznymi instytucjami Ameryki.

Putin, który od 25 lat sprawuje funkcję cara, jest silniejszy od Trumpa. Jeśli rozegra Trumpa w Europie w taki sposób, że ten okaże się jego sojusznikiem, los Europy może być tragiczny. Putin będzie naciąkał nie tylko na Ukrainę, ale także na kraje bałtyckie i Polskę, której nie lubi, i generalnie na cały kontynent. Trump będzie u władzy tylko przez cztery lata, ale Putin jest carem dożywno.

• Wojna nie zakończy się szybko. Będą wstępne rozmowy – Putin nie musi się spieszyć. Ukraina musi. Wiele zależy od Trumpa w kwestii europejskiej przyszłości Kijowa. Może on uczynić Ukrainę nieszczęśliwym krajem na zawsze. „Mądry” Putin dobrze to rozumie.

Jak długo potrwa związek tych dwóch chłopców? Każdy z nich będzie oskarżał drugiego o kłamstwo. Trump będzie się trzymał swojej umowy z Putinem. Dla Putina słowa nie mają znaczenia. Kto wygra?

Trzeba skończyć z obecną maszynką do mięsa, zachować państwowość Ukrainy i znaleźć gwarancje bezpieczeństwa dla niej. Wszystkie terytoria podbite przez Putina nie zostaną teraz zwrócone, ale Zaporozże i Chersoń nie mogą mu zostać oddane.

Niech utrzyma się w najbliższych miesiącach kontakt na najwyższym poziomie. By tak rzec, na najwyższym poziomie „inteligentnego” idiotyzmu. Jednak na samym szczycie nie ma innych ludzi, a od nich zależy życie planety. ● przeł. arp

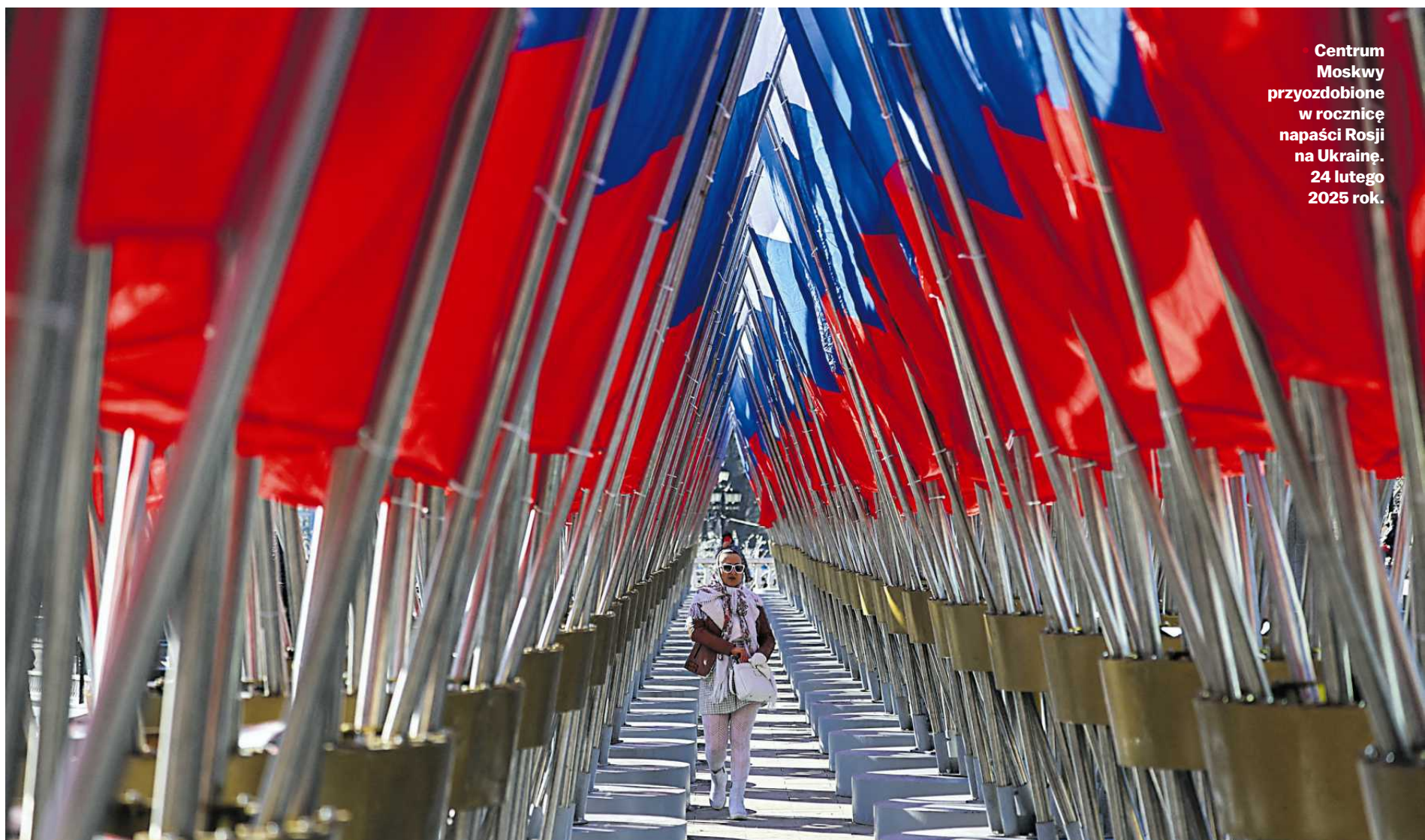


FOT. A.SAVIN/DOMENA PUBLICZNA

*Wiktor Jerofiejew

• – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl).

Tytuł tekstu – od „Wyborczej”



Centrum
Moskwy
przyozdobione
w rocznicę
napaści Rosji
na Ukrainę.
24 lutego
2025 rok.

FOT. REUTERS/EVGENIA NOVOZHENINA

Z **BORISEM AKUNINEM**,
ROSYJSKIM PISARZEM
ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Pisząc o wydarzeniach historycznych, lubi pan się dystansować, wyobrażając sobie, że pisze pan z przyszłości. Jak opisałby pan dla czytelników z XXII lub XXIII dzisiejszą Rosję i wojnę Rosji przeciwko Ukrainie?

– „Upadek rosyjskiego imperium przebiegał w dwóch etapach. W pierwszym etapie, w 1991 r., odłączyły się tzw. republiki związkowe, po czym pozostała część imperium przeszła naturalną dla tego systemu państwowego transformację: z surowej, niestabilnej demokracji powróciła do formatu imperium, tylko mniejszego formatu i o ograniczonych możliwościach, roszczonego sobie prawo do prymatu nie na świecie, ale w regionie. Tutaj interesy Rosji zderzyły się z interesami sąsiedniej Ukrainy, która dryfowała w kierunku Europy, nie chcąc pozostać w sferze rosyjskich wpływów...” I tak dalej.

Czy jest jakiś okres w historii Rosji, do którego moglibyśmy się odwołać, by opisać i zrozumieć to, co dzieje się w niej dzisiaj?

– Coś podobnego działo się w ubiegłym wieku, kiedy Związek Radziecki, utraciwszy część swojego dawnego imperialnego terytorium, zaczął pod rządami Stalina siłą przywracać sobie byłe kolonie. Wojna z Ukrainą przypomina też nieco wojnę z Finlandią w latach 1939-140. W tym czasie Moskwa również była pewna szybkiego zwycięstwa, a nawet stworzyła „rząd socjalistycznej Finlandii” na niewielkim kawałku podbitego terytorium, ale nieoczekiwanie dla siebie napotkała opór i została zmuszona do porzucenia pierwotnego planu.

A do którego z przywódców moglibyśmy porównać Putina? Do którego on sam się porównuje?

– Cholera go wie. Pewnie myśli, że jest największym tytanem w historii. Choć nie, już pamiętam, zdaje się, że darzy sympatią Aleksandra III...

Przeciwnika liberalizmu, autokratę, twórcę ochrony i nacjonalistę znanego z prześladowań mniejszości. Przeciwno

LUDZIE WSZĘDZIE SĄ JAK ŻABY

Są gorsze rzeczy niż utrata ojczyzny.
Na przykład utrata samego siebie

temu carowi planowano zamach. Nie doszedł co prawda do skutku, ale czy widzi pan możliwość realizacji podobnego scenariusza, czy to myślenie życzeniowe co niektórych mieszkańców Zachodu?

– Zamach na Putina? Albo przewrót pałacowy? Wątpię, by było to możliwe. Putin może być kiepskim strategiem, ale jest mistrzem, jeśli chodzi o utrzymywanie balansu władzy. Podzielił swoją świtę na dwie grupy: siłowników i technokratów. Pierwsza grupa bardzo lubi Putina, druga nie bardzo i chętnie by się go pozbyła. Ci pierwsi mają dużo władzy, ale mało inteligencji, podczas gdy ci drudzy, przeciwnie, mają dużo inteligencji (są wśród nich wysokiej klasy finansjści i ekonomiści), ale nie mają siłowych zasobów. Nie zorganizują zamachu stanu, nawet gdyby chcieli. Są na to zbyt tchórzliwi. Nie, struktura władzy wygląda dość solidnie. A dyktator jest chroniony przed niektórymi samotnymi nacjonalistami przez paranoiczną ogromną ochronę.

Jaki będzie koniec dyktatury Putina? Co czeka Rosję później: odwilż, demokratyzacja czy wręcz przeciwnie – surowy reżim?

– Myślę, że najbardziej prawdopodobnym rezultatem jest załamanie gospodarcze. Cały system Putina jest bardzo nieefektywny i skorumpowany. W globalnym kryzysie gospodarczym – a nastąpi on prędzej czy później, a bardziej prawdopodobne, że prędzej – Rosja będzie jednym z najsłabszych ogniw. Kiedy wszystko upadnie, natychmiast stanie się jasne, że dyktator nie ma realnego poparcia ani na dole, ani na górze.

Wtedy zamach stanu stanie się bardzo możliwy. Coś w rodzaju „reżimu czarnych pułkowników”, pewnego rodzaju dyktatury siłowników w takim scenariuszu nie jest wykluczona, ale jest mało prawdopodobne, aby trwała długo. Siłowicy nie wiedzą, jak rozwiązywać problemy gospodarcze. Dlatego nieuchronnie zadziała odwieczne rosyjskie wahadło – kraj przechyli się w stronę liberalizacji. To kwestia czasu.

Rozmawiając z przyjaciółmi z Rosji, słyszę często, że seria pańskich książek „Album rodzinny” jest odzwierciedleniem współczesnej historii Rosji. Odnajdują się bardzo dobrze, czytając opowieść o doświadczeniach pokolenia z początku i połowy XX wieku. W jakim stopniu dzi-

siejsze wydarzenia pokrywają się z tym mrocznym dla ZSRR okresem?

– W najbardziej dramatycznych przypadkach, które jednych łamią, a innych, przeciwnie, uwznioślają – to déjà vu. Wielu moich rodaków dzisiaj, podobnie jak ich rodzice i przodkowie, musi dokonać wyboru: sprzeciwiać się lub zamilknąć, uczestniczyć w obrzydliwościach lub nie.

Naszemu pokoleniu jest co prawda łatwiej. W końcu nie dochodzi teraz do rozstrzelań, a do więzienia trafiają setki ludzi, a nie miliony. I można emigrować. Nie grozi ci w końcu sala tortur jak za czasów Stalina. Można zachować godność przy znacznie mniejszym poświęceniu.

Jak zażartował kilka lat temu jeden z moich kolegów, gwiazdor telewizyjny (obecnie był): „Dobra, wyjdę z telewizora i będę latać klasą ekonomiczną. Oto cała golgota”. I rzeczywiście: wyszedł, lata dzisiaj klasą ekonomiczną i wzdryga się, widząc tych, którzy w telewizji zostali.

„Urodziłem się w kraju, w którym zmuszano do myślenia własną głową w bardzo młodym wieku”, powiedział pan w jednym z wywiadów. Ludzie żyjący w putinowskiej Rosji mogą powiedzieć tak samo?

– Tak, absolutnie. Jeśli ktoś ma mózg i nie boi się go używać, życie jest dla niego łatwiejsze niż dla nas w głuchych latach 70., kiedy do wszystkiego musieliśmy dochodzić własnym rozumem. W dobie Internetu i VPN-ów trudno jest zorganizować blokadę informacyjną.

Jak w takim razie można wyjaśnić nie tyle nawet apatię i milczące przyzwolenie Rosjan dla działań Władimira Putina, ile poparcie dużej części społeczeństwa dla wojny?

– Niewiele jest prawdziwego, aktywnego wsparcia. Jakoś nie widać tłumów ochotników szturmujących wojskowe biura werbunkowe, by walczyć za darmo. Tylko za pieniądze, i to duże. Putin próbował przeprowadzić mobilizację, ale się z tego wycofał, wystraszył się. Bierne poparcie – tak, to zjawisko masowe. Tak jak na Białorusi, w Wenezueli, na Kubie, w Iranie i wszystkich innych krajach z zastraszoną przez reżim ludnością. Bierne poparcie natychmiast zamienia się w aktywny brak popar-

cia, gdy tylko reżim zaczyna się chwiać. Historia dobrze zna ten schemat.

Trudno przy tym nie zauważyć, że większość Rosjan żyje w bardzo ciężkich warunkach i wielkiej biedzie. Dlaczego to się nie przekłada na ich sposób postrzegania władz?

– A kiedy Rosjanom żyło się łatwo i dostatnio?

To inaczej: dlaczego Ukraińcy byli w stanie zmobilizować się i wyjść na ulice, aby przeciwstawić się rządowi i doprowadzić do jego zmiany, a Rosjanie nie?

– Po pierwsze dlatego, że Ukraińcy żyją w demokracji od 1991 roku. Jasne, dość dziwej, ale jednak demokracji. Tymczasem w Rosji całe pokolenie dorastało bez wolności – Putin jest u władzy od ponad ćwierć wieku. Po drugie, ponieważ Putin miał średnio sto razy więcej uzbrojonych ludzi, niż miał Janukowycz. Tak więc podczas wszelkich akcji protestujących było niewielu, ale tłumiących – cała armia.

Spotykam się często z opinią, że Rosjanom wolność nie jest potrzebna i że bardziej od niej cenią rządy silnej ręki. Zawsze oponuję, choć ostatnio niekiedy zastanawiam się, czy słusznie. Co pan o tym myśli?

– Był czas, kiedy ja, mieszkaniec Związku Radzieckiego, też tak myślałem. Potem, na przełomie lat 80. i 90., przekonałem się, że to nieprawda. Brałem udział w wielkich demonstracjach na rzecz demokracji, a podczas puczu w sierpniu 1991 r. stałem nocą przed Białym Domem w otoczeniu tysięcy absolutnie wspaniałych ludzi.

Dzisiaj w Rosji nadal są tacy ludzie. Korresponduję z więźniami politycznymi, których jest coraz więcej. Dziś rano dostałem list od więźnia, którego nazwiska ze względów bezpieczeństwa nie wymienię, bo i tak przetrzymują go w celi karnej. Pisze: „Jestem zawziętym wrogiem: siedzę w więzieniu od trzech lat, ale nie wszedłem na śliską ścieżkę resocjalizacji... Nakręcam się. Teraz siedzę [w celi karnej] do 16 lutego [czyli rocznicy zabójstwa Aleksieja Nawalnego]. Wymyśliłi dla mnie najlepsze miejsce do obchodzenia rocznicy śmierci Aleksieja i nawet nie muszę pisać o nim nic więcej. Jak pisał pan w powieści »Śmierć psa«, »najlepsza książka to ta, która jest napisana czynami, a nie słowami«”.

No dobrze, to słowa bohatera. Jeśli mówimy ogólnie o Rosjanach, to są to ludzie jak wszyscy inni. Są jak żaby: przyjmują temperaturę stawu. Kiedy woda się ochładza, zamarzają. Kiedy się ociepla, zaczynają rechotać i skakać. Starsi Polacy zapewne pamiętają, jak to jest, a przecież wasz socjalizm nie był tak brutalny jak sowiecki.

Ale to Rosjanie, jak twierdzi wielu przedstawicieli Zachodu, wierzą w „wyjątkową drogę” Rosji. Jak należy ją rozumieć i czy dopóki to przekonanie będzie wśród ludzi żywe, Rosja będzie miała w ogóle szansę na demokratyzację?

– Przedstawiciele Zachodu naprawdę uważają, że wielu Rosjan wierzy w te bzdury? Pani tak myśli? A może kierujecie się sondażami przeprowadzanymi w państwie totalitarnym, którym ufać nie należy? Większość ludzi w ogóle nie dba o wielkie idee, całą swoją energię poświęcają na przetrwanie. Kraj jest biedny i trudny do życia.

Demokracja w Rosji jest możliwa. Jest fizycznie niemożliwa, dopóki Rosja pozostaje państwem „pionowym”, rządzonym z Moskwy. Jedynym sposobem na utrzymanie tak zróżnicowanego kraju przed upadkiem i separatyzmem w takim systemie państwowym jest przemoc. Jeśli kraj będzie się składać z autonomicznych „stanów”, to niektóre z nich z pewnością zwrócą się na ścieżkę demokratycznego rozwoju, a inne pójdą tam, dokąd będzie chciała zmierzać ich ludność.

Z łatwością mogą sobie wyobrazić konfederację eurazjatycką, w której „stany” europejskie funkcjonują zgodnie z demokratycznymi prawami, Kaukaz zgodnie z jakimiś własnymi tradycyjnymi, a Daleki Wschód,

Jakucja, Tatarstan, Kałmucja – też po swojemu. Rosyjskie regiony są bardzo różne. Niech żyją jak chcą. Ci, którzy chcą niezależności – szczęśliwej podróży. Tylko wtedy nie będzie potrzeby stosowania przymusu, który jest nie do pogodzenia z demokracją.

Erast Fandorin, jeden z bohaterów pańskich książek, z zaangażowanego człowieka pracującego dla dobra kraju nie tylko staje się zgorzkniały i rozczarowany, ale – co więcej – przez wielu w Rosji nieakceptowany. Fandorin to bohater naszych czasów?

– Tak, to wieczny dramat przyzwoitego człowieka, który starał się służyć rosyjskiemu państwu bez łamania własnych zasad. Historia Rosji to długa, długa droga, której krawędzie wyznaczają pobielale kości idealistów, a nad nimi wznoszą się pomniki niegdyś pryncypialnych ludzi, którzy zdradzili swoje zasady w imię kariery. Oczywiście, to wciąż się dzieje. Cały blok finansowy reżimu Putina, genialni specjaliści, to byli liberałowie i demokraci, którzy stali się sługami dyktatora i „księgowymi mafii”.

W którym momencie Rosja zboczyła z tej prodemokratycznej drogi i obrała przeciwny kurs?

– Myślę, że punktem zwrotnym była decyzja Jelcyna o wprowadzeniu wojsk do Czeczenii (1994 rok), początek wojny kolonialnej. Wszystko, co nastąpiło później, było logicznym ciągiem wydarzeń: „odrestaurowanie” służb specjalnych, ideologia imperialna, zniszczenie wszystkich środków przeciwwagi dla monokracji – władzy parlamentarnej, niezależnych sądów i wolnej prasy.

W Polsce i w Europie Zachodniej w ostatnich latach często słyszałam pytanie: „Jak to możliwe, że naród z taką kulturą pozwolił, by jego kraj wyglądał tak, jak dzisiaj”?

– Kultura Chin jest jeszcze większa niż rosyjska i co? Mamy tam wolność? Dziś najbardziej cywilizacyjnie rozwinięte są małe kraje, które nie mogą się pochwalić wielką kulturą, nie będę wymieniał tych wspaniałych krajów, aby ich nie urazić.

To nie pisarze determinują życie społeczeństwa, oni tylko wyznaczają pewne punkty odniesienia. Tu obowiązują inne prawa. Powiem więcej: literatura rosyjska okazała się tak silna właśnie dlatego, że cały czas musiała przeciwdziałać podłej rzeczywistości politycznej. Stawiając opór, wyrobiła sobie mięśnie

Jak pan widzi dzisiejszą rolę rosyjskich ludzi kultury?

– Ogólnie jestem zadowolony z tego, jak rosyjscy ludzie kultury zachowali się podczas tej trudnej próby. Zwłaszcza pisarze. Prawie wszyscy utalentowani pisarze albo publicznie wypowiadali się przeciwko wojnie i dyktaturze, albo – jeśli nie wyemigrowali – całkowicie zamilkli. W zeszłym tygodniu przeprowadziłem ankietę w moich sieciach społecznościowych, prosząc czytelników o wskazanie utalentowanych pisarzy, którzy popierają putinizm. Lista okazała się bardzo skromna i prawie wszystkie nazwiska budzą wątpliwości, jeśli chodzi o posiadanie talentu.

Jakie jest zadanie rosyjskich ludzi kultury? Po pierwsze, pozostawać wolnymi w swojej twórczości. Mam stronę internetową o nazwie BABook, teraz znaleźć można na niej książki wielu innych autorów i publikacje nieocenzurowanych wydawców. Jest nas coraz więcej.

Po drugie, myślę, że w czasach takich jak te ludzie kultury są po prostu zobowiązani do wypowiadania się na tematy społeczne i polityczne – przynajmniej jeśli znajdują się poza zasięgiem siłowników Putina. Czytelnicy, widzowie i słuchacze potrzebują naszego moralnego i psychologicznego wsparcia. Słuchając nas, poddają też refleksji swoje myśli i uczucia.

Pana książki są dzisiaj w Rosji zakazane, a pan figuruje w rejestrze terrorystów.

Domyślam się, że dla pisarza, którego książki były powszechnie przez lata cenione, to cios. To wpłynęło na pana twórczość?

– Oczywiście, ale nie powiedziałbym, że ten wpływ jest zły. Pozbyłem się zobowiązań wobec rynku i teraz piszę, nie martwiąc się o nakład, sieci hurtowe czy ryzyko wydawców. Jak Bóg da – wielki rosyjski idiom. To dość euforyczne uczucie.

Pan ostatnio więcej miejsca poświęca historii, nie fantazjom. Porównania historyczne i dostrzeganie w nich podobieństw pozwala nam prognozować dalszy rozwój sytuacji? Jak pan sobie wyobraża najbliższe lata?

– Właśnie dlatego napisałem wielotomową „Historię państwa rosyjskiego”: aby zrozumieć procesy historyczne i podzielić się moimi wnioskami z czytelnikami.

Co będzie się działo z Rosją w przyszłości? To będzie zależało nie tyle od Rosji, ile od czynników zewnętrznych. Mają już konkretne tytuły: czynnik D i czynnik C. Mam na myśli Donalda Trumpa i Xi Jinpinga. Bez względu na to, jak bardzo Putin nadyma policzki, nie jest władcą supermocarstwa, ale regionalnym królikiem.

A jego ukraiński gambit geopolityczny skończy się tym, że zamieni rolę aktora drugoplanowego w hollywoodzkim filmie na rolę drugoplanową w filmie pekińskim. Przyklei się do swojego wielkiego chińskiego brata, bo nie będzie miał innego wyboru.

Drugi scenariusz jest możliwy, jeśli amerexit Trumpa, czyli reorientacja USA z zadań globalnych na narodowe, zostanie w pełni wdrożony. Wówczas los Rosji będzie ściśle powiązany z tym, jak dobrze Europa poradzi sobie z sytuacją, w której zostanie pozostawiona sama sobie, bez starszego partnera.

Jeśli dojdzie do rozłamu i nieporządku – niektóre kraje europejskie przesuną się ostro w prawo, inne ostro w lewo, UE nie przekształci się w niezależną siłę polityczną – wówczas reżim Putina może zachować pewną autonomię.

Jednocześnie Rosja będzie stopniowo przekształcać się w coś na kształt północnego Iranu. Kobiety w chustach, mężczyźni z brodami, egzekucje gejów przez ukamie-

Bez względu na to, jak bardzo Putin nadyma policzki, nie jest władcą supermocarstwa, ale regionalnym królikiem

nowanie, wszyscy wychwalają Wodza, seks zakazany itd. Widziałem coś podobnego w ZSRR, z wyjątkiem tego, że teraz będzie na dodatek dużo bicia w cerkiewne dzwony.

Ma pan poczucie straty myśląc o Rosji?

– Są gorsze rzeczy niż utrata ojczyzny. Na przykład utrata samego siebie. Ale Rosja, którą kocham, jest ze mną i nigdzie ode mnie nie odeszła. Rosji Putina nie było mi szkoda stracić. Nigdy bym tam teraz nie pojechał, nawet gdyby anulowali nakaz mojego aresztowania. Nie chcę widzieć Rosji w tym upokorzonym, poniżonym stanie.

Łęsknię tylko za kilkoma przyjaciółmi, którzy z powodów osobistych nie mogli wyemigrować i muszą znosić otaczający ich mrok.

Ludmiła Ulicka, Dmitrij Bykow, Michail Zygar – każdy z tych pisarzy znalazł się w rejestrze agentów zagranicy. Pana wpisano do rejestru terrorystów. Te metki mają wpływ na odbiór państwa słów i twórczości przez zwykłych Rosjan?

– Z pewnością na wielu tak. Zwłaszcza że rosyjskie media nieustannie kłamią na nasz temat i demonizują nas. Dostają linki do programów telewizyjnych i filmów, z któ-

rych wynika, że jestem rzekomo rusofobem i wrogim agentem. Ale dostaję też wiele listów pełnych dobrych uczuć.

Konfucjusz powiedział: „Równie źle jest, gdy wszyscy cię kochają, jak i wtedy, gdy wszyscy cię nienawidzą. Właściwe życie to być kochanym przez dobrych ludzi i nienawidzonym przez złych”. Myślę więc, że moje życie jest sukcesem. Nie brakuje w nim zarówno miłości, jak i nienawiści.

Jak wygląda rzeczywistość twórców żyjących na emigracji?

– Żyje im się bardzo ciężko. Ja wyjechałem dawno temu i mam się dobrze. Ale ci, którzy opuścili kraj nagle, znaleźli się w trudnej sytuacji. Nie tylko zostali bez domu, bez środków do życia, w obcojęzycznym środowisku, ale jako Rosjanie niemal wszędzie spotykają się z wrogością, wielu nawet przepędzono. Jednym z najbardziej bolesnych zjawisk jest reemigracja. Dzieje się tak, gdy ludzie o antywojennych poglądach, nie znajdując nigdzie schronienia, zrozpaczeni wracają do Rosji. Wiedzą, że mogą zostać potępieni i prześladowani, ale i tak jadą. Z desperacji. Takich przypadków jest wiele.

Pana zdaniem nie ma tu winy rosyjskiej opozycji, która – być może – robi za mało, by wizerunek antywojennych Rosjan w Europie zmienić?

– Nigdy nie mówię źle o politykach rosyjskiej opozycji, ponieważ podejmują oni ryzyko i w przeciwieństwie do mnie poświęcają swoje życie walce o wolność Rosji. Za to ich szanuję. A fakt, że nie walczą tak dobrze, jak bym chciał, nie jest powodem do osądzania, ale do smutku.

Wydaje mi się, że działalność polityczna w warunkach emigracji powinna, po pierwsze, jednoczyć swoich – zarówno tych, którzy zostali w ojczyźnie, jak i tych, którzy wyjechali. Po drugie, tworzyć jednolitą strategię. Po trzecie, stale zwiększać liczbę zwolenników wśród tych Rosjan, którzy jeszcze nie są po naszej stronie.

Osobą, której pewnie mogłoby się to udać, był Aleksiej Nawalny. Rozmawiając z przyjaciółmi z Rosji, słyszę niekiedy, że Nawalny „zbyt mocno wierzył w Rosjan”. I że na próżno złożył swoje życie w ofierze.

– Myślę, że Aleksiej Nawalny przeżył piękne życie. A pięknie przeżyte życie nigdy nie jest zmarnowane. I wcale nie był „różowym marzycielem”, o nie. Dobrze znał kraj, miał pojęcie o poziomie cywilizacyjnym ludności. W swoich kalkulacjach opierał się na fakcie, że Rosja ma dość wysoki odsetek wykształconej ludności miejskiej, czyli klasy średniej. Liczył też na młodych ludzi, którzy mieli dość putinowskiej gerontokracji i braku wind umożliwiających awans społeczny.

Pod tym względem śmierć Aleksieja nic nie zmieniła. Wszystko pozostaje takie samo. A martwy jest nie mniej niebezpieczny dla putinizmu niż żywy. W rocznicę jego śmierci oglądałem transmisję wideo z moskiewskiego cmentarza, gdzie stała ogromna kolejka ludzi. Przyszli z kwiatami, nie bojąc się siłowników, którzy ostentacyjnie filmowali wszystkich. I pomyślałem wtedy (po polsku): Jeszcze Rosja nie zginęła. ●



FOT. PAVEL SAMOKHVALOV/CC BY-SA 2.0

*Boris Akunin

• Rocznik 1956, rosyjski pisarz i eseista pochodzenia gruzińskiego (wł. Grigorij Szałowicz Czchartiszwili), autor kryminałów rozgrywających się w realiach Rosji carskiej. Był nominowany do Bookera, tłumaczy z języka japońskiego, od lat otwarcie krytykuje reżim Władimira Putina. Żyje na emigracji.

Bill Gates:

Muszę pogadać Z MUSKIEM

Gdy nowe pokolenie techno-miliarderów angażuje się w wyścig o zdobycie władzy politycznej i podbój kosmosu, założyciel Microsoftu ogłasza, że jego fundacja jest coraz bliżej wynalezienia szczepionki na malarię.

Miguel Jiménez

EL PAÍS

Kiedy o dwa lata starszy kolega ze szkoły Paul Allen powiedział Billovi Gatesowi, by spróbował alkoholu, ten upił się po raz pierwszy. Kiedy zaoferował mu marihuanę, ten zapalił. Kiedy przekonał go do założenia firmy, powstał Micro-Soft – tak początkowo nazywała się firma, która wkrótce zrewolucjonizowała kontakt człowieka z komputerem. Jej błyskawiczny sukces sprawił, że urodzony w Seattle Bill Gates stał się globalnym celebrytą. Od tego czasu jest w centrum uwagi, najpierw jako przedsiębiorca, a następnie jako filantrop. Jednak dotąd był dość powściągliwy w kwestii swojego dzieciństwa i młodości. W końcu jednak Gates postanowił napisać „Source Code” (Kod źródłowy), autobiograficzną książkę, która obejmuje pierwsze 25 lat jego życia. Dlaczego wydana na początku lutego w USA książka Gatesa od razu trafiła na pierwsze miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”?

Opowiada historię chłopca, który w wieku dziewięciu lat przeczytał wszystkie tomy encyklopedii od A do Z, ale miał trudności z dopasowaniem się do szkoły. O jego relacjach z babcią, która zawsze ogrywała go w karty. O pierwszym kontakcie z komputerem w wieku 13 lat. O łamaniu regu- laminu korzystania z sali komputerowej, za co został prawie wydany z Harvardu – choć uczelnię i tak w końcu opuścił przed czasem, aby realizować marzenie, które zmieniło naszą rzeczywistość.

Założyciel Microsoftu, który zrezygnował z prowadzenia tej firmy w 2006 r., dziś dostrzega analogie między rewolucją oprogramowania pół wieku temu a obecnym rozkwitem sztucznej inteligencji, która także zmieni społeczeństwo.

Gates stracił miejsce na szczycie listy najbogatszych ludzi na świecie w 2021 r., bo przekazał dużą część swojej fortuny na filantropię. Ale gdy przyjmuje nas w swojej firmie Gates Ventures w Indian Wells w Kalifornii, armia asystentów upewnia się, że wszystko jest gotowe do nagrania i ani minuta nie zostanie zmarnowana.

Dlaczego uznał pan, że warto spisać wspomnienia z dzieciństwa?

– Dziwne u kogoś, kto lubi myśleć o przyszłości i skupiać się na wprowadzaniu kolejnych innowacji, prawda? Pomyślałem jednak, że opowiedzenie o tym, jak udało mi się wykorzystać uśmiech losu, o ludziach, których spotkałem i rzeczach, których nauczyłem się z biegiem czasu, będzie dla mnie przyjemne, a być może cen-

ne dla innych. Pozwoliło mi to docenić, jak wielkie miałem szczęście, że urodziłem się w czasach, gdy mikroprocesor zrewolucjonizował wszystko i sprawił, że komputery stały się tanie i dostępne.

Pisze pan: „Za nic w świecie nie zamienilibym się z nikim na mózgi”. Czuje się pan uprzywilejowany dzięki swojej inteligencji?

– Mój fart życiowy polegał na tym, że matematyka wchodziła mi od początku całkiem naturalnie. Potem odkryłem, że jest to trochę uzależniające, ten szybki efekt skuteczności, gdy widzisz, że jesteś w czymś dobry: piszesz program i od razu wiesz, czy masz rację, czy nie. Od czasu, gdy miałem 13 lat aż do założenia Microsoftu myślałem właściwie wyłącznie o programowaniu. Więc jeśli pyta pan o klucz do mojego sukcesu, to powiedziałbym: ciekawość i wytrwałość w podejmowaniu prób zrozumienia, jak wszystko dokładnie działa – co chyba sprawiło, że jako dziecko wydawałem się otoczeniu nieco dziwny.

Jednocześnie zauważa pan, że gdyby dorastał pan dzisiaj, prawdopodobnie zdiagnozowano by u pana zaburzenia ze spektrum autyzmu.

– Było z tym trochę frustracji, ponieważ moi rodzice słyszeli często komunikaty typu: „Wasz syn jest bardzo utalentowany, ale też trochę wkurzający”. W takim sensie, że gdy np. oddawałem pracę na 200 stron, podczas gdy wszyscy inni oddawali 10-stronicowe wypracowania, reakcją było pewne zażenowanie: czy on naprawdę nie wi-

dzi, że nie zna umiaru i przekracza granicę? Ostatecznie rodzice wysłali mnie do szkoły z czesnym, gdzie klasy były mniejsze i poświęcano mi sporo uwagi. Odmówiłem przeskoczenia jednej klasy w podstawówce, bo chociaż moja wiedza wyprzedzała mój wiek, czułem, że pod innymi względami jestem trochę cofnięty.

W końcu w bardzo młodym wieku zaczął pan wizyty u terapeuty, co było prawie niespotykane w latach 70.

– Wtedy nie stawiano dzieciom diagnoz związanych z neurorozmańnością, więc to była dość śmiała decyzja rodziców. Większość pacjentów tego terapeuty to zresztą były pary z problemami, więc nawet dla niego byłem nietypowy. Kazał mi czytać książki o Freudzie, robić różne testy i tak dalej. W ciągu roku bardzo zmienił mój sposób rozumienia relacji z rodzicami i w ogóle dorosłymi. Powiedział mniej więcej: „Słuchaj, jeśli zawstydzasz ich swoją inteligencją, to w zasadzie okazujesz się dupkiem. Musisz docenić, że oni są po twojej stronie”. A ponieważ zrobił to dość subtelnie, sprawił, że skupiłem swoją energię na innych kwestiach niż boksowanie się z dorosłymi.

Jak odkrył pan komputery w Lakeside School?

– Działający w szkole klub matek dzięki wpływom z wyprzedzący garażowych zdołał podłączyć nasz terminal do jednego z tych dużych ówczesnych komputerów. Od razu się w to zaangażowałem – pomogła mi moja reputacja matematycznego nerda – razem z trzema innymi uczniami, w tym z Pauliem Allenem, starszym o dwa lata. Siedzieliśmy w pracowni godzinami, próbując zorientować się, co da się zrobić z takim sprzętem. Moje pierwsze programy to była gra w kółko i krzyżyk, a potem bardziej złożone gry, w rodzaju Monopoly. Wiem, że posiadanie tej umiejętności wtedy, w momencie, gdy właśnie wydarzał się cud mikroprocesorów, było niesamowitym przywilejem, tak jak posiadanie przyjaciół, którzy podzielali tę pasję.

Opisuje pan włamywanie się do systemów, by wyszarpać więcej czasu obliczeniowego. Czy w każdym programiście drzemie duch hakera?

– Powiedziałbym, że trochę tak. Ale w tamtych wczesnych czasach dostęp do komputerów był tak trudny, że zakradanie się w nocy lub szukanie lewego sposobu na zalogowanie się, nawet jeśli nie miało się autoryzacji, było jedynym sposobem.

Naprawdę nową wersję języka programowania Basic napisał pan w głowie, gdy w wieku 13 lat wybrał się pan na wędrowkę po górach?

– Okolica, w której dorastałem, oferowała świetne miejsca do pieszych wycieczek. I chociaż nie byłem dobrym piechurkiem,

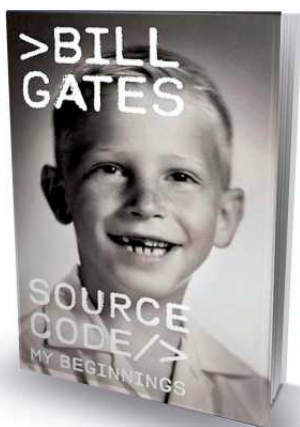
chodziłem na nie ze względu na towarzystwo. Podobano mi się to, bo podczas długiego spaceru ciało się męczyło, ale umysł się odprężył. I właśnie wtedy stworzyłem zasadniczą część tego, co miało być pierwszym produktem Microsoftu: bardzo elegancki i prosty, tak wtedy o tym z zadowoleniem myślałem. Cztery lata później, kiedy rozwijałem ten produkt, cały czas wracałem do najprostszych rozwiązań, które przyszły mi do głowy na początku.

Gdy miał pan 16 lat, stracił pan najbliższego przyjaciela...

– Kent miał na mnie ogromny wpływ. Ja byłem trochę leniwy – z wyjątkiem matematyki – a on przeciwnie. To dzięki niemu zacząłem się bardziej przykładać. Przy nim trzeba było brać się w garść, bo cały czas snuł wielkie plany: jak by tu zostać generałem, ambasadorem, pracować w rządzie. Czytał magazyny biznesowe i sprawiał, że myślałem o rzeczach, których żaden z moich kolegów z klasy nie brał pod uwagę. Kiedy zginął tragicznie, podczas nauki wspinaczki, to był szok. Do tego czasu moje dzieciństwo było totalnie wolne od traumy; w tym wieku nie rozumie się śmierci, kontakt z nią wiele nagle zmienia.

Opisuje pan okoliczności, w których władze Harvarda chciały pana wyrzucić z uniwersytetu – ale pan ostatecznie sam odszedł, dlaczego?

– Zaczniemy od tego, że uwielbiałem być na Harvardzie. Zajęcia były fantastyczne i myślałem, że bez tego, czego nauczyłem się tam o psychologii, ekonomii i historii, nie byłoby mojej kariery. Chciałem być wszechstronnym myślicielem. Niechętnie więc odchodziłem, ale to był rodzaj studenckiego urlopu i wiedziałem, że gdyby z Microsoftem nie wyszło, mógłbym wrócić. To Paul Allen mnie namówił, twierdził, że nie ma czasu na kończenie studiów. Mieliśmy swoją wizję działania komputerów osobistych i nie chcieliśmy, aby ich szybki rozwój odbywał się bez nas. Chcieliśmy być liderami opro-



„Source Code” Gatesa została opublikowana przez wydawnictwo Knopf na początku lutego i od razu znalazła się na 1. miejscu listy bestsellerów „New York Timesa”



FOT. GETTY IMAGES

gramowania. Musiałem przenieść się do Albuquerque w Nowym Meksyku, gdzie był nasz pierwszy klient, zatrudnić ludzi i założyć regularną firmę. Na Harvard już nie wróciłem. Nie polecam jednak nikomu porzucania szkoły. Sam do dziś uważam się za ucznia, kiedy zagłębiam się w tematy takie jak malaria czy rolnictwo, spędzam nad tym dużo czasu i czerpię z tego przyjemność.

A te eksperymenty z LSD w latach 70.?
– Jako optymista nigdy nie przejmowałem się zbytnio ryzykiem. A Paul uważał, że należy spróbować. To był jednak tylko epizod, bo ja lubię zachowywać jasność umysłu, a poza tym za każdym razem po kwasie martwiłem się, czy aby nie uszkodziłem jakiejś części swojego mózgu... Przypnę, że jeśli próbowałem palić marihuanę, to głównie dlatego, żeby zaimponować dziewczynom. Nie zadziałało, więc zrezygnowałem.

Razem z Paulem Allenem dostrzeżliście zapotrzebowanie na oprogramowanie na długo zanim większość ludzi zrozumiała, czym to w ogóle jest. Jak rozpoznaliście tę szansę?
– Wiedzieliśmy, że wydajność chipów rośnie wykładniczo i że gdyby komputery były tanie – a zakładaliśmy, że wkrótce będą – istniałoby wiele różnych rodzajów oprogramowania – edytory tekstu, bazy danych, arkusze kalkulacyjne – których ludzie by potrzebowali. Z tego wynikł pomysł na firmę, która nie ograniczałaby się do jednego produktu, ale zatrudniała najlepszych ludzi, tworzyła narzędzia programistyczne i działała na skalę globalną. Jeśli pojawiała się popularna kategoria oprogramowania, byliśmy konkurencyjni, ponieważ działaliśmy szybko. Firmy takie jak IBM tworzyły dużo oprogramowania, ale dla nich to był dodatek; my byliśmy bardziej elastyczni. Nasze podejście przejęli inni i w końcu od czasów, gdy IBM był gigantem całej branży komputerowej przeszliśmy do etapu, w którym IBM nadal istnieje, ale jest znacznie mniejszy niż Microsoft, Apple, Google...

*Nie wiemy jeszcze,
jak wykorzystamy AI
do rozwiązania
– albo pogłębienia
– problemu społecznej
polaryzacji.
Niepokojące jest to, że nawet
w kraju takim jak USA
ludzie nie podzielają
w zasadzie żadnego celu,
nie zgadzają się
co do żadnego faktu*

Jak wyglądała pana relacja z Paulem Allenem?
– Człowiek, z którym się rozumiesz w lot, z którym pracujesz dzień i noc, w zasadzie dzielisz z nim życie – to jest bardzo cenne. Jeśli dajesz się za bardzo ponieść entuzjazmowi, on cię studzi. Jeśli czujesz się przygnębiony, on cię pociesza. Taki właśnie był Paul. Odszedł z Microsoftu po pierwszych pięciu latach i pewnie w mojej następnej książce napiszę więcej o Stevie Ballmerze, ponieważ to on stał się potem moim partnerem w tym zaangażowaniu. Ale pomysły Paula były fundamentalne. Microsoft nie istniałby bez niego, to on dostrzegł potencjał mikroprocesorów. To on przyjechał do Bostonu, by naciskać: „Teraz albo nigdy”. Nie byłem na to gotowy, ale kiedy pojawił się Altair, pierwszy komputer osobisty, zdałem sobie sprawę, że musimy działać, jeśli chcemy być w czołówce. Paul nie zamierzał zajmować się kwestiami HR-owymi i pracować dzień i noc, jak ja. Ale jeśli chodzi o strategię, odegrał kluczową rolę.

Jakimi technologiami jest pan obecnie zainteresowany i w jaki sposób zmienia one społeczeństwo?
– W dziedzinie innowacji nigdy nie było tak wielu ekscytujących rzeczy jak teraz, na przykład w medycynie edycja genów lub rewolucja w informatyce, która pomaga nam lepiej rozumieć biologię i opracować nowe szczepionki. Co do sztucznej inteligencji – nie da się wystarczająco podkreślić jej przyszłego znaczenia. Chociaż mamy przed sobą długą drogę, to pracuje nad nią wielu inteligentnych ludzi. To wpłynie na odkrycia naukowe i edukację oraz pomoże w opiece zdrowotnej. AI niesie też wiele ryzykownych zmian, do których będziemy musieli się dostosować. A już teraz jest w centrum wszystkiego. Skupiają się na niej Microsoft, Google i największe firmy.

Czy znaczenie obecnego rozwoju sztucznej inteligencji da się porównać z narodzinami oprogramowania komputerów osobistych w latach 70.?
– Z pewnością w tym sensie, że istnieje podobne poczucie otwierających się możliwości, z tym że sztuczna inteligencja znacznie głębiej zmieni funkcjonowanie całych społeczeństw. W AI inwestuje się setki miliardów dolarów i angażuje do pracy nad nią miliony ludzi. A komputery osobiste na początku były małym biznesem, duża część działalności koncentrowała się na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, a maszyny miały tak wiele ograniczeń, że trzeba było sporo wizjonerstwa, aby wyobrazić sobie skok od czegoś takiego jak Altair do tego, co potrafi dziś pierwszy lepszy smartfon.

Z drugiej strony, sztuczna inteligencja budzi obawy. Są uzasadnione?
– Lęk budzi to, że narzędzia cyfrowe stają się coraz potężniejsze w coraz szybszym tempie. To tempo jest czymś nowym. Np. do czasu pojawienia się sieci społecznościowych cała idea internetu nie miała krytyków, wiązała się z bardzo pozytywnymi skojarzeniami, niosła nadzieję na postęp. Ale teraz dostępność do sieci przez 24 godziny na dobę ma coraz więcej skutków negatywnych, zaczynając od tego, że interakcje społeczne stają się dla dzieci trudne, a młodzi ludzie spędzają w social mediach tak dużo czasu, że nie koncentrują się na nauce. Sieci społecznościowe z ich manipulacyjnym potencjałem to przykład, że ludzie nie zawsze wykorzystują postęp na własną korzyść. Harari w „Nexusie” przypomniał, że w czasach tuż po wynalezieniu prasy drukarska, więcej drukowanych książek dotyczyła czarownic i tego, jak je rozpoznać, niż praw fizyki, czy nawet zagadnień teologicznych. Teraz jednak w adaptację do świata z AI musi być zaangażowane całe społeczeństwo, ponieważ sztuczna inteligencja jest znacznie potężniejsza niż sieci społecznościowe, więc jeszcze ważniejsze będzie przewidywanie i kierowanie sposobem jej wykorzystania.

Jako nastolatek odbył pan staż jako asystent w Kongresie – nigdy nie kusilo pana, aby zająć się polityką?
– Byłem w Waszyngtonie krótko, ale w bardzo interesującym czasie: 1972 rok, kampanijna walka między McGovernem i Nixonem. Byłem tym zafascynowany, ale zdawałem sobie sprawę, że w polityce mam przeciętne kompetencje, w przeciwieństwie do dziedziny technologii, gdzie czułem, że mam wyjątkowo szeroki ogląd i że mogę być liderem branży. Ale podziwiam dobrych polityków, zwłaszcza że dziś potrzebujemy ich bardziej niż kiedykolwiek. Spędzam dużo czasu na rozmowach z politykami, ponieważ Fundacja Gatesów zależy od rządowych budżetów na pomoc zagraniczną.

Co sądzi pan o Elonie Musku, który właśnie wszedł do polityki na całego?
– Zaskakuje mnie skala jego przedsięwzięć i podziwiam jego robotę w SpaceX, gdzie dąży do obniżenia kosztów lotów w kosmos, czy w Tesli, gdzie zmusza wszystkich

producentów samochodów do produkcji lepszych pojazdów elektrycznych, co jest ważne dla klimatu. Kiedyś Musk wydawał mi się człowiekiem o podejściu liberalnym, teraz prezentuje twarz twardego konserwatysty. Nie miałem jeszcze okazji z nim o tym porozmawiać, ale biorąc pod uwagę, jakie ma wpływy, mam nadzieję, że dokładnie przemyśli skutki tego, co mówi i robi.

Obawia się pan wpływu administracji Trumpa na kwestie takie jak opieka zdrowotna, redukcja ubóstwa czy walka ze zmianami klimatu?
– Spodziewam się, że jego priorytety będą inne. Stany Zjednoczone są zdecydowanie najbardziej hojnym krajem, jeśli chodzi o finansowanie badań nad lekami na HIV, które z kolei utrzymują przy życiu dziesiątki milionów ludzi na świecie. Czy nowa administracja obetnie te i podobne dotacje? Moim zdaniem byłoby to tragiczne w skutkach.

A zmiany klimatyczne?
– Pojawia się wiele innowacji, nowych sposobów generowania energii. Będę musiał wrócić do stolicy, spotkać się z władzą wykonawczą i Kongresem, aby przynajmniej utrzymać niektóre zachęty do innowacji. Nie sądzę jednak, by w ciągu następnych czterech lat nacisk na ograniczanie zmian klimatu był duży.

Właściwie dlaczego przekazał pan większość swojej fortuny na działalność filantropijną?
– Być może chcę spłacić dług wobec rodaków. Spędzali dużo czasu na wolontariacie i przekazywali dość hojne datki jak na swoje możliwości. Poza tym Warren Buffett twierdzi, że nawet niewielkie ograniczenie ilości majątku, który zostawiasz swoim dzieciom, jest rozsądne. Większość moich pieniędzy trafi w końcu do fundacji, która teraz jest moją pełnoetatową pracą. Chcę stosować innowacyjnego ducha Microsoftu do badań nad zdrowiem. Postęp jest niesamowity. Nie wyeliminowaliśmy jeszcze polio, ale jesteśmy blisko. Kiedy już to osiągniemy, zajmiemy się odrą, malarią... Ludzie nie wiedzą, że globalne wysiłki na rzecz zdrowia w ostatnich latach zmniejszyły liczbę zgonów dzieci o połowę. Co może dać więcej satysfakcji?

Jako młody człowiek, kiedy miałem obsesję na punkcie programowania, pracowałem bez przerwy. Nie wierzyłem w wakacje czy weekendy. Starałem się działać szybko, aby wyprzedzić konkurencję. To był gwałt na work-life balance, ale sprawdził się przed trzydziestką. Dopiero po trzydziestce zacząłem brać wolne weekendy. Spotkałem Melindę, która powiedziała: „Jeśli chcesz mieć związek, musisz brać czasem wolne”. Dzisiaj, kiedy mógłbym oczywiście w ogóle nie pracować, nie potrafię po prostu grywać w tenisa. Za to czytam książki, które nie są bezpośrednio związane z moją pracą. Ale jestem nadal niewolnikiem własnej etyki pracy.

Jakiej rady udzieliliby pan ludziom aspirującym do takiej kariery, jak pańska?
– Jeśli ktoś ma nieortodoksyjny styl uczenia się, zdobywania wiedzy – zachęcałbym do postrzegania tego jako potencjalnej siły. A siła będzie potrzebna. Naprawdę wierzę, że rewolucja cyfrowa – obecnie skoncentrowana na sztucznej inteligencji – jest najważniejszą rzeczą, jaka się dzieje. Będzie za chwilę w centrum dosłownie wszystkiego. Nie wiemy jeszcze np., w jaki sposób wykorzystamy sztuczną inteligencję w dziedzinie zdrowia psychicznego. Nie wiemy jeszcze, jak wykorzystamy ją do rozwiązania – albo pogłębienia – problemu społecznej polaryzacji. Potrzebujemy nowych sposobów łączenia ludzi. Niepokojące jest to, że nawet w kraju takim jak Stany Zjednoczone ludzie nie podzielają w zasadzie żadnego celu, nie zgadzają się co do żadnego faktu, nie mówiąc o powszechnym braku wewnętrznego szacunku – a to są rzeczy, które są podstawą zdrowej demokracji. ●
tłum. Łukasz Grzymiśławski



ZELENSKI POWIEDZIAŁ

Włodimir Zeleński być może właśnie podpisał – miało to nastąpić w piątek, wysłaliśmy numer do druku w czwartkowe popołudnie – z Donaldem Trumpem ramową umowę o powołaniu funduszu inwestycyjnego, do którego Ukraina zobowiązała się wpłacać połowę dochodów z nowych inwestycji w eksploatację ukraińskich zasobów metali ziem rzadkich oraz innych surowców, w tym ropy naftowej i gazu. A także z działalności portów i terminali skroplonego gazu, a pozyskane środki mają służyć inwestycjom w odbudowę i rozwój Ukrainy.

Projekt odbiega od wersji pierwotnej, którą w Kijowie przedstawił Scott Bessent, sekretarz stanu USA w połowie lutego. I który niemal nie doprowadził do zerwania relacji ukraińsko-amerykańskich. W dokumencie nie ma mowy o „rekompensacie” za dotychczasową pomoc amerykańską w wysokości 500 mld dolarów, o czym lubi powtarzać Donald Trump. W zamian za dostęp do złóż Ukraina ma uzyskać „350 mld dolarów, sprzęt wojskowy i możliwość dal-

„NIE”

**I zdarzył się cud:
graniczący z chamstwem ton amerykańskich negocjatorów zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.**

Mirosław Czech

szej walki” – jak we wtorek stwierdził amerykański prezydent. Czyli nowa administracja nie powinna zablokować dostaw uzbrojenia, zagwarantowanych przez Bidena, a być może Stany same dostarczą broń pod przyszłe zyski ze sprzedaży metali i pierwiastków.

W dokumencie brak wzmianki o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy, o co usilnie zabiegał Kijów. Zapisano natomiast, że USA „wspierają wysiłki Ukrainy” dla otrzymania takich gwarancji. Kwestie bezpieczeństwa odłożono do innych uzgodnień i dokumentów. Bo o tych sprawach z Amerykanami rozmawiają nie tylko Ukraińcy, lecz również Francuzi i Brytyjczycy, działający z mandatu nowej koalicji nieoficjalnie powołanej w Paryżu w czasie dwóch spotkań zainicjowanych przez Emmanuela Macrona.

Celem tych poczynań nie są wyłącznie gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, udział wojsk europejskich w odstraszeniu Rosji oraz przyłączenie się USA do tego procesu. To nade wszystko przyszłość NATO i zdolności jego europejskich członków do własnej obrony. Bo zwinięcie amerykańskiej parasolki bezpieczeństwa nad Europą stało się otwartą opcją, gdy USA i Rosja rozpoczęły w Rijadzie (18 lutego) negocjacje nad „całokształtem wzajemnych stosunków”.



• **24 lutego 2023, prezydent Zeleński podczas obchodów pierwszej rocznicy pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę**

FOT. APEAST NEWS

•
Środę 12 lutego ZELEŃSKI i Bessent zapamiętają na długo. Wczesnym porankiem Rosjanie zaatakowali Kijów dronami i raketami balistycznymi – wszystkie zniszczono, lecz spadające szczątki narobiły wiele szkód. Jedna osoba zginęła, cztery kolejne zostały ranne. W takich okolicznościach Amerykanin przedstawił projekt umowy w sprawie zysków, jakie USA mają osiągnąć z eksploatacji ukraińskich złóż metali ziem rzadkich, gazu ziemnego, ropy naftowej oraz innych surowców. Jak się okazało, na wzór „umów” zawieranych przez kolonizatorów z indiańskimi narodami i afrykańskimi wozdami.

Sekretarz stanu dokument wręczył Zeleńskiemu z komunikatem, że ma go podpisać w pół godziny. Świadkowie opowiadają, że krzyk ukraińskiego prezydenta było słychać nawet na korytarzu. Wygarnął, co myśli na temat takiej formy postępowania z państwem ukraińskim i z nim samym. Rzucił, że niczego nie podpisze, bo najpierw musi poznać opinie swoich ministrów i ekspertów. Świadkowie opowiadają, że dłuższy czas po wyjściu z jego gabinetu Bessentowi ręce się trzęsły ze zdenerwowania.

Komentując metody zastosowane wobec Ukrainy przez Trumpa, Thomas L. Friedman, czołowy komentator polityczny „The New York Timesa”, napisał, że nawet „Don

Ukraiński sztab generalny zapowiedział, że wkrótce Rosjanie będą atakowani za pomocą „rojów dronów” – małych urządzeń z niewielkimi ładunkami wybuchowymi, których siłą ma być ogromna ilość. Inżynierowie kończą też prace nad grubszym kalibrem – masową produkcją własnych rakiet balistycznych o zasięgu 2,5 tys. km

Corleone byłby zawstydzony” wyludzeniem horrendalnych pieniędzy od państwa brojącego się przed niczym niesprowokowaną agresją rosyjską. Zawstydzony jednak nie jest Don Trump, co pokazuje głębokość zmiany, jaka się dokonuje w Stanach – podsumował.

Tradycyjna włoska mafia sportretowana w „Ojcu Chrzestnym” kierowała się swoim pojmovanym kodeksem honorowym. Amerykański prezydent żadnymi zasadami się nie kieruje i nie uważa, by jakiegokolwiek miały obowiązywać. Z wyjątkiem tego, co on uważa za dobre w określonej chwili. Ale czuje respekt przed zdecydowaniem, determinacją i siłą. ZELEŃSKI nie ugiął się pod gradem inwektyw Trumpa i broni siebie oraz interesów państwa, twarząc negocjując z nową administracją warunki.

Zyskał pewność siebie, ponieważ w sposobie działania, stosunku Trumpa do państwa, gospodarki i społeczeństwa dostrzegł, że jest on żywą skamieliną z lat 90. i 2000. Czasów, gdy na terenach postsowieckich rodziła się dzika kapitalizm i rosły fortuny miejscowych oligarchów. Fragmentem rzeczywistości, w której ZELEŃSKI wyrósł, zbudował popularności i pobierał nauki o sposobach układania umów biznesowych. I o czym nie omieszkaj przypomnieć kilka dni temu, gdy odpowiadał na pytania o swoje relacje z Trumpem i negocjacje z USA.

Amerykanie chcieli zmusić Zeleńskiego do podpisania umowy podczas konferencji bezpieczeństwa w Monachium, uzależniając od tego spotkanie z wiceprezydentem J.D. Vance’em, sekretarzem stanu Marco Rubio i doradcą do spraw bezpieczeństwa Mike Walzem. Projekt był jeszcze gorszy od propozycji Bessenta, bo zakładał przejście ukraińskich portów i największych przedsiębiorstw energetycznych. Dla podkręcenia atmosfery Rubio miał się zepsuć samolot, co oznaczało postawienie Ukraińców pod ścianą – albo umowę podpiszecie natychmiast i bez zmian, albo „audiencji” nie będzie.

ZELEŃSKI odpowiedział, że nie podpisze. I wówczas ukraińską delegację spotkała niespodzianka. „Graniczący z chamsstwem ostry ton amerykańskich negocjatorów zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiło się natomiast konstruktywne podejście” – relacjonuje „Ukraińska Prawda”. Ukraińcy odkryli styl prowadzenia negocjacji przez nową amerykańską administrację.

•
Już w połowie ubiegłego roku – wykazując się większą przenikliwością i realizmem niż większość zachodnich analityków, komentatorów i publicystów – ZELEŃSKI i ukraińska dyplomacja założyli, że zwycięstwo Trumpa staje się bardzo prawdopodobne, więc w dużej mierze właśnie dla komunikacji z nim opracowali „Plan zwycięstwa”. We wrześniu ZELEŃSKI zaprezentował go obydwu kandydatom, licząc, że Republikanina zainteresuje punkt o eksploatacji złóż metali ziem rzadkich.

Trump jednak w ogóle nie chciał słyszeć o Ukrainie i jej prezydencie, do spotkania doszło w ostatnim momencie, gdy Ukrainiec szykował się do odlotu z USA.

Podobnie rzecz się miała już po wyborach, bo wyłącznie dzięki pośrednictwu prezydenta Francji Emmanuela Macrona doszło do rozmowy Trumpa z ZELEŃSKIM, gdy w Paryżu w grudniu uroczyste otwierano katedrę Notre Dame, odrestaurowaną po dramatycznym pożarze. Od tego czasu w kontaktach ukraińskich władz z Amerykanami zaległa cisza, która nie wróżyła niczego dobrego. ZELEŃSKI stał się nerwowym, krzyczał na urzędników, którzy „robili się śni” od nerwów wywołanych humorami szefa. Wymyślił, że musi pokazać siłę, czyli nałożyć sankcje na swego poprzednika Petra Poroszenkę.

Poroszenkę – jednego z najbogatszych Ukraińców, właściciela koncernu spożywczego Roshen, posła i szefa Europejskiej Solidarności, największej partii opozycyjnej – objęło m.in. wstrzymanie możliwości korzystania z wszelkich aktywów finansowych oraz zakazy operacji handlowych, obrotu ziemią i akcjami, wywożenia kapitału za granicę i „wykorzystywania częstotliwości radiowych” oraz korzystania z „elektronicznych usług komunikacyjnych”. Do tego dochodzi wymiar symboliczny – były prezydent znalazł się w towarzystwie również objętego sankcjami Wiktora Medwedczuka, byłego prorosyjskiego deputowanego, zaprzysiężonego z Putinem (jest ojcem chrzestnym jego córki), typowanego swego czasu przez Kreml na namiestnika w Kijowie po zwycięstwie.

Sprzeciwiała się Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, pisząc w notatce, że takie działanie będzie ciosem w bezpieczeństwo narodowe. Nie pomogło, sankcje nałożono 12 lutego. Powróciła sytuacja z przełomu 2021 i 2022 roku, gdy organa ścigania ze wszystkich sił starały się wsadzić byłego prezydenta do więzienia za „zdradę”, jakiej miał się dopuścić w 2014 roku, gdy Rosjanie zaanektowali Krym i rozpoczęli wojenne działania hybrydowe w Donbasie. A on starał się – co przeciwnicy interpretowali jako niemal kolaborację z Rosjanami – utrzymać tereny zajęte przez „separatystów” w ukraińskiej przestrzeni gospodarczej, społecznej i prawnej.

Bezpodstawne zarzuty powtórzono w tym roku. Ale wyszło inaczej, niż planował ZELEŃSKI – posypały się komentarze, że prezydent ma problem z oceną rzeczywistości, doborem priorytetów, a do tego wali na osłep.

Uratowali go Trump z Putinem.

•
Tego samego dnia, gdy on nakładał sankcje na Poroszenkę, Trump odbył „wspaniałą rozmowę” z Putinem – i jej efektami natychmiast podzielił się telefonicznie z ukraińskim prezydentem. A mianowicie: rozmowy amerykańsko-rosyjskie będą się odbywały bez udziału Ukrainy i Europy, zaś w Ukrainie mają się odbyć wybory prezy-

denckie – po zawieszeniu broni, a przed podpisaniem traktatu pokojowego.

Dyktat porównywalny do niesławnego układu z Monachium w 1938 r., z dodatkowym żądaniem głowy ukraińskiego prezydenta. Rosjanin go nienawidzi, gdyż skradł mu pewne zwycięstwo po pełnoskalowej inwazji 24 lutego 2022. Amerykanin ma inne powody do afektu – ZELEŃSKI mimo finansowego szantażu nie dostarczył materiałów kompromitujących na syna Joe Bidena, a ujawnienie sprawy skończyło się upokarzającym wszczęciem pierwszego impeachmentu.

Putin i Trump trafili, że gorzej nie można. Większość Ukraińców nie chce wyborów przed zakończeniem wojny, podobne zadanie ma opozycja, eksperci prawni i społeczeństwo. Ale Trump się uparł.

Na początku lutego w USA gościła delegacja blisko 40 deputowanych ukraińskiego parlamentu, by wziąć udział w Narodowym Śniadaniu Modlitewnym – praktykowanym od czasów prezydentury Eisenhowera dorocznym spotkaniu protestanckich elit biznesowych i politycznych. W tym samym czasie Departament Stanu konferował z członkami ukraińskiej państwowej komisji wyborczej i prawnikami nad możliwością szybkich wyborów. Wszystkim wychodziło, że wyborów nie da się przeprowadzić do końca roku tak, żeby spełniały elementarne wymogi konstytucji Ukrainy i w ogóle zasad demokracji.

Czując opór, Trump wypalił, że ZELEŃSKIEGO popiera jedynie 4 proc. Ukraińców, choć zaufanie do niego wzrosło do 65 proc. po ultimatum z Waszyngtonu. Znajęcy lepiej ukraińskie sondaże Putin ostrożnie zaznaczył, że nie wie, czy procentów jest rzeczywiście tak mało. Na pewno jednak – stwierdził – generała Walerija Żaluznego, legendarnego głównodowodzącego w pierwszych dwóch latach wojny, obecnie ambasadora w Wielkiej Brytanii – popiera dwa razy więcej wyborców niż Zeleńskiego.

Sytuacja byłaby nawet zabawna – oto przywódca mocarstw nie znajduje lepszego zajęcia niż śledzenie słupek poparcia dla ich prezydenta, a jeden z nich w pewnym sensie wspiera człowieka, który zatrzymał i skompromitował jego wojska – gdyby nie chodziło o sprawę wojny i pokoju. I gdyby nie uderzyli celnie, bo poparcie w sondażach to czule miejsce prezydenta. Stąd początkowo zareagował histerycznie. Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej pokazywał, że poparcie ma wysokie, zapowiadając, że za jakiś czas przedstawi wykresy z poparciem jego, Trumpa i kilku polityków europejskich. Na szczęście szef wywiadu wojskowego gen. Kyryło Budanow, europejscy partnerzy i kilku współpracowników Trumpa wyperswadowali mu, że nie szedł tą drogą.

ZELEŃSKI rady posłuchał i zmienił styl. Z opanowaniem, godnością i w dramatycznym napięciu oświadczył, że gotów jest ustąpić z urzędu, gdyby taka była cena pokoju i członkostwa w NATO. Do jednego i drugiego droga daleka, więc dymi-

sja Zeleniowskiemu nie grozi, a wybory odbędą się po zakończeniu działań wojennych. Ale wrażenie, o jakie chodziło, udało się wywrzeć: oto prezydent Ukrainy znów stał się mężem stanu o churchillowskiej prezencji. Komentatorzy pisali o „szekspirowskiej” sytuacji, a Trump i Putin musieli przyjąć fakt, że nie wymuszają szybkich wyborów, do wiadomości, bo już nie kwestionują legitymacji Zeleniowskiego do prowadzenia rokowań pokojowych.

Tym bardziej że na antyukraińskie filipiki „Rudego” – jak powszechnie nad Dnieprem nazywa się Trumpa – Ukraińcy zareagowali, owszem, strachem i niedowierzaniem, ale teraz te uczucia przerodziły się nie w zniechęcenie i rezygnację, a w irytację i złość. Od ponad dekady podobnej „prawdy” o sobie – „Ukraina wywołała wojnę”, „rządzi nazistowski reżim” – wysłuchują od Putina i jego propagandyistów, więc w ślad za „ruskim korabłem” na ch... może iść amerykański prezydent.

Tyle na temat emocji społeczeństwa i samego Zeleniowskiego, który po wymianie „uprzejmości” z amerykańskim przywódcą złagodził ton, zachęcający do tego przez europejskich przywódców.

Ale pozostał twardy. W Monachium postawił się Amerykanom, czując wsparcie Europejczyków „zszokowanych i przerażonych” wystąpieniem J.D. Vance’a. Atakującego Europę, twierdzącego, że to ona porzuca demokratyczne i atlantyckie wartości oraz przekonującego, że Rosja i Chiny nie stanowią zagrożenia. Absolutna większość państw członkowskich zrozumiała, że chęć rozbicia Unii, wzrost nacjonalizmów i osłabienie gospodarki europejskiej to cele nie tylko Moskwy, lecz również Waszyngtonu.

Na Kremlu ponowny wybór Trumpa powitano z mieszanymi uczuciami. Radowano się z wygranej polityka, który „czuje wyjątkową słabość” do Putina i ma wiele niejasnych epizodów w biografii związanych z Rosją. Zarazem obawiano się o reakcje osoby, która uwierzyła w naznaczenie przez Boga po nieudanym zamachu – jak Trump obwieścił światu w wystąpieniu inauguracyjnym.

Początkowo wydawało się, że amerykański prezydent rzeczywiście działa po swojemu, czyli robi coś, czego się nie spodziewano i co do niego nie pasowało. Specjalnym wysłannikiem do spraw Ukrainy i Europy mianował generała Keitha Kelloga – zwolennika „zaprowadzenia pokoju poprzez siłę”, czyli dobrojenia Ukrainy i maksymalnego ukrócenia handlu rosyjską ropą przez „flotę cienia”. Sam Trump kilkakrotnie oświadczył, że gdyby Moskwa nie zgodziła się na rozmowy pokojowe, nałożyłoby dotkliwe sankcje.

W odpowiedzi na Kremlu podjęto działania w dwóch kierunkach. Uruchomiono kanał biznesowy dla kontaktów z nową administracją, którym kieruje Kirill Dmitrijew – urodzony w Kijowie i wykształcony w USA menedżer inwestycyjny. Przez swoje amerykańskie znajomości skontaktował się ze Steve’em Witkoffem, partnerem biznesowym Trumpa i jego wysłannikiem na Bliżni Wschód. Zaoferował otwartość Putina na „wielkie projekty biznesowe” z udziałem amerykańskiego kapitału.

Słyszając podobną ofertę, Trump zareagował jak stary koń kawalerski na dźwięk trąbki. Rosja kojarzy mu się z górą złotych, miliardami dolarów i nieprzebranymi bogactwami schowanymi pod ziemią. Nic tylko „wiercić i wierć”, bogacić się i bogacić.

Na potwierdzenie szczerości intencji Kreml wypuścił z więzienia w połowie lutego Marca Fogela, amerykańskiego nauczyciela skazanego w Rosji na 14 lat więzienia za rzekomy przemyt marihuany. Trump przywitał go osobiście w Białym Domu i oświadczył: „Zostaliśmy potraktowani bardzo dobrze przez Rosjan. Mam nadzieję, że to początek stosunków, które pozwolą zakończyć wojnę i sprawić, by miliony osób przestały się zabijać”. Zadzwoił do Putina, a sześć dni później w Rijadzie odbyła się



• W trzecią rocznicę ataku Rosji na Ukrainę Brama Brandenburska podświetlona w ukraińskie barwy

pierwsza runda negocjacji rosyjsko-amerykańskich.

Drugi kierunek działań Kremla podpowiedział Siergiej Karaganow. Honorowy przewodniczący Rady Polityki Zagranicznej i Obronnej zaproponował zawarcie układu z nową administracją na podstawie wspólnoty interesów i pogrążenia Europy – „źródła wszelkich problemów ludzkości, dwóch wojen światowych, ludobójstwa, antyludzkich ideologii, kolonializmu, nazizmu i dalej zgodnie z listą”. Jednym z zadań rosyjskiej polityki powinno się zatem stać uświadomienie Amerykanom („z wykorzystaniem dostępnych kanałów komunikacji”), że „nie pragniemy ich poniżyć i jesteśmy gotowi pomóc w zabezpieczeniu godnego wyjścia z katastrofy ukraińskiej, do której wciągnęli Amerykanów liberałowie-globaliści i Europejczycy”.

Zgodnie z tą radą Putin w jednym z wywiadów zawadiacko stwierdził: „Trump szybko zaprowadzi porządek wśród europejskich elit, które wkrótce usiądą u nóg swojego pana i będą delikatnie merdać ogonem”. Amerykański prezydent obok tego cytatu postawił lajkę.

Stwierdzenie, że Trump „mówi językiem Putina” nie jest przenośnią bądź konstatacją nieświadomej zbieżności poglądów z Rosjaninem. Zbieżność nie jest ani przypadkowa, ani nieuświadomiona. W Monachium Vance wygłosił antyeuropejskie „wyznanie amerykańskiej wiary” i uderzył w Niemcy zgodnie z koncepcją wypracowaną w Moskwie.

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że w sprawie wojny w Ukrainie oraz bezpieczeństwa i przyszłości Europy trumpowska Ameryka i putinowska Rosja skoordynowały działania. I że nowa administracja gotowa jest do zmiany o 180 stopni dotychczasowej polityki USA wobec Europy. Jeżeli zatem Europa – rozumiana jako UE, Wielka Brytania i Norwegia – nie podejmą działań na rzecz radykalnego zwiększenia własnej obrony, wsparcia dla Ukrainy i próby zachowania więzów z USA, wówczas czeka nas prawdziwy „zmierzch Zachodu”. Wydaje się, że tym razem Europa zrozumiała powagę chwili i żwawo – jak na siebie – przystąpiła do działania. Szczególnie zdeterminowane są Niemcy, bo – podobnie jak Ukrainę – Putin i Trump wzięli ich w podwójne ognie. I przeszarżowali, bo Alternatywa dla Niemiec zajęła drugie, a nie pierwsze miejsce, zaś chadecy mogą stworzyć koalicję „we dwóch” z SPD lub „we troje” z Zielonymi. Wszystkie te partie nieprędko zapomną amerykańskiej zdrady, bo tak odebrały działania Trumpa i słowa Vance’a.

Próbując ratować sytuację, Trump pogratulował Friedrichowi Merzowi zwycięstwa. W odpowiedzi usłyszał twardą ripostę. Merz zrównał wynik wyborów parlamentarnych z 23 lutego z powstaniem Republiki Federalnej Niemiec w 1949 roku – jego zdaniem to podobny moment zwrotny,

który zdecyduje o losach kilku przyszłych pokoleń. Wtedy pokonane, zrujnowane Niemcy dostały szansę na samodzielność i ją dobrze wykorzystały. Tylko że – uważa przyszły kanclerz – tym razem chodzi o losy całej Europy. O szansę na uzyskanie niezależności od Ameryki i jej wykorzystanie.

Na koniec o tym, co najważniejsze, czyli zdolności Ukrainy do prowadzenia wojny i stanie jej armii. Wszelkie bowiem rozważania o polityce okazały się pustymi dywagacjami, gdyby żołnierze odmówili dalszej walki, a obywatele obrony. Jedno i drugie nie wchodzi w grę, czego nie zmienił atak administracji Trumpa, mając fundamentalnie osłabić ich morale.

Pomaga w tym reakcja Europy. Coraz realniejszego kształtu nabiera sprawa kontyngentu europejskiego, mającego zagwarantować przestrzeganie ewentualnego porozumienia z Rosją. Kontyngent ma liczyć 30 tys. żołnierzy, udział zadeklarowały już Wielka Brytania, Francja i Niemcy, państwa skandynawskie i bałtyckie. Nie będą to siły pokojowe, ponieważ oddziały nie będą stały wzdłuż linii demarkacyjnej, ochronią natomiast miasta i najważniejsze obiekty infrastruktury krytycznej. Linii rozgraniczenia w dalszym ciągu strzec będą wojska ukraińskie.

Kwestią otwartą pozostaje sprawa ubezpieczenia kontyngentu przez Amerykanów, przed czym Trump broni się jak diabeł przed święconą wodą. Rozumie bowiem, że decyzja pozytywna będzie oznaczać, że „misja pokojowa” staje się natowska, ze wszystkimi konsekwencjami. I że Putin odbierze ów krok jako zerwanie negocjacji, co dla właściciela Trump Tower będzie oznaczać koniec marzeń o „biznesie stulecia” na terenie Rosji.

Ci, którzy szukają głębszej strategii w działaniu Donalda Trumpa, jeszcze za pierwszej kadencji ukuli termin „szok i przerażenie”. Przez kilka, kilkanaście dni to działało – po rozmowie telefonicznej z Putinem Europa i pół świata były zszokowane oraz przerażone. Kurz jednak powoli opada, odsłaniając cele i metody działania

w polityce międzynarodowej nowego/starego przywódcy Ameryki.

Oraz jego słabości. Trump nie zna Ukrainy i nic nie rozumie z oporu Ukraińców wobec rosyjskiej agresji. Bo gdyby choć trochę się orientował, zrozumiałaby, że Ukraińców nie jest łatwo przestraszyć i pokonać, o czym od 21 lat przekonuje się Putin. Od pomarańczowej rewolucji i kijowskiego Majdanu 2004 roku bije głową w mur – z coraz większą determinacją, wykorzystaniem niemal wszelkich dostępnych środków i wzrastającą szkodą dla Rosji.

A tymczasem armia ukraińska ustabilizowała sytuację na froncie, w okolicach Pokrowska udało się wyzwolić kilka miejscowości. Pomimo ogromnych wysiłków Rosjanom nie udało się wypchnąć ukraińskich jednostek z ich własnego obwodu kurskiego.

Zgodnie z rekomendacjami generałów i ekspertów wojska liniowe zostaną scalone w 18 korpusów, odpowiadających za określone odcinki frontu – zastąpią brygady i zgrupowania operacyjne, co ma zapewnić lepsze dowodzenie oraz stopniowe, nie od razu w całości pod ogień, wprowadzanie nowo sformowanych jednostek do działań bojowych.

Zasadniczo zmienia się charakter działań bojowych, bo ponad 80 proc. trafień w żołnierzy i sprzęt wroga wykonuje się za pomocą dronów. W 2024 r. Ukraina wyprodukowała ich 1,5 mln, w tym roku ma to być 4,5 mln. Szybko rośnie też potencjał ukraińskiego przemysłu obronnego – w 2024 r. wyprodukowano 154 słynne „Bohdany”, czyli nowoczesne samobieżne haubiccoarmaty, oraz setki tysięcy pocisków artyleryjskich natowskiego kalibru 155 mm.

Występując na konferencji prasowej z okazji 3. rocznicy „wielkiej” wojny gen. Załużny stwierdził, że wobec zasadniczych zmian na polu walki, armia ukraińska będzie potrzebować raptem połowę jej obecnego składu, czyli 450 tys. To informacja, która podniesie na duchu zmęczonych wojną ludzi. Siły Zbrojne Ukrainy muszą jednak dysponować kilkakrotnie większą rezerwą mobilizacyjną – a właśnie z mobilizacją władze wciąż mają problemy, które częściowo rozwiąże system kontraktów, jakie mają podpisywać mężczyźni w wieku 18-24 lat, zwolnieni dotąd z poboru. Dziś służba jest w zasadzie bezterminowa – a kontrakty będą jednoroczne. To zmniejszy lęk przed woją, bo rekruci będą mieli jasną, określoną czasowo perspektywę powrotu do domu, rodzin, pracy.

Załużny powiedział też, że obecność dronów spowodowała, że wzdłuż linii frontu powstała „martwa strefa”, której praktycznie nie można przekroczyć bez ogromnych strat. Rosjanie próbują, lecz dla nich życie ludzkie nie ma żadnego znaczenia.

Stąd potrzebny jest przełom technologiczny, nad którym prace już trwają. Wyszczególniono – poinformował – 17 elementów, których rozwiązanie doprowadzi do radykalnej zmiany na polu walki. Ukraińscy inżynierowie i specjaliści od IT oraz sztucznej inteligencji już pracują nad odpowiednimi rozwiązaniami, licząc na pomoc europejskich i amerykańskich partnerów. Wspólnymi siłami powinno się udać. Kilka dni temu ukraińskie służby zamieściły nagranie ataku nowego ukraińskiego drona na rosyjski kompleks przeciwlotniczy S-300. Został zniszczony 70 kilometrów za linią frontu. Dron wyładował obok, jego kamera wszystko nagrywała, po czym spokojnie powrócił do bazy. Równocześnie ukraiński sztab generalny zapowiedział, że wkrótce Rosjanie będą atakowani za pomocą „rojów dronów” – małych urządzeń z niewielkimi ładunkami wybuchowymi, których siłą ma być ogromna ilość. Ukraińscy inżynierowie kończą też prace nad grubszym kalibrem – masową produkcją własnych rakiet balistycznych o zasięgu 2,5 tys. km.

Dlatego Rosjanom tak spieszy do zawieszenia broni i obicia układu z Trumpem. ●

**Od rozmowy
z Trumpem podczas otwarcia
Notre Dame w kontaktach
z Amerykanami zaległa cisza.
Zeleniowski stał się nerwowy,
krzyczał na urzędników,
którzy „robili się sini”**

Ludzie dumni ze swej przenikliwości

Państwo Mentzena będzie jak Twitter Elona Muska: pełna wolność, ale to jego szef kontroluje algorytm.



Marcin Matczak

Wyborcy Sławomira Mentzena to ludzie dumni ze swojej przenikliwości. Tropią lewackie spiski, czytają szczepionkową konspirację Big Pharmacy jak otwartą księgę, gardzą tymi, którym „system” wyprął mózgi. Bo jak wiadomo, prawdziwy wolnościowiec nie ufa żadnym ekspertom – chyba że są to anoni-mowi użytkownicy Twittera i YouTube’a.

Czasami jednak ludzie, którzy najczęściej powtarzają, że są niezależnymi myślicielami, wszyscy myślą dokładnie tak samo. Na przykład w sprawie wizji państwa. Otóż ta mentzenowska stoi na środku pokoju jak słoń, wszyscy wokół niej chodzą, nosząc na ramionach swoje krytyczne głosy, i jakoś nikt nie zauważa, że jest albo kłamstwem, albo przepisem na katastrofę.

Państwo Mentzena to państwo paradoksalne. Slabe i wycofane w sprawach gospodarki, mocarne w kwestiach światopoglądowych. Rząd ma się w biznes nie wtrącać, podatki mają być niskie, a ZUS dowolny. Każdy przecież sam najlepiej wie, co zrobić ze swoimi pieniędzmi. Zamiast więc płacić na drogi i szkoły, inwestuj. Zamiast finansować emeryturę innym, zbieraj na swoją na prywatnym funduszu. I módl się – po pierwsze dlatego, że w takim państwie opatrność musi cię mieć w opiece, a po drugie, bo religia jest najważniejsza.

Mentzen chce państwa, które jest nocnym stróżem gospodarki i inkwizytorem światopoglądu. Delikatne i bezlitosne naraz jak Schroedingera, które jest jednocześnie rozmemłanym kogłem-mogłem i pozostaje w twardej skorupie. Z niskim podatkiem i wysoką karą za aborcję. Z de-regulacją gospodarki i regulacją sumienia. Państwo, które odpuszcza przedsiębiorcom, ale ściga przestępców, przywraca karę śmierci, ale płaci katom w bitcoinach.

Krytycznym umysłem jego wyborców umyka fakt, że państwo Mentzena to kulturalysta, który ma biceps Pudziana, ale nogi bociana. Co wtedy, gdy przedsiębiorca, któremu trzeba robić dobrze, okaże się przestępcą, któremu trzeba zrobić źle? Jak już się przestawi administrację ze ścigania karuzeli VAT na ściganie kobiet za aborcję, to czy ta będzie umiała odkryć oszustwo podatkowe? Ale może w państwie Mentzena nikt nie będzie oszukiwał, bo będzie lojalny wobec Polski jak Grzegorz Braun wobec własnej partii?

Mentzenowi, jak wiadomo, w głowie się nie mieści socjalizm, chociaż Konrado-wi Berkowiczowi mieści się w przestrzeni dużo mniejszej i położonej dużo niżej. W państwie Mentzena nie będzie więc takich wymysłów PRL-u jak pomoc społeczna, bezpłatna edukacja czy powszechna służba zdrowia. To wszystko potraktuje się surowiej, niż PiS potraktował postkomunistycznych sędziów. Okej – przyjmijmy to za program, który chce realizować demokratycznie wybrany polityk. Jakie będą jego skutki?

Ano takie jak w Kamieniu Pomorskim, jedynym chyba w Polsce miejscu, gdzie polityka korwinowsko-mentzenowska miała okazję się zrealizować naprawdę, a nie tylko przy piwie ze szwagrem. Wybrany tam w 1990 r. na burmistrza Stefan Oleszczuk ograniczył pomoc społeczną, sprywatyzował usługi miejskie i ściął podatki. Zlikwidował dom kultury i bibliotekę, ale nie ograniczał koncesji na alkohol. Efekt – gospodarczy cud i społeczna katastrofa. Nadwyżka w budżecie i nagły wzrost przestępczości i bezrobocia. Równiutko w tabelkach, bardzo nierówno w społeczeństwie.

Drapieżni darwińscy powiedzą – cóż z tego? Dobrze tak darmożjadom, niech przetrwają najsilniejsi. Nie zapytają, jak niedofinansowana policja w Kamieniu radziła sobie z przestępczością, którą wywołał cud Oleszczuka. Otóż nie radziła sobie, bo była niedofinansowana.

Taki jest właśnie paradoks mentzenowskiego państwa: to albo katastrofa, bo słabe państwo nie poradzi sobie z efektami swego wycofania się z życia społecznego, albo kłamstwo, bo gdy ludzie nieradzący sobie z rzeczywistością zaczynają się buntować i kraść, państwo będzie musiało być znowu silne. Bo co powie obywatelom? Tak jak fundujecie sobie prywatną emeryturę, ufundujcie sobie prywatną ochronę? Nie! Żeby wziąć ludzi za twarz, minimalne państwo znowu stanie się maksymalne.

Anarchokapitalizm i talibizm w jednym to zwierzę rzadkie, ale jak już występuje, do ekstremalnej wolności gospodarczej dodaje polityczny terror. Jak w Chile Pinocheta, o którym Mentzen mówił, że „dyktatury nie muszą być takie złe”. Swoboda wypowiedzi, ale tylko jeśli mówisz to, co podobają się władzy. Bo jak nie, Konfederacja rękami Brauna wyrwie ci mikrofon, przewróci głośniki i zgasi gaśnicą. To zresztą ciekawe, że Brauna wyrzuceno z partii nie za przemoc, ale dopiero wtedy, kiedy się postawił i sam wystartował na prezydenta. Taka konfederacka wolność jako uświadomiona konieczność jednomyślności.

No ale przecież nie może być tak źle. Jak polityk Konfederacji zjawia się na lotnisku, żeby witać przylatującego z RPA mordercę i rasistę, to krytyczny umysł jego wyborcy dochodzi do wniosku, że pewnie przecho-dził tamtędy z tragarzami. Zawiesza wnikiwość – to w żadnym wypadku nie jest psi gwizdek, wysłany kodem sygnał, który rozumieją ci, którzy mają rozumieć.

Wizja państwa Mentzena jest oszustwem, tak jak oszustwem jest cała Konfederacja. To wizja „prawdziwej” wolności, gdzie państwo nie robi nic oprócz tego, że decyduje za ciebie, jak masz żyć, w co wierzyć i kogo kochać. W tym państwie najpierw wywoła się społeczny chaos, a potem się go spacyfikuje, bo nie będzie innego wyjścia.

Wyborco Konfederacji! Nie daj się jednak omamić! Nie ufaj ekspertom, ale zaufaj politykom, którzy mówią ci, że nie powinienś ufać ekspertom. To się nie może nie udać. W państwie Mentzena będziesz mógł odmówić gejowi zrobienia tortu, a lekarzowi przyjęcia szczepionki, ale będziesz musiał popierać dyskryminacyjną i rasistowską politykę dynamicznych, gładko mówiących chłopaków.

Państwo Mentzena będzie jak Twitter Elona Muska: pełna wolność, ale to jego szef kontroluje algorytm. A jeśli jakieś komunikaty będą znikać jak opozycjoniści w Chile, to tak po prostu musi być i nie należy tego drażyć. Należy podziwiać swoją własną przenikliwość i pogardzać tymi, którzy nie umieją rozpoznać oczywistych kłamstw ludzi umoczonych w „systemie”. ●

Oczywiście

Niektórzy wydawcy „jednak chcieli przetestować nową władzę”, ale tylko „potwierdzili światopoglądową oraz polityczną selekcję ministerstwa kultury”. Doktor Sosnowski ubolewa nad smutnym losem periodyku „WPiS”.



Michał Rusinek

Dawno nie zaglądaliśmy na stronę tygodnika „Do Rzeczy”, a co jakiś czas warto, choćby po to, żeby przekonać się, jak straszne czasy nastały w ojczyźnie naszej. Znajdziemy tam np. artykuł spon-sorowany (przez wydawnictwo Biały Kruk), zatytułowany „Antypolonizm i kpiny z Boga”, autorstwa doktora Adama Sosnowskiego. W notce o sobie pisze, że jest doktorem literaturoznawstwa i podaje w nawiasie UJ, co zwykle oznacza, że ktoś jest zatrudniony w Uniwersytecie Jagiellońskim. W tym przypadku chodzi o to, że obronił doktorat na UJ, a to nie to samo. Tak czy owak, bierze on pod lupę dotacje, które ministerstwo kultury przyznało czasopismom. Wnioski mają nam zmrozić krew w żyłach, ale zanim autor je sformułuje, w pierwszym zdaniu już sugeruje, że w przypadku tego resortu słowo „kultura” – „oczywiście powinno się wziąć w cudzysłów”.

No, oczywiście. Ale nie bardzo wiadomo, czemu akurat słowo „kultura”, bo doktor Sosnowski nie udowadnia, że dotowane czasopisma nie mają charakteru kulturalnego. Co najwyżej sugeruje, że ministerstwo zachowało się niekulturalnie, bo nie przyznało pieniędzy „czasopismom reprezentującym obóz patriotyczny w Polsce”.

Słowo „oczywiście” pojawia się jeszcze w innym zdaniu i równie nieoczywistym kontekście: „Oczywiście, większość konserwatywnych czasopism wniosków w ogóle nie składało, bo wiadomym jest, jaki obowiązuje klucz światopoglądowy w koalicji 13 grudnia”. Czyli nie tyle ministerstwo zachowało się niekulturalnie, ile wydawcy tych czasopism podejrzewali, że zachowa się niekulturalnie, więc nawet nie dali mu szansy, żeby zachowało się inaczej.

Ale ministerstwo nie tylko zachowało się (lub zachowałoby się) niekulturalnie. Dopuściło się zdrady stanu: „Zdrada stanu ma różne wymiary, i ten wymiar wielki, i różne drobne formy lekceważenia państwa, nie mówiąc o kompletnym ignorowaniu po prostu zasady przyzwoitości”. Lekceważenie polega na tym, że ministerstwo „regulaminami [...] tak samo się przejmując jak konstytucją, [...] uchwalonymi przez inny skład parlamentu ustawami.”

Regulaminy, o których wspomina doktor Sosnowski dotyczą konfliktu interesów. Wykazuje on, że prawie wszyscy członkowie komisji przyznającej dotacje są jakoś związani z czasopismami, którym je przyznawali. Żeby to wykazać, autor artykułu posługuje się isticie detektywistyczną metodą, której meandry warte są zaprezentowania.

Odkrywa np., że Olga Drenda publikuje w „Tygodniku Powszechnym” i wydawnictwie Znak (przy okazji zwracam autorowi uwagę, że tylko tytuły czasopism piszemy w cudzysłowie, nazw wydawnictw nie). „Tygodnik” nie otrzymał dotacji, ale otrzymał

miesięcznik „Znak”, który nie jest tym samym bytem, co wydawnictwo Znak. Drenda publikuje w Znaku, a nie w „Znaku”, ale to dla doktora Sosnowskiego nieistotne.

Z Beatą Chomąrowską jest podobnie, choć, jak dodaje nasz detektyw, przed którym internet nie ma tajemnic: „Ponadto, jak podaje Wikipedia, jest także współautorką scenariusza wystawy czasowej «Tu Muranów» w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin”. Czyżby wystawa w Polin miała kompromitować Chomąrowską w oczach czytelników „Do Rzeczy”? Nie jest to jasne i chyba wolimy tego wątku nie drażyć.

Cezary Łazarewicz „otrzymał nominację do Hieny Roku” za artykuł o relacjach braci Kaczyńskich z ojcem, ale – co gorsza – „także opublikował jedną książkę w Znaku” (tu już pisany poprawnie). Marek Radziwon był niegdyś współpracownikiem wspar-tej obecnie dotacją „Wieżi”, ale gorsza jego przewina jest, że „za pierwszej Platformy” był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie. Nie wiemy, dlaczego to miałyby go kompromitować, ale też nie drażymy.

Beata Stasińska publikuje w „Tygodniku Powszechnym” („Tygodnik” wciąż miesza się Sosnowskiemu ze „Znakiem”), a Grzegorz Jankowicz – „powołany przez Bartłomieja Sienkiewicza szef Instytutu Książki” – jest tegoż „Tygodnika” redaktorem i wydał w nim książkę. Słowem – seria skandali.

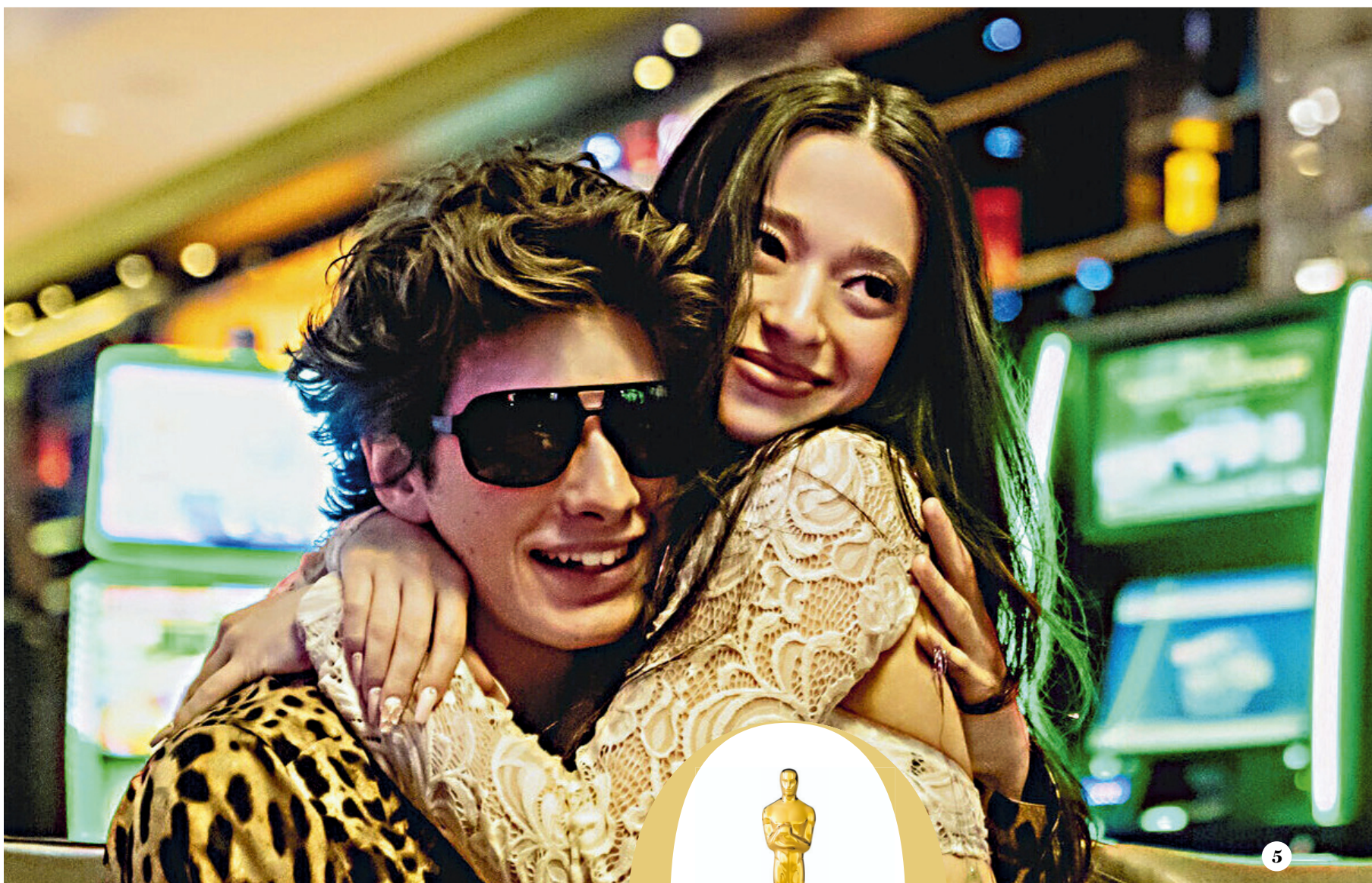
Pisze Sosnowski: „Dotacje otrzymały środowiska powiązane z zespołem decydującym o przyznaniu dofinansowania oraz pi-sma zajądłe atakujące Kościół czy wartości patriotyczne”. Jakie to zdegenerowane czasopisma otrzymały dotacje: „**Wież**” („czasopismo z komunistycznym rodowodem”), „**Znak**” (który może się mylić ze Znakiem i „Tygodnikiem”, bo to jest „to samo środowisko”), „**Czas Kultury**” (który specjalizuje się w „postmodernistycznej dewastacji kultury”, sztydzi z „tragedii smoleńskiej” i „uczuc religijnych katolików, czyli dominującej większości narodu polskiego” za pomocą „perfidnej lewackiej nowomowy, która stara się zafalszować podłą treść uczonymi sloganami”), „**Kontakt**” (który chciał kiedyś krytycznie przyjrzeć się działalności Jana Pawła II jako głowy Kościoła, „w tym oskarżeniom o zaniedbania w tak newralgicznej sprawie jak nadużycia i przestępstwa seksualne duchownych”) i „**Kultura Liberalna**” („pismo lamentujące nad tym, że «Trump wzmocni europejskich radykałów»”).

Zdaniem doktora Sosnowskiego prasa prawdziwie patriotyczna to taka, która wychwala Trumpa, bezkrytycznie wielbi Jana Pawła II i gardzi postmodernizmem oraz lewicującymi katolikami, zwłaszcza krakowskimi. Nie ma szans, żeby taką prasę wspierało obecne ministerstwo.

Niektórzy wydawcy takiej prasy „jednak chcieli przetestować nową władzę”, ale tylko „potwierdzili światopoglądową i polityczną selekcję ministerstwa”. Tu doktor ubolewa nad losem periodyku „Wpis – Wia-ra, Patriotyzm, Sztuka”, który został oceniony jako zbyt słaby merytorycznie, choć pisują tam takie tuzy jak „prof. Andrzej Nowak, prof. Wojciech Roszkowski, prof. Wojciech Polak, ks. prof. Waldemar Chrostowski, ks. prof. Janusz Królikowski, Leszek Sosnowski czy red. Wojciech Reszczyński”.

Dodajmy na marginesie, że Adam Sosnowski w latach 2011-2022 był redaktorem prowadzącym „WPiS-u”, a Leszek Sosnowski jest ojcem Adama Sosnowskiego, a poza tym – założycielem wydawnictwa Biały Kruk, sponsora artykułu Adama Sosnowskiego i wydawcy pięciu jego książek. Który to Adam Sosnowski – oczywiście – nie dostrze-ga w tym żadnego konfliktu interesów. ●

OSCARY 2025



TRAFIŁ ZATOPIONY

Tegoroczna kampania przedoscarowa jest wyjątkowo gorąca. Jeśli skandale pogrążą faworytów, to kto zyska na ich wpadkach?

Dawid Dróżdż

Oscary to zawody nie tylko artystyczne, ale i biznesowe, których nieodłącznym elementem jest twar-
da, często brudna marketingowa gra. Są plotki i rozdmuchiwanie potknięć konkurentów.

W dodatku Amerykańska Akademia Filmowa nie może sobie już pozwolić na takie skandale jak brak wśród 20 nominowanych czarnych aktorów i aktorek w 2016 r. czy pomijanie kobiet wśród nominowanych reżyserów.

Z drugiej strony Akademia, która podkreśla swoją postępowość, coraz częściej musi się mierzyć z zarzutami o zbytnią poprawność.

Rasistowska europocentryczna kpina

Liczba nominacji wskazywałaby, że w tym roku głównym faworytem powinni być twórcy hiszpańskojęzycznej „Emilii Pérez” mający szansę aż na 12 statuetek (13 nominacji, ale dwie z nich w kategorii najlepsza piosenka oryginalna). Film francuskiego weterana Jacques’a Audiarda to rozgrywający się w Meksyku brawurowy musical o baronie narkotykowym, który dokonuje korekty płci.

„Emilia Pérez” była doceniana przez liczne gremia: w maju na festiwalu w Cannes Audiard odebrał Nagrodę Jury, a kwartet: Adriana Paz, Karla So-

fia Gascón, Selena Gomez i Zoe Saldafia, został nagrodzony za najlepszy kobiecy występ aktorski. W styczniu musical zdobył Złote Globy, m.in. w kategoriach najlepszy film nieanglojęzyczny oraz najlepsza komedia lub musical.

„Emilia Pérez” szła jak burza. Do czasu.

Produkcja przyniosła pierwszą w historii nominację do Oscara dla transpłciowej aktorki – Karli Sofii Gascón, ale środowiska LGBT+ zrównały film z ziemią. GLAAD, amerykańska organizacja działająca na rzecz osób LGBT+, nazwała „Emilię Pérez” „głęboko zacofanym portretem kobiety transpłciowej”, zwracając uwagę na to, że w filmie jest wiele przekłamań na temat procesu korekty płci.

Film nie spodobał się też w Meksyku. Kraj ten jest miejscem akcji, ale zdjęcia były w większości kręcone we Francji. Operator filmowy Rodrigo Prieto zarzucał Francuzom niezrozumiały casting – obsadzenie w rolach meksykańskich postaci aktorów ze Stanów Zjednoczonych. Wyjątkiem jest Adriana Paz, 45-letnia meksykańska gwiazda.

Meksykanie krytykowali też stereotypowy sposób przedstawienia ich kraju. „Meksyk nienawidzi »Emilii Pérez«”. Rasistowska europocentryczna kpina. Prawie 500 tys. zabitych, a Francja decyduje się na musical” – skomentował w serwisie X scenarzysta Héctor Guillén, zwracając uwagę na ska-

łę problemu, jakim jest w jego kraju wojna narkotykowa.

„Wciąż niektóre rejony w Meksyku pogrążone są w przemoc. Podejmujesz jeden z najtrudniejszych tematów w kraju, ale to nie jest byle jaki film – to opera. To musical. Więc dla nas to tak, jakbyście bawili się jedną z największych wojen w kraju od czasów rewolucji meksykańskiej (1910-20)” – komentował Guillén na łamach BBC.

Problematiczne tweety sprzed lat

Prawdziwy kryzys dopiero miał nadejść.

Pod koniec stycznia dziennikarka Sarah Hagi wyciągnęła na światło dzienne serię wpisów na Twitterze (obecnie X) opublikowanych przed kilkoma laty przez Karłę Sofię Gascón. Hiszpańska aktorka zajmowała w nich dość stanowcze stanowisko w sprawie muzułmanów, ruchu Black Lives Matter czy Oscarów.

Aktorka stwierdziła, że islam powinien zostać zakazany, aż jego wyznawcy zaczną „przestrzegać praw człowieka”. Wyrażała obawy, że niedługo w Hiszpanii ludzie zamiast angielskiego będą musieli się uczyć arabskiego. Podsumowała: „Mam już dość tego gówna, islamu, chrześcijaństwa, katolicyzmu i wszystkich pieprzonych wierzeń idiotów, które naruszają prawa człowieka”.

„And the Oscar goes to...”

• W nocy z niedzieli na poniedziałek (z 2 na 3 marca) czasu polskiego usłyszymy to słynne zdanie po raz 97. W stawce kilka znakomitych filmów m.in. monumentalny „**The Brutalist**” z wybitną kreacją Adriena Brody’ego, energetyczny musical „**Emilia Pérez**”, tragicomiczna „**Anora**”, niejednoznaczny portret wybitnego artysty „**Kompletnie nieznany**” czy thriller „**Konklawe**” o brudach Kościoła katolickiego.

Jaka będzie tegoroczna gala?

• W styczniu w Kalifornii w pożarach spłonęła m.in. dzielnica Pacific Palisades, gdzie mieszka wielu filmowców. Szacuje się, że żywioł zniszczył w L.A. ok. 18 tys. budynków, zginęło 29 osób. Dwa razy przekładano ogłoszenie nominacji. Spekulowano czy gala powinna się odbyć.

Ale odbędzie się zgodnie z planem – 2 marca w Dolby Theatre w Los Angeles. Akademia przekaże 250 tys. dol. na pomoc osobom dotkniętym pożarami. Tyle miał kosztować tradycyjny uroczysty lunch po ogłoszeniu nominacji, który w tym roku został odwołany.

Kto na scenie

• Ceremonię poprowadzi debiutujący w tej roli nagrodzony Emmy komik Conan O’Brien. A nagrody wręczą zeszłoroczni zwycięzcy: Emma Stone, Cillian Murphy, Robert Downey Jr. i Da’Vine Joy Randolph, a także m.in. Halle Berry, Penélope Cruz, Willem Dafoe, Ana de Armas, Elle Fanning, Selena Gomez, Whoopi Goldberg, Scarlett Johansson, Ben Stiller i Oprah Winfrey.

Bez śpiewania

• Nie usłyszymy na żywo utworów nominowanych za najlepszą piosenkę. Te występy były statym elementem gali od 1946 r. Tylko cztery razy je odwołano: w 1989, 2010, 2012 i 2021 r. Decyzja Akademii jest niespodzianką. Rok temu jednym z najlepszych momentów wieczoru było wykonanie przez Ryana Goslinga piosenki „I’m Just Ken” z filmu „Barbie”. W tym roku nie usłyszymy więc m.in. hitów z musicalu „Emilia Pérez” śpiewanych przez Zoe Saldañę i Selenę Gomez czy piosenki z dokumentu „Elton John: Never Too Late” w wykonaniu Eltona Johna i Brandi Carlile.

Gdzie i kiedy obejrzeć?

• W Polsce ceremonię pokaże Canal+, oraz w serwis Canal+ Online. Transmisja rozpocznie się 3 marca o 0:30 od relacji z czerwonego dywanu, sama gala zacznie się o 1. w nocy. W poniedziałek o 22.30 w Canal+ skróć uroczystości.

wyborcza.pl

• Zapraszamy do naszego serwisu Wyborcza.pl, gdzie znajdziecie recenzje nominowanych filmów, a w czasie gali na bieżąco informacje o zwycięzcach.

Gascón odniosła się też do zamieszek, które wybuchły w Stanach po zabójstwie George’a Floyda, nazywając zamordowanego „narkomanem” i „oszustem”.

No i uderzyła w Oscary, krytykując ceremonię w 2021 r., podczas której triumfował film „No-madland” chińskiej reżyserki Chloé Zhao: „Oscary coraz bardziej przypominają ceremonię dla filmów niezależnych i protestacyjnych. Nie wiedziałam, czy oglądam festiwal afro-koreański, demonstrację Black Lives Matter czy 8M [Międzynarodowy Dzień Kobiet]”.

Gascón usunęła konto w serwisie X. Odniosła się też do sprawy w obszernym wpisie na Instagramie: „Nie mogę naprawić przeszłych czynów, mogę tylko powiedzieć, że dzisiaj nie jestem tą samą osobą, którą byłam 10 czy 20 lat temu. Nie popełniłam żadnego przestępstwa, ale nie byłam też doskonała, a nawet teraz nie jestem doskonała. Próbuję się uczyć, aby być lepszym człowiekiem każdego dnia”.

Jacques Audiard w rozmowie z serwisem Deadline powiedział, że Gascón prezentuje „podejście autodestrukcyjne”: – Dlaczego krzywdzi całą ekipę naszego filmu? Mieliśmy na planie niezwykłą relację. I nagle przeczynałem, że powiedziałam rzeczy absolutnie paskudne, warte potępienia.

Oczywiście, nasza relacja na tym ucierpiała. To, co zrobiła, jest niewybaczalne.

Od gwiazdy „Emilii Pérez” odciał się również Netflix, dystrybutor filmu, który nie zapewnił jej wsparcia swoich firm PR-owych, przestał pokrywać koszty jej podróży i stylizacji, a na koniec usunął z plakatów promocyjnych. W efekcie aktorka przestała uczestniczyć w pokazach i wydarzeniach branżowych, nie przyjechała do Londynu na ceremonię rozdania nagród BAFTA, nadal nie wiadomo, czy weźmie udział w oscarowej ceremonii.

Sceny seksu bez koordynacji

Specjaliści są zgodni: Karla Sofia Gascón straciła szansę na Oscara. Problemy podczas kampanii promocyjnej miały jednak także jej konkurentki.

Mikey Madison, nominowana za rolę w „Anorze” Seana Bakera, jest jednym z objawień sezonu nagród. 25-letnia amerykańska aktorka znana z serialu „Lepsze życie” i drugoplanowej roli w „Pewnego razu w... Hollywood” Quentin Tarantino gra strip-tizerkę z Brooklynu, która pod wpływem chwili wychodzi z frywolnego syna rosyjskiego oligarchy.

Mikey Madison i wcielający się w jej młodego męża Mark Eidelsztajn wystąpili w kilku odważnych scenach intymnych. Aktorka w wywiadzie, którego na łamach „Variety” udzieliła Pameli Anderson, iko-



2 • **Fernanda Torres (59 l.) w Brazylii jest uwielbiana, ale do tej pory na świecie była anonimowa**

3 • **Adrien Brody (52 l.) ma już na koncie Oscara za główną rolę męską w „Pianiście” (2003).**



3 • **Transpłciowa gwiazda „Emilii Pérez” Karla Sofia Gascón (52 l.), mimo skandalu, ma się pojawić na gali.**

4 • **Isabella Rossellini (72 l.) za rolę w „Konklawe” dostała pierwszą nominację w karierze.**

5 • **Budzący kontrowersje aktorzy „Anory” – Mikey Madison (25 l.) i Mark Eidelsztajn (23 l.).**

nie seksu lat. 80. i 90., przyznała, że wraz z kolegą z planu nie potrzebowali wsparcia koordynatorów ds. intymności. To nowy zawód; w hollywoodzkich produkcjach zatrudnianie koordynatorów ds. intymności stało się standardem pod koniec poprzedniej dekady na fali ruchu #MeToo.

Madison tłumaczyła, że wolała pracować bez koordynatora na planie, aby móc odegrać scenę bardziej autentycznie. Wyznanie aktorki spotkało się z krytyką jako zły przykład i umniejszanie roli koordynatorów.

Twórcy „Anory” byli też krytykowani za kontrowersyjny casting. W obsadzie znaleźli się dwaj rosyjscy aktorzy: Mark Eidelsztajn (bogaty synalek Wania) i Yura Borisov. Ten ostatni został nawet nominowany do Oscara za rolę drugoplanową. Światowe media zauważyły, że obaj aktorzy nadal mieszkają i pracują w Rosji, nigdy nie potępił publicznie wojny w Ukrainie, a Borisov wcześniej występował w prokremlowskich produkcjach.

Blackface sprzed lat

Obrażenia na polu marketingowej walki odniosła kolejna nominowana aktorka: Fernanda Torres. Brazylijska gwiazda stworzyła wybitną kreację w dramacie politycznym „I’m Still Here” Waltera Sallesa, którego akcja osadzona jest w czasach rządów wojskowej dyktatury w latach 70. Torres wciela się w prawdziwą postać – Eunice Paivę, żonę Rubensa Paivy, lewicowego polityka, który został aresztowany i zamordowany przez ówczesne władze.

Aktorka z dość egzotycznego filmowo świata niespodziewanie odebrała w styczniu Złoty Glob. Pokonała gwiazdy: Angelinę Jolie („Maria Callas”), Kate Winslet („Lee”) czy Nicole Kidman („Babygirl”).

Jej oscarowe szanse poszły w dół, gdy w portalach społecznościowych zaczął krążyć fragment wyemitowanego 17 lat temu popularnego programu „Fantastico”. Fernanda Torres wystąpiła w skeczu z twarzą pomalowaną na czarno. Tymczasem malowanie twarzy na czarno, czyli blackface, jest uznawane za zabieg rasistowski.

Fernanda Torres przeprosiła, podkreślając, że chce „uniknąć zamieszania”. Ale w USA takie wybryki traktowane są bardzo poważnie. Występ sprzed lat może więc zaprzepaścić szansę na historycznego pierwszego Oscara dla aktorki z Brazylii.

Węgierski akcent Adriena Brody’ego

Problemy wizerunkowe mogą pozbawić też szans na drugiego Oscara w karierze Adriena Brody’ego, nominowanego za rolę w epickim, 3,5-godzinny „The Brutalist” Brady’ego Corbeta. Amerykański gwiazdor wcielił się fikcyjnego węgierskiego architekta żydowskiego pochodzenia László Tótha, który po wojnie emigruje do Stanów. Brody za rolę Tótha zdobył Złoty Glob, Critics’ Choice Awards i nagrodę BAFTA. Był pewniakiem do wygrania Oscara.

Montażysta David Jancsó udzielił obszernego wywiadu serwisowi RedShark News, w którym ujawnił, że w celu poprawienia węgierskiego akcentu Adriena Brody’ego i Felicity Jones (żona głównego bohatera) wykorzystano sztuczną inteligencję. Narzędzia AI miały też pomóc stworzyć serię rysunków architektonicznych, które zostają zaprezentowane w jednej z ostatnich scen filmu.

Niektórzy potraktowali to jako niedopuszczalną ingerencję w powstanie dzieła. Pojawiły się nawet głosy, aby zdyskwalifikować „The Brutalist” z oscarowej rywalizacji. Brady Corbet, próbując ratować sytuację, tłumaczył, że technologia pomogła jedynie zmodyfikować, a nie zastąpić kwestie aktorów.

Ale afera wokół AI może osłabić szansę Brody’ego i otwiera szansę na pierwszego Oscara w karierze dla Timothée Chalameta, który zachwycił światową krytykę rolą Boba Dylana w „Kompletnie nieznanym”.

Oscar się opłaca

Wpadki w okresie przedoscarowym są kosztowne, bo mogą pociągnąć na dno nie tylko zamieszanego w aferę, ale też cały zespół pracujący na sukces filmu. Oscary często porównywane są do kampanii politycznej, w której kandydaci starają się zdobyć przychylność elektoratu, czyli w tym przypadku członków Amerykańskiej Akademii Filmowej uprawnionych do głosowania.

W tygodniach poprzedzających ceremonię rozdania statuetek w Los Angeles odbywają się setki pokazów filmów, które walczą o Oscara. Producenci dwoją się i troją, aby dotrzeć ze swoimi dziełami do jak największej liczby członków Akademii, organizując wystawne kolacje, rozsyłając prezenty.

Niekiedy koszt kampanii promocyjnej jest wyższy niż koszt produkcji filmu. Tak było np. w przypadku „Romy”, kameralnego czarno-białego filmu Alfonso Cuaróna, którego nakręcenie kosztowało ok. 15 mln dol., a promocja – ponad 25 mln dol.

Dlaczego producenci inwestują tak duże pieniądze w promocję filmów? Amerykańska Akademia Filmowa nie wypłaca zwycięzcom nagród pieniężnych, ale wartość symboliczna Oscara jest nie do przecenienia. Sama nominacja niesie dla studiów produkcyjnych i twórców długoterminowe korzyści wynikające z prestiżu nagrody.

Oscarowe filmy zarabiają też gigantyczne pieniądze dzięki zwiększonym przychodom z kas biletowych – zjawisko to zyskało nawet swoją nazwę: „Oscar bump”. Takie filmy jak „1917” (2019) Sama Mendesa, „Ukryte działania” (2016) Theodore’a Melfiego czy „Poradnik pozytywnego myślenia” (2012) Davida O. Russella po otrzymaniu nominacji wygenerowały o ponad 50 proc. większy przychód z kin na krajowym rynku. Wydanie gigantycznych pieniędzy na kampanię promocyjną po prostu się opłaca.



97. ceremonię poprowadzi debiutujący w tej roli, nagrodzony Emmy komik Conan O'Brien, znanym in. z prowadzenia popularnego talk show „Late Night with Conan O'Brien”.

Oscary – po trupach do celu

Stawka jest więc duża. Niektórzy uciekają się do nieczystych zagrań, wyznają zasadę: po trupach do celu.

Człowiekiem uważanym za mistrza czarnego marketingu jest hollywoodzki potentat, przestępca seksualny Harvey Weinstein. Założycielowi firmy Miramax, która wstrząsnęła rynkiem w latach 90., przypisuje się wymyślenie kampanii oscarowych w obecnym kształcie.

W 1990 roku dzięki sztuczkom Weinsteina dwa Oscary zdobyli twórcy „Mojej lewej stopy”, kameralnego irlandzko-brytyjskiego dramatu o utalentowanym artyście, który urodził się z mózgowym porażeniem dziecięcym. Statuetki odebrał: odtwórca głównej roli, stojący wówczas u progu wielkiej kariery Daniel Day-Lewis, a także Brenda Fricker wcielająca się w matkę bohatera.

Film kosztował zaledwie 600 tys. funtów brytyjskich. Jak to możliwe, że przebił się w oscarowej stawce? Weinstein przeprowadził innowacyjną kampanię promocyjną obejmującą reklamy w gazetach branżowych, a także specjalne pokazy filmu dla członków Akademii w całych Stanach Zjednoczonych. Miramax chciał mieć pewność, że wszyscy zobaczyli film – przedstawiciele studia dzwonili do członków Akademii, sprawdzając, czy dostali kopię na kasie VHS.

Kilka lat później Weinstein triumfował po raz kolejny. Akademia doceniła jego „Zakochanego Szekspira”.

Mark Gill, ówczesny prezes Miramax w Los Angeles, wspomina, że to była „kampania promocyjna na sterydach”, której

punktem kulminacyjnym był atak wymierzony w najgroźniejszego rywala. Weinstein potajemnie obgadywał w rozmowach z dziennikarzami „Szeregowca Ryana”, zapewniając, że film Stevena Spielberga traci na jakości po pierwszych 25 minutach.

I tak Akademia podjęła jedną z najbardziej zaskakujących decyzji w historii Oscarów, przyznając statuetkę dla najlepszego filmu „Zakochanemu Szekspirowi”.

„W tamtych czasach duże studia miały pewne miejsce w Oscarach, ponieważ żaden z niezależnych producentów nie prowadził agresywnej kampanii. Jedyne, co zrobiliśmy, aby zmienić zasady, to zamiast po prostu siedzieć i dostawać baty, bo ktoś ma więcej pieniędzy, więcej władzy, więcej wpływów, przeprowadziliśmy kampanię partyzancką” – tłumaczył Weinstein w książce „Down and Dirty Pictures”.

Wzajemne oskarżenia

Harvey Weinstein na zawsze zmienił krajobraz Oscarów. Plotki oczerniające kontrkandydatów coraz częściej stanowiły część polityki marketingowej.

Niewiele brakowało, aby Matt Damon i Ben Affleck stracili w ten sposób Oscara za scenariusz „Buntownika z wyboru” (1997). W Hollywood zaczęto bowiem szeptać, że tak naprawdę autorami tekstu są William Goldman („Wszyscy ludzie prezydenta”, „Butch Cassidy i Sundance Kid”) i Ted Tally („Milczenie owiec”). Obaj scenarzyści zaprzeczyli, aby byli zaangażowani w powstanie filmu wyreżyserowanego przez Gusa Van Santa. Matt Damon po latach powiedział w rozmowie z „The New York Times”, że za kampanią oszczerstw mieli stać marketingowcy głównego rywala – „Lepiej być nie może”.

Ataki odpierać musieli też twórcy „Pięknego umysłu”, biografii genialnego matematycznego Johna Nasha, którzy zostali oskarżeni o wybielanie postaci laureata Nagrody Nobla. Według niepotwierdzonych plotek miał on być antysemitą i ukrywającym swoją orientację gejem (niektórzy uważali, że to dyskredytuje postać). „Piękny umysł” zdobył cztery Oscary (w tym dla najlepszego filmu), ale specjaliści spekulują, że kontrowersje zmniejszyły szansę na wygraną Russela Crowe’a, który przegrał z Denzelem Washingtonem („Dzień próby”).

Szczęśliwy koniec miała historia oskarżeń, z którymi musiała się mierzyć Nicole Kidman, gwiazda filmu „Godziny” (2002) mającego aż 9 nominacji do Oscara. Kilka tygodni przed ceremonią oscarową w mediach zaczęło huczeć od plotek na temat jej domniemanego romansu z żonatym Jude’em Lawem – aktorzy pracowali razem przy filmie „Wzgórze nadziei”. Ostatecznie Kidman dostała Oscara, a rozpowszechniający plotki „Daily Mail” musiał zapłacić aktorze za zniesławienie.

W kontrowersjach grzęźli twórcy filmu „Green Book” – reżyser Peter Farrelly przeproszał za to, że w latach 90. w ramach „żartu” pokazał Cameron Diaz genitalia, współscenarzysta Nick Vallelonga przeproszał za poparcie wypowiedzi Donalda Trumpa oskarżającego niesłusznie muzułmanów o świętowanie 11 września, a odtwórca głównej roli Viggo Mortensen – za użycie podczas pokazu filmu słowa na „n” określającego osoby czarne.

A w tym roku? Karla Sofia Gascón zarzuciła (jeszcze przed wybuchem afery o jej tweety sprzed lat) ekipie marketingowej Fernandy Torres próbę zdyskredytowania jej pracy. „Nigdy nie powiem złego słowa na Fernandę Torres ani jej film, ale z drugiej strony widzę wiele osób związanych z Fernandą Torres, które źle mówią o mnie i »Emilii Pérez«”. Moim zdaniem to mówić więcej o nich i o ich filmie niż o mnie” – powiedziała Gascón w rozmowie z brazylijskim kanałem youtube’owym Folha de São Paulo. Później hiszpańska aktorka przeprosiła za te słowa.

Złośliwcy wieszczą, że Oscara w tym roku dostanie nie najlepszy, ale najmniej kontrowersyjny film. ●

Widziałem Polskę tak, jak mój bohater

„Obóz w Majdanku to było intensywne doznanie. Chociaż scenariusz zakładał, że po prostu tylko po nim chodzimy i oglądamy wszystko”.

Z **KIERANEM CULKINEM** O JEGO ROLI W „PRAWDZIWYM BÓLU”
ROZMAWIA **RADOSŁAW CZYŻ**

„Prawdziwy ból” w reż. Jessego Eisenberga, to historia żydowskich kuzynów, Benjiego i Davida, którzy z Nowego Jorku przyjeżdżają na wycieczkę do Polski, by uczcić pamięć niedawno zmarłej babci. Film jest nominowany: za drugoplanową rolę męską (Culkin) i scenariusz oryginalny (Eisenberg).

Śledzę twoją karierę od czasów „Scott Pilgrim kontra świat”. To jeden z moich ulubionych filmów.

– Ja też bardzo go lubię. Jak sobie u was poradził?

Niestety niezbyt dobrze. Nie miał dużej dystrybucji.

– Mam wrażenie, że w Stanach też nie poszło mu najlepiej.

To prawda, ale wśród fanów ma status filmu kultowego.

– Tak, i to mi się bardzo podoba. Dla mnie to idealny scenariusz. Wolę, gdy film, w którym gram, nie jest wielkim hitem. Podoba mi się, że coś ma taką małą, lojalną grupę fanów, którzy naprawdę go doceniają. Duża popularność trochę mnie krępuje.

Fani tego filmu szczególnie chwalą twoją rolę, to, że wręcz kradniesz ten film.

Słyszałem, że nie najlepiej przyjmujesz takie komplementy.

– Tak, wciąż nad tym pracuję. Ale co do tego „kradzenia”... kiedyś w wywiadzie dziennikarz powiedział: „Miałem napisać, że to ty ukradłeś film, ale obejrzałem go ponownie pomyślałem, że każdy w nim kradnie show na swój sposób”. I miał rację.

Każda postać dostaje pięć minut. Na przykład May Whitman – na planie była kilka dni, jej mała rola była świetna na papierze, ale ona zrobiła z tego coś fenomenalnego. Mieliśmy tam znakomitą obsadę. Dziś to same gwiazdy, ale wtedy nie byli jeszcze znani. Chris Evans, Brandon Routh, Mary Elizabeth Winstead, Aubrey Plaza – każde „kradnie film” w swojej kluczowej scenie.

W „Prawdziwym bólu” też kradniesz film. Tylko że tutaj to pasuje do fabuły. Twoja postać, Benji, kradnie uwagę swojemu kuzynowi Davidowi.

– Tak. Jesse tak zaplanował tę historię, że moja postać podbiera mu wszystko – uwagę, energię, uznanie. To David planuje całą

wycieczkę, organizuje wszystko. A Benji po prostu się pojawia i nagle wszyscy dostrzegają i uwielbiają tylko jego.

Jest scena na żydowskim cmentarzu, gdzie Benji klóci się z przewodnikiem wycieczki, a następnego dnia ten przewodnik mu dziękuje, przytula go itd. David jest kompletnie pominięty. Benji miał zabierać uwagę wszystkim, a szczególnie Davidowi.

Scenariusz Jessego ponoć zrobił na tobie wrażenie, a mimo to chciałeś się wycofać z filmu.

– Był świetny, a rola idealnie do mnie pasowała, co rzadko się zdarza. Problemem był termin. „Sukcesja”, nad którą pracowałem, skończyła zdjęcia z dwumiesięcznym opóźnieniem. Miałem tylko cztery dni wolnego przed wylotem do Polski.

Plan się zmienił i z krótkiego wyjazdu zrobiło się 25 dni bez rodziny. Wcześniej obiecałem sobie, że nigdy nie będę z dala od żony i dzieci dłużej niż osiem dni.

Próbowałem się wycofać. Film nie pomagał rodzinie ani finansowo, ani w żaden inny sposób. Po prostu chciałem w nim zagrać, bo podobał mi się scenariusz.

Dowiedziała się o tym Emma Stone, jedna z producentek „Prawdziwego bólu”. Zadzwońiła do mnie: „Rozumiem. Rodzina jest najważniejsza. Jeśli chcesz, zrezygnuj”. I wyjaśniła, że jeśli odejdę, cały projekt się rozsypie. Część producentów była już w Polsce, zakontraktowali całą lokalną ekipę, wynajęli sprzęt, wydali pieniądze.

To zmieniło moje podejście, poczułem, że nie mogę tego zrobić tym ludziom. I tak, było mi bardzo ciężko, te 25 dni było emocjonalnym wyzwaniem, ale wiedziałem, że artystycznie chcę być częścią tego filmu.

Powiedziałeś, że scenariusz jest świetny, a Jesse ponoć nie lubi, kiedy ktoś zmienia jego tekst. Tymczasem ty pozwoliłeś sobie na improwizację. Jak to przyjął?

– Nie nazwałbym tego improwizacją. Wiem, że to brzmi jak gra semantyczna, ale „improwizacja” kojarzy się z czymś zabawnym czy błyskotliwym, a tu nie o to chodzi. Trzymam się scenariusza, ale czasem w trakcie dialogu wychodzi ze mnie coś naturalnego, coś dodatkowego.

Na przykład, gdy ktoś mi przerywa, mogę rzucić: „Nie przerywaj mi!”, czego nie było w scenariuszu, ale co pasuje do sytuacji. Czasem to wychodzi zabawne. Jesse potrafi podejść i powiedzieć: „To było śmieszne, zrób to jeszcze raz”, a ja wtedy odpowiadam: „Ale co ja dokładnie powiedziałem?”. Bo nie pamiętam potem tych słów.



FOT. ELLEN VON UNWERTH/PENSKIE MEDIA VIA GETTY IMAGES

Jest taki moment w filmie – Jesse chciał, żebym powtórzył kwestię, ale nie potrafiłem, bo była spontaniczna. Powiedziałem coś w stylu: „David, siadaj i napisz do żony”. Jesse odebrał to jako złośliwość, jakbym miał do Davida pretensje o to, że ma żonę i życie, którego Benji nie ma. A w tamtej chwili chciałem po prostu przekazać coś w stylu: „Daj mi spokój i zajmij się czymś”. Jesse zostawił kilka takich rzeczy w filmie, mimo że to nie były zaplanowane linijki. Był też dzień, kiedy powiedział mi: „Mów, co chcesz, bo i tak dźwięk nagramy osobno”. Więc poszedłem do Marcii, postaci Jennifer Grey, i rzuciłem: „Dlaczego chodzisz sama, przegrywie?”. To było spontaniczne, mogłem powiedzieć, co mi przyszło do głowy, bo myślałem, że to nigdy nie trafi do filmu. Ale Jesse tak polubił ten tekst, że go zostawił.

Wychodzi na to, że rozumiesz Benjiego lepiej niż człowiek, który go napisał.
– Mam po prostu swoją interpretację. Podczas pracy z nim odkryłem, że Jesse sam

chciał grać Benjiego. Mówił, że w sztuce teatralnej miał podobną postać, choć tamten był bardziej agresywny, wręcz brutalny. Benji też bywa tyranem, ale bardziej subtelnym, nieoczywistym.

Powiedziałeś kiedyś, że od początku wiedziałeś dokładnie, kim jest Benji, i że w innym życiu mógłbyś być taki jak on.

Obiecałem sobie, że nie będę z dala od rodziny dłużej niż osiem dni. Dlatego próbowałem się wycofać. Ale zostałem, bo po prostu bardzo chciałem w nim zagrać.

*Kieran Culkin

• Ma 42 lata. Karierę zaczynał jako aktor dziecięcy u boku starszego brata Macaulaya w filmie „Kevin sam w domu” (1990). Pierwszą poważną rolę zagrał jako 19-latek w dramacie „Ucieczka od życia” (2002). Fani kojarzą go z adaptacji komiksu „Scott Pilgrim kontra świat” (2010), ale popularność zdobył dopiero jako Roman Roy w serialu „Sukcesja” (2018-23). Dostał za nią Złoty Glob (2024) i Emmy (2023). Za rolę w „Prawdziwym bólu” zdobył już Złoty Glob (NA ZDJĘCIU) oraz statuetki BAFTA i Critics’ Choice Awards, a ostatnio nagrodę Gildii Aktorów Ekranowych (SAG). Oscar wydaje się niemal pewny.

– Wystarczyłby jeden błąd w życiu. Jestem zupełnie inny niż Benji, ale czuję, że mamy jakieś elementy wspólne. Czasem człowiek patrzy wstecz i myśli, że mógł pójść inną ścieżką i skończyć zupełnie inaczej. Miałem szczęście, że trafiłem tam, gdzie jestem. Ale patrzę na ludzi, z którymi się wychowywałem – wielu startowało z podobnych miejsc, a skończyliśmy gdzie indziej. Dla mnie kluczowe było to, że miałem menedżerkę, która mnie wspierała przez 30 lat. Nie jestem typem, który goni za sukcesem czy pracą, ona miała tę determinację i wierzyła we mnie. Benji powiedziałby: „Nie potrzebuję pomocy, dam sobie radę sam”. I to by go zaprowadziło w inne miejsce.

Benji bywa wrzodem na tyłku, ale nosi też w sobie prawdziwy ból, widać to w jego oczach. Ty nie wyglądasz na kogoś, kto zmagą się z bólem istnienia czy depresją. Jako aktor czerpiesz z własnych doświadczeń?
– Nieświadomie. Uważam, że takie podejście nie pomaga. Zaczynałem grać jako sze-

ściolatek. Wtedy reżyserzy dawali mi rady w stylu: „Pomyśl o czymś smutnym”. Próbowałem przywoływać jakieś smutne wspomnienia, ale szybko odkryłem, że to wyrywało mnie z chwili. Już jako dorosły widziałem innych aktorów, którzy starali się przywoływać na potrzeby roli swoje osobiste doświadczenia i emocje. Ale próbując połączyć się z czymś emocjonalnie, całkiem tracili autentyczność. Nawet najbardziej świadoma osoba nie zawsze wie, co naprawdę czuje. Więc nie, nie czerpię z osobistych doświadczeń. Ale Benji... on rzeczywiście cierpi. Tak to odczytałem ze scenariusza. To facet, który nie poukładał sobie życia. Stracił babcię, jedyną osobę, która naprawdę go rozumiała, a jego relacja z kuzynem Davidem też się rozpada. W jednej ze scen mówi coś w stylu: „Rodzina nigdy nie jest przy tobie, gdy najbardziej jej potrzebujesz”. To było kluczowe dla postaci – desperacko szuka bliskości, nawet jeśli sam tego nie rozumie.

Czy były inne rzeczy, których z wiekiem musiałeś się oduczyć jako aktor?

– Gdy zaczynasz grać jako dziecko, to po prostu zabawa. Nie wybierasz wtedy świadomie kariery – dzieci chcą być np. astronautami, ale nie mają pojęcia, co to znaczy. Dopiero gdy miałem 14 lat, trafiłem na reżysera, który zaczął ze mną na poważnie pracować nad scenami i postaciami. Gdy miałem 18 lat, pracowałem przy „Ucieczce od życia”, gdzie Burr Steers, reżyser i scenarzysta, naprawdę mi pokazał, czym jest aktorstwo. Rozwalił moje „dziecięce” podejście, w którym chodziło tylko o stawanie, gdzie trzeba, i wypowiadanie kwestii. Powtarzał: „Przestań pokazywać mi postać. Po prostu ją zagraj. Widzowie to zobaczą”. Czasem w trakcie ujęcia mówił: „Nie rób nic oczami! Po prostu to powiedz”. To mnie zламаło, ale też zbudowało.

Słyszałem, że dał ci kiedyś przed sceną sześciopak piwa.

– Raz. Chciał, żebym przestał się stresować. Innym razem, gdy powiedziałem mu, że jestem zdenerwowany, poradził, bym przećwiczył dialog przed lustrem. Kiedyś kazał mi nauczyć się całego scenariusza na pamięć, jeszcze przed zdjęciami, nawet kwestii innych postaci. Dzięki temu mogłem spojrzeć na historię ich oczami. To stało się moim sposobem pracy – dopóki nie trafiłem na „Sukcesję”. Tam wszystko było inne – brak pełnego scenariusza, zmiany w ostatniej chwili, nagle dopisywanie scen. Musiałem improvizować i zmienić sposób pracy. Przy „Prawdziwym bólu” poczułem, że muszę na nowo przypomnieć sobie, jak grać w filmie, a nie w serialu. Ale scenariusz Jessego był tak dobry, że nie chciałem się nim „przejadać”, zakuwać wszystko na pamięć. Mam dobrą pamięć, więc czytałem scenę raz i ufałem, że wszystko zadziała na planie.

Jakie miałeś wyobrażenia o Polsce przed przyjazdem?

– Nie miałem oczekiwań. Widziałem Polskę tak, jak widział ją mój bohater. Ale polska ekipa była świetna. Jesse mówił, że przy filmie pracowało 150 Polaków. Wszyscy byli naprawdę zaangażowani. To rzadkie, bo na innych planach bywa różnie. A tutaj czuć było, że wszyscy chcą pomóc Jessemu w realizacji jego filmu.

A dzień zdjęciowy w Majdanku? Jak się wtedy czuleś?

– To było intensywne doznanie. Doświadczałem tego miejsca dokładnie tak, jak mój bohater. Scenariusz zakładał, że postaci po prostu wchodzi do pomieszczeń i widzą to, co tam jest. Kręciliśmy to bez prób, bez znaków na podłodze pokazujących, gdzie mamy stanąć. Po prostu chodziłem po obozie, chłonałem wszystko na bieżąco – jako ja i jako postać jednocześnie. To miejsce mówi samo za siebie. ●

Film „Prawdziwy ból” w reż. Jessego Eisenberga można ogadać w serwisie Disney+



FOT. GETTY IMAGES

Truteń. Kto to taki?
Samiec pszczoły.
Ale może być też młody
ojciec. Wystarczy tylko
chwila nieuwagi.

Z **JARKIEM WESTERMARKIEM***
O JEGO KSIĄŻCE „TRUTEŃ,
CZYLI ROZPRAWA Z OJCOSTWEM”
ROZMAWIA
EMILIA DŁUŻEWSKA

Skąd wziął się truteń?

– W pewnym sensie towarzyszył mi od zawsze, choć go nie dostrzegałem. Truteń to ucieleśnienie męskiego wygodnictwa, symbol określonego stanu ducha, lenistwa, odklejenia, pobłażliwości dla samego siebie.

Jest tym, co czeka na samym dole równi pochyłej, po której trzeba nieustannie się wspinać. I upiorem, który wciąż towarzyszy mojemu bohaterowi.

Pierwszy raz widzi go jako nastolatek – kiedy pojawia się ryzyko, że zostanie ojcem. Wtedy po raz pierwszy czuje pokusę ucieczki: odcięcia się od kłopotu, wypchnięcia go ze świadomości.

Ta pokusa wydaje mi się częścią męskiej natury – czy raczej kultury, bo nie mówimy, wbrew niektórym teoriom, o uwarunkowaniach genetycznych – od dzieciństwa. Dorastamy w społeczeństwie, które pozwala mężczyznom po prostu pomijać pewne doświadczenia.

Nie dotyczy to tylko rodzicielstwa, ale w tym przypadku różnice widać bar-

dzo wyraźnie. Ziarno nierówności zostaje zasiane tak wcześnie, że kiełkuje nawet u mężczyzn, którzy szczerze chcą partnerstwa. Mój bohater próbuje mierzyć się z tym problemem, ale pod jego entuzjazmem kryje się naiwność czy brak przygotowania.

Bohater „Trutnia” ostatecznie zostaje ojcem w wieku 31 lat. Jak ma założenia?

– Że będzie dzielił się z żoną obowiązkami po równo. Przede wszystkim nie chce być jak inni mężczyźni, którzy wymigują się od opieki i którymi gardzi. To idee słuszne i szlachetne, ale skonfrontowanie ich z rzeczywistością nie przebiega gładko. Bohater nie ma pojęcia, co go czeka. Wejście w rodzicielstwo to krok w ciemność. Wszystkie założenia, które przyjmiesz, natychmiast wylatują za okno.

Zderzenie z rzeczywistością przychodzi już w szkole rodzenia. Bohater chce dobrze, ale rozprasza się, nudzi, nie radzi sobie.

– Szkoła rodzenia to dla niego moment, kiedy zaczyna się konfrontować z tym, co

ma nadejść. Rozbieg, choć nawet podczas rozbiegu można się przewrócić. Ale to również szansa, żeby zabrylować i pokazać się z jak najlepszej strony.

Zwłaszcza gdy masz naturę prymusa. Twój bohater ma: nawet kupując test ciążowy, zastanawia się, jak dobrze wypaść przed aptekarką.

– Znam to uczucie bardzo dobrze. Po części to kwestia osobowości, ale też coś, co wpisuje się w tradycyjnie pojmowaną męskość. Chłopcy są wychowywani do rywalizacji, walki, zwyciężania. Mają być najlepsi. Potem jednak, kiedy to stereotypowe podejście przyłożyć do zadania, które do stereotypu nie pasuje, pojawia się zgrzyt. Okazuje się, że trudno być świetnym partnerem i graczem zespołowym, jeśli jednocześnie chce się być we wszystkim najlepszym.

Również dlatego, że tak dosłownie rozumiana równość okazuje się zyczajnie niemożliwa.

– Rodzicielstwo to doświadczenie głęboko uwarunkowane biologicznie i pewne kwestie są straszliwie trudne do prze-

skoczenia. Choćby karmienie. W Polsce – i nie tylko – jest obecnie duży nacisk na karmienie piersią. Mleko modyfikowane uważa się za zło konieczne. Tymczasem karmienie, choć brzmi jak rzecz najoczywistsza w świecie, często staje się wielkim wyzwaniem. I zadaniem, którym partnerzy nie mogą się równo podzielić. Mój bohater zazdrości żonie karmienia piersią. W tym przypadku nie może jej zastąpić, choć bardzo by chciał.

Obserwuje żonę usiłującą przystawić synka do piersi. I z całych sił walczy z myślą: ja bym to zrobił lepiej.

– Walka z wewnętrznym trutniem o rodzicielstwo w pełni równościowe jest jak spacer po linie. Możesz mieć jak najlepsze chęci, ale jeśli chwilę nie uważasz, te dobre intencje potrafią przerodzić się w coś bardzo nieciekawego.

Mój bohater wie, że to głupia myśl, niemal bluźniercza, połyka ją w końcu, milknie. Ale gdzieś tam ją jednak w sobie nosi.

Pułapki tkwią w samym języku. Czasem się zastanawiam, czy mężczyzna, który mówi „rodzimy”, wspiera partnerkę, czy raczej przypisuje sobie cudze zasługi.

– Widzę tę dwuznaczność. Dla bohatera „Trutnia” moment, kiedy żona mówi: „Będziemy rodzić”, jest cholernie ważny. Cieszy się, że ona widzi to jako wspólne doświadczenie. Ale przy okazji wypina pierś do orderu – znów czuje się dowartościowany, najlepszy, i to staje się istotniejsze niż sam fakt wspólnotowości. Ciągłe pułapki, ciągły spacer po linie.

Akurat w przypadku porodu rzeczywistość trudno mówić o równości doświadczeń. A z drugiej strony: są rzeczy, których przeskoczyć się nie da, i te, których przeskoczyć się nie chce.

Chłopcy są wychowywani do rywalizacji. Jak być partnerem, jeśli ma się być we wszystkim najlepszym?

Twoja książka pokazuje, jak społeczeństwo uchyla mężczyznom furtkę: starałeś się, ale sytuacja cię przerosła? Nie szkodzi, rozumiemy, tu masz wyjście awaryjne.

– Nie chciałem opisywać najbardziej oczywistego układu: tego, gdy kobieta chce oddać część obowiązków, ale mężczyzna zwyczajnie ich nie przyjmuje. Nie dlatego, że podobne sytuacje nie istnieją – przeciwnie, sądzę, że wszyscy znamy gości o takim właśnie podejściu. Po prostu jest to już temat dość dobrze rozpoznany, rozpracowany, znajomy.

Mnie ciekawiło doświadczenie tych mężczyzn, którzy szczerze chcą dzielić się obowiązkami po równo, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Zostali wychowani w świecie, który ich do partnerskiego ojcostwa nie przygotowuje. Nie wystarczy bardzo chcieć równości, żeby umieć wprowadzić ją w życie. A wyjście awaryjne rzeczywiście kusi na każdym kroku.

W którymś momencie bohater się łamie: po kłótni z żoną trzaska drzwiami, wychodzi. Wiem, że robi źle, ale łatwo go zrozumieć: jest zły, zmęczony, sfrustrowany. Tyle że jego żona już trzaskać drzwiami nie może.

– Tu wchodzi nieszczęsna kategoria „pomocy”. Jako dobry partner pomagasz w domu, pomagasz przy dziecku i wszyscy cię za to chwalą. Tymczasem kobieta jakoś w domu nie pomaga, kobieta po prostu robi.

W takim postawieniu sprawy jest pułapka: skoro pomagasz, to znaczy, że robisz coś szlachetnego, wykazujesz się dobrą wolą. Chcesz – pomagasz. Nie chcesz – nie pomagasz.

Albo chcesz, ale po prostu musisz zrobić sobie przerwę.

– Bo przecież to takie ważne, żeby odsapnąć, odpocząć. Współczesna kultura wbija nam to do głowy na każdym kroku. Selfcare. Mindfulness. To myślenie życzeniowe. Opieki nad noworodkiem nie da się zapauzować. Jeśli jedna strona pauzuje, drugiej zawsze spada na głowę podwójny ciężar.

Pojęcie „pomagania” zaczęło kwestionować zupełnie niedawno. Mój tata był zaangażowanym ojcem, jego tata też, opiekowanie się dzieckiem nie było dla mnie konceptem z kosmosu. Ale wzorce kilkadziesiąt lat temu były zupełnie inne.

Dobry ojciec umiał podgrzać mleko, zrobić pierogi z paczki albo popilnować dziecka, kiedy żona musiała gdzieś wyjść. A dziś?

– Mój bohater chce nie tylko być zawsze gotowy do zaspokajania potrzeb dziecka, ale też umieć jego potrzeby dostrzec i rozpoznać. Żeby walczyć z często spotykanym układem, że choć potomkiem opiekują się i mężczyzna, i kobieta, to jednak na kobiecie spoczywa obowiązek zarządzania tą opieką. To ona ma wiedzieć, co i kiedy jest potrzebne, wydawać polecenia, rozdzielać obowiązki. A funkcja menedżerska jest oczywiście dodatkowym obciążeniem.

I mamy tu kolejną uchylaną przez system furtkę: mężczyzna deklaruje, że jest gotów dzielić się wszystkimi obowiązkami, jeśli tylko partnerka powie mu, co ma robić. W efekcie robi mniej. Bo łatwiej jest zadbać o dziecko, niż tłumaczyć i delegować obowiązki.

Twoja książka pokazuje, że problem jest nie tylko po stronie mężczyzn. Wszyscy karmimy trutnie.

– Nie chcę posługiwać się kategorią winy, bo byłoby to niesprawiedliwe – zwłaszcza że w większości przypadków nie wchodzi tu w grę zła wola – ale przyzwolenie na brak równości rzeczywiście charakteryzuje nie tylko mężczyzn, którzy klepią się nawzajem po plecach i dają jedni drugim przyzwolenie na nieróbstwo. Kobiety mają wpajany ten sam podział ról.

Nierówności są też systemowe. Wiele parom opłaca się, by urlop macierzyń-

ski wzięła kobieta, bo mężczyzna zarabia więcej. A zarabia więcej, bo wiadomo, że nie pójdzie na macierzyński. I koło się замыka. Mówimy sobie, że tak już po prostu jest.

Twój bohater na stronach dla matek ogląda memy o tym, że ojciec nie potrafi dziecka ubrać czy zrobić mu kanapki. Wkurza go to.

– Mnie też wkurza, choć widzę tu mechanizm obronny. Jeśli kobiety czują, że są przypisane do roli opiekunczej, i nie widzą z niej wyjścia, jakąś metodą radzenia sobie może być okopanie się na swojej pozycji. Stwierdzenie: jestem w tym lepsza od mężczyzn, oni sobie nie radzą i dlatego nie mają wstępu do sfery opieki. Fakt, że ta sfera potrafi być naprawdę żmudna i niewdzięczna, schodzi na drugi plan.

Memy o tym, jak to mężczyzna nie potrafi się zająć dzieckiem, rzeczywiście są często wyolbrzymione i niesprawiedliwe, więc jako mężczyzna możesz poczuć się nimi dotknięty. Ale jeśli potem nie musisz

czemu nie rozumie, że facet wraca z pracy i nie może od razu brać się do ogarniania dziecka, bo musi najpierw trochę odpocząć.

Im więcej doświadczeń się dzieli, tym łatwiej się porozumieć. A porozumienie pozwala wypracować rozsądny podział obowiązków. Z czasem zresztą po prostu robi się łatwiej. Gdy skończyłem pierwszą wersję tej książki, mój syn miał dwa i pół roku. Opieka nad nim już wtedy była dużo łatwiejsza niż przez pierwsze sześć miesięcy, na których skupia się mój bohater.

W „Trutniu” to pierwsze pół roku to doświadczenie ekstremalne. Młodzi rodzice mówią mi czasem: „Nie umiem tego opisać, to trzeba przeżyć”.

– Uważam, że ewolucyjnie musimy zapominać o tym, jak naprawdę wygląda sam początek rodzicielstwa, bo inaczej gatunek by nie przetrwał. Ludziom, których kochamy, odradzalibyśmy prokreację. Dla ich dobra. Pierwsze trzy miesiące wspomi-



Jarek Westermark
„Truteń, czyli rozprawa z ojcostwem”
wyd. Agora 2025

„Nie wylatuje z gniazda w poszukiwaniu kwiatów, nie przynosi pyłku, nie pokazuje innym, gdzie go znaleźć, nie produkuje miodu, a już na pewno nie opiekuje się potomstwem. Umywa łapki w porannej rosie. Jest świetnie ustawiony, lazi w kółko, je. Równie dobrze mógłby tłumaczyć książki, grać w gry i oglądać całe mnóstwo filmów i seriali”.

(cytat z książki „Truteń...”)

wkładać tych czapek, zapinać guzików albo robić kanapek, to ostatecznie wychodzisz na plus. Bądź sobie dotknięty do woli.

Kolejna uchylona furtka.

– Oczywiście. „Dałbym sobie radę, no ale skoro nie chcicie, to nie”. Mój bohater też tak reaguje. Chce pomóc, nie zostaje potraktowany poważnie, więc unosi się godnością. Musi nauczyć się myśleć inaczej.

Mam wrażenie, że dla niego równościowa relacja to taka, w której obie strony są równo umordowane.

– Jeżeli jego żona budzi się w nocy, żeby nakarmić dziecko, to on też się budzi, żeby jej towarzyszyć. Choć technicznie rzecz biorąc, jest w tym momencie absolutnie zbędny. A potem jest ledwie żywy.

Nie byłoby lepiej, żeby się wyspał?

– Niekoniecznie, bo to bycie ledwie żywym jest ważne. Jeśli jedna osoba robi przy dziecku wszystko i umęcza się po pachy, bo jest to straszliwy zapierdół, a druga żyje w tym czasie mniej więcej tak samo jak wcześniej, to ich doświadczenie kompletnie się rozjeżdża. I potem kobieta słyszy pytania – zapewniam, nie wymyślam tego – czemu jest wiecznie zmęczona, skoro cały dzień siedzi w domu. Albo pretensje,

nam jako absolutne bagno. Koszmar, choć oczywiście przerywany dobrymi momentami. Wiem, brźmi to dramatycznie, ale to był dramatyczny czas.

Pokazujesz, jak desperacja młodych rodziców zostaje zmonetyzowana. Wokół rodzicielstwa wyrasta ogromny biznes.

– Branża żeruje na bezradności, naiwności. Na tym, że jako młody rodzic jesteś w tym czasie najbardziej podatny na wpływy. Twój pancerz się zsuwa: przez stres, fizyczne zmęczenie, ale też rozpaczliwą potrzebę, żeby ktoś ci powiedział, co robić. Doświadczenie rodzicielstwa jest obudowane milionem rzeczy, które możesz kupić: usług, przedmiotów, konsultacji. Każdy jest ci gotów powiedzieć, jak żyć – oczywiście za odpowiednią opłatą. Dostajesz mnóstwo komunikatów, i to często sprzecznych.

Okres pologu to też test wysiłkowy dla związku. Ja miałem ogromne szczęście, bo z żoną widzieliśmy sprawę bardzo podobnie. Wiedzieliśmy, że jeśli zaczniemy robić sobie wyrzuty, posypimy się jak domek z kart. Umówiliśmy się, że kryzysy deeskalujemy natychmiast. Przetrwaliśmy te pierwsze miesiące, ale nie wiem, jak by się nam udało, gdyby nie wspólnota doświadczeń. Dlatego tak ważne jest, żeby się nie odklejać. I sobie nie odpuszczając.

Te doświadczenia opisujesz językiem science fiction. Opieka nad noworodkiem jest w twojej książce jak podróż kosmiczna. Ale nie przygodowa rodem ze „Star Treka”, ale bardziej z „Obcego”.

– Moje dziecko przyszło na świat w listopadzie. Grudzień, styczeń i luty to były najtrudniejsze miesiące. Jesteś piekielnie zmęczony, zestresowany, wyglądasz za okno i masz wrażenie, że cały czas jest noc. Jeśli masz szczęście, widzisz gwiazdy i możesz wyobrazić sobie, że lecisz statkiem kosmicznym, tyle że z dziwnym, obcym stworem na pokładzie.

Mój bohater nie jest mną, jego emocje i reakcje są czasem bardzo podkreślone, ale dzielimy wiele doświadczeń. Przeżył wiele znanych mi sytuacji. Dlatego często posługuje się porównaniem, hiperbolą, nawiązuje do filmów, opowieści science fiction. Szuka odpowiedniego języka dla nieopisywalnych doświadczeń.

Lubię filmy science fiction, horrory klasy B. Postanowiłem zbudować na zaczerpniętych z nich skojarzeniach siatkę pojęciową mojego bohatera. Ciekawiło mnie zderzenie kogoś wychowanego na fabulach, historiach oderwanych od rzeczywistości, z doświadczeniem tak przerażająco realnym.

Tylko tam mężczyźni walczą z potworami, a nie zmieniają pieluchy.

– Ale też często ścierają się z czymś nienazwanym, spoza znanego świata. Mój bohater w książce nazywa dziecko „Glistą”. Byłem nie całkiem ludzkim, takim, które w człowieka ma się dopiero przepoczwarzyć.

„Truteń...” nie skupia się na relacji mężczyzny ze swoim dzieckiem, choć jest ona oczywiście bardzo ważna. Mówi raczej o relacji z żoną czy partnerką, a przede wszystkim z samym sobą. O docieraniu do lepszego miejsca z punktu wyjścia, który wydawał się dobry, ale w rzeczywistości wcale taki nie był.

Nie boisz się, że ta książka zostanie odebrana jako zawłaszczenie? Męskie opowieści dominują w polityce, nauce, historii, a teraz jeszcze facet opowie światu, jak to jest mieć dziecko.

– Zastanawiałem się nad tym. Ale mam poczucie, że w przedstawieniu męskiej perspektywy na rodzicielstwo jest wartość. Nie chciałem zawłaszczać narracji, tylko ją poszerzyć. Mnie literatura na doświadczenie ojcostwa w ogóle nie przygotowała. Poradniki pisane przez mężczyzn dla mężczyzn to koszmarny październik. Wyluzowani faceci obserwują sytuację z dystansem, podśmiechują się ze zmagani z niemowlakiem, pokazują je jako superprzygodę. Cóż, może faktycznie jest to superprzygoda, jeżeli to nie ty zarywasz noc za nocą. Kiedy słyszysz: „U nas spoko, tylko ona się nie wysypia”, szlag mnie trafia.

Jeśli z całego tego złożonego doświadczenia miałbym wydestylować jedną mądrość, brzmiałaby ona następująco: mężczyzna, zostając ojcem, musi założyć, że jego życie zmieni się w takim samym stopniu jak życie kobiety. Bo jeśli nie będzie miał w sobie tej gotowości, zawsze znajdzie pretekst, żeby tak nie było.

Twoje dziecko ma dziś sześć lat. Co myślisz o sobie z wtedy?

– Na myśl przychodzi mi część inskrypcji, jaką pragnął mieć na nagrobku Kilgore Trout, bohater książek Kurta Vonneguta: „Starał się”. ●

Jarek Westermark

• Ur. 1985 r. Pisarz, tłumacz, poeta. Autor zbiorów „Opowiadania, które napisałem” (2016, Nisza) i „10 opowiadań na krzyż” (2021, Nisza). Tłumacz m.in. popularnej serii „Szkoła szpiegów” (wraz z Aleksandrą Szkudłapską) oraz nowej wersji powieści „Dr. Doolittle i jego zwierzęta” na potrzeby Wolnych Lektur. Z wykształcenia prawnik



RYS. LORENZO MATTOTTI / DZIĘKU UPRIĘCZNOŚCI LOGOSEDIZIONI(5)

Z LORENZO MATTOTTIM,
WŁOSKIM MISTRZEM RYSUNKU,
ROZMAWIA **BARTOSZ HLEBOWICZ**

Dlaczego wybrał pan komiksy?

– Dorastałem z komiksami, więc opowiadanie za pomocą obrazków było dla mnie czymś naturalnym. W tamtym czasie, w latach 70., język komiksów przechodził rewolucję. Obok komiksów rozrywkowych pojawiły się takie, których autorzy zaczęli mówić o własnym życiu, fantazjach i koszmarach, jak np. Robert Crump. Możliwość opowiedzenia o swojej rzeczywistości – chłopca, młodego mężczyzny – stała się czymś naturalnym. Postrzegałem komiks jako filtr rzeczywistości, ponieważ mogłem opowiedzieć o tym, czym żyłem, tak jak robią to literatura, teatr, kino, taniec czy muzyka. Nowy komiks stał się językiem pokolenia, trochę jak muzyka rockowa.

Czytałem, że na lekcjach zarysowywał pan podręczniki. Tak jak Jerry Kramsky [pseudonim Fabrizio Ostaniego], pański przyjaciel, a potem współpracownik, z którym zrobiliście kilka niezwykłych opowieści obrazkowych.

– Tak, w czasie lekcji cały czas rysowałem. Prawdopodobnie byłem trochę autystyczny... Rysowałem potwory, bo są znacznie łatwiejsze niż osoby. Przeczytałem chyba każdy komiks, który wyszedł, gdy byłem dzieckiem. Wydawałem na nie wszystkie pieniądze, choć nie miałem ich za wiele.

Pamiętam, jak w sklepie z komiksami we Florencji zobaczyłem pana „Labirynty” z 1988 r., wspólne dzieło z Kramskym. Zachwyciła mnie gwałtowna kreska, kontrastujące kolory, kanciaste postaci z wielkimi ustami i czaszkami o dziwacznych kształtach. Ich przygody rozgrywały się w wyobrażonych światach czy też

Badacz własnej duszy

Młodzi ludzie, nawet dzieci w szkołach, dzisiaj potrafią opowiadać swoje życie za pomocą komiksów. Łatwiej im to przychodzi niż prowadzenie pisanego dziennika

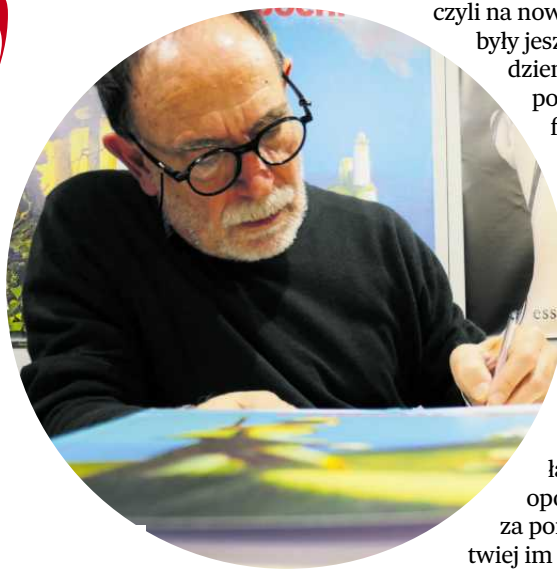
może raczej w ich własnej wyobraźni, a każdy rysunek to odrębne dzieło.

– Nie interesuje mnie robienie rysunków „przejściowych”, ilustrujących akcję. Każdy obraz musi też istnieć samodzielnie. Moje historie są wyznaczone rytmem rysunków, nigdy nie zaczynam od scenografii i dialogów, lecz od obrazu.

W tamtym czasie, na przełomie lat 70. i 80., chcieliśmy pracować nad językiem komiksu, wiele eksperymentowaliśmy. We Włoszech miesięczniki, jak „Linus” czy „Alterlinus”, publikowały opowieści z dymkiem i tam dawaliśmy upust naszym poszukiwaniom. Pojawiły się abstrakcyjne rysunki, poezja – komiks pozwalał nam robić wszystko. Nie było dla mnie granic między sztuką oficjalną a sztuką niską, byłem pod wpływem zarówno komiksów, jak i kina oraz literatury.

Fascynowały nas metafizyka, surrealizm, czego ślady wyraźnie widać w moim „Signor Spartaco” z 1982 r. To był okres eksploracji i odkryć. Różni autorzy wkroczyli na nowe terytoria, które nie były jeszcze zbadane, takie jak

dziennikarstwo, irrealizm, potem autobiografia – w 1992 r. ukazała się „Mouse”, autobiografia Arta Spiegelmana i biografia jego ojca. Terytorium komiksu znacznie się wówczas powiększyło, wypracował on własny, bogaty język. Młodzi ludzie, nawet dzieci w szkołach, dzisiaj potrafią opowiadać swoje życie za pomocą komiksów. Łatwiej im to przychodzi niż pro-



FOT. JACOPO HLEBOWICZ

wadzenie pisanego dziennika. To największa zdobycz komiksu.

W pańskich książkach powtarza się motyw wyobrażonych ludów tubylczych, są szamani, magiczny śpiew małej dziewczynki, jak w „Ghirlandzie” z 2017 r., którym odgania niebezpieczeństwo. Przywodzi to na myśl indiańskie mity, choćby legendy Irokezów, w których złego szamana ludożercę poskramia śpiew wodzów. Inspirował się pan lekturami antropologicznymi?

– Nie jestem człowiekiem nauki. Czytałem różne artykuły, książki, historie innych ludów, ale nigdy nie podchodziłem do tego w sposób analityczny, systematyczny. To były intuicje – należę do pokolenia, które było otwarte na to wszystko. To część mojej kultury: fascynacja egzotyką, różnymi etniami. W tamtych czasach nie mieliśmy internetu, przeglądałem więc encyklopedie, podziwiałem zdjęcia dalekich ludów, twarzy, masek. Traktowałem to wszystko jako odmienne możliwości doświadczania rzeczywistości, przykłady bogactwa kultur, reinterpretowania rzeczywistości za pomocą rytuałów.

Zawsze byłem zafascynowany tym, co nie jest racjonalne, fascynowała mnie cała ta odrębna logika: ludy, które komunikują się z krajobrazem, jak w lasach Amazonii, gdzie są otwarci na rzeczywistość zupełnie nieznaną nam, ludziom Zachodu. To wszystko było świetnym tworzywem dla moich komiksów.

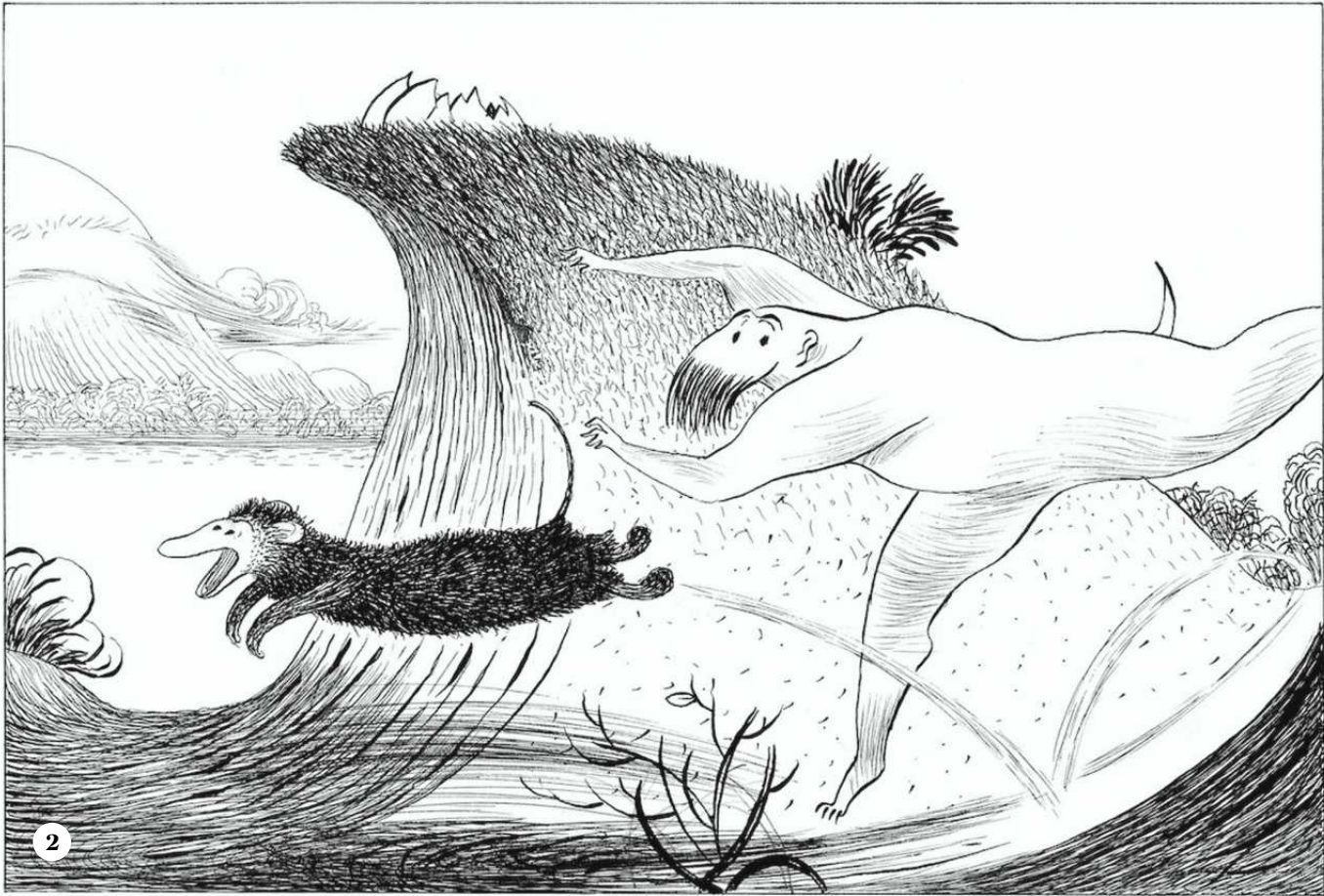
Podoba mi się, co pan powiedział o śpiewie. Zawsze byłem mocno związany z muzyką, moi bracia grali w zespole. Wyrośłem na wielkiej muzyce rockowej z lat 60. i eksploracjach muzycznych wszelkiego typu: muzyce etnicznej, eksperymentalnej. Muzyka, potęga dźwięku były dla mnie równie ważne jak rysunek. Muzyka uratowała mi życie. Nie wiem, co by się ze mną stało bez niej. Muzyka dała mi też wiele wizji.

Czasami muzyka, choćby Franka Zappy czy rocka progresywnego, stanowi obrazy, znaki, perspektywy graficzne. Zawsze istniał dialog, żywy ruch między muzyką, komiksem i kinem. Kiedy dorastałem, idea racjonalnej komunikacji była mi obca. Sądzę, że mój sposób rysowania jest bardzo powiązany z rytmem muzyki. Tak jakbyś widział muzykę, kiedy rysujesz.

Doświadcza się tego podczas lektury pańskich opowieści, choć mnie bardziej kojarzy się to z jazzem, Ornette’em Colemanem na przykład. Pański bohater albo sama opowieść jakby się gubiła, skręcała nagle w innym kierunku, by potem, podążając odmienną logiką, wrócić na „właściwe” tory.

– W moich opowieściach zawsze zdarza się moment „assolo”, czyli taki, w którym kreska ulega zniszczeniu, gubi się... Język komiksu w swojej podstawie jest niezwykle zdyscyplinowany, ponieważ autor musi kontrolować każdy obrazek, musi odnieść się do tego, co jest przedtem i co będzie potem. Plan podróży musi mieć swoją logikę. Trochę jak kino, które też ma bardzo precyzyjny język, kolejne ujęcia muszą być następstwem poprzednich.

Są takie komiksy, w których rysunek jest tylko opisem, a nie ekspresją. Ale jest też cała szkoła komiksu, gdzie kreska służy autorowi po to, żeby wyrażać, a nie opisywać. Ekspresja jest wytwarzana przez kreskę (także przez kolor), kreska wyraża emocje, jak nuty muzyczne. A kiedy wszystko jest pod ścisłą kontrolą, stworzenie rysun-



1 • okładka do płyty „Playtime” René Aubry’ego (2012 r.)

2 • Rysunek z komiksu „Ghirlanda”

3 • kadr z „Fuochi” (Ognie): Marynarze z pancernika „Anzelmo” obserwują tajemniczą wyspę, na której mają zrobić rekonans

4 • Strona z opowieści „Santi lumi” z komiksu „Labirynty”, stworzonego wspólnie z Fabrizio Ostanim

w muzyce jazzowej – czy nabiera życia, zaczyna sama siebie wyrażać. Jestem przekonany, że tylko w chwilach improwizacji, spontaniczności, rysunek staje się prawdziwą emocją.

Znalezienie równowagi między tymi wszystkimi elementami musi być bardzo trudne.

– Tak, to bardzo mozolne i od jakiegoś czasu już tego nie robię (*śmiech*). Uważam, że w komiksie „Fuochi” (Ognie, 1984) udało mi się uchwycić jeden z tych magicznych momentów, chwilę bardzo dziwnej, tajemniczej równowagi, gdzie spójnie połączyły się język, spontaniczność i logika opowieści. Dla mnie „Ognie” są wciąż tajemnicą.

To pański najśłynniejszy komiks. W „Ogniach” żołnierze lądują na wyspie, by „oszacować zagrożenie ze strony populacji tubylczej i możliwość ucywilizowania tych miejsc”. Główny bohater jest na rozdrożu między „oknem z widokiem na błękitne niebo” a tym, co „kryje się za drzwiami do ciemnego korytarza” – ta ciemność go przyciąga. – „Ognie” opowiadają o konflikcie między kontrolą a całkowitym uwolnieniem emocji człowieka. Mowa tu o zniszczeniu własnej struktury kulturowej w celu otwarcia się na niewiadomą, na tajemnice naszych własnych emocji. Ale to jest bardzo niebezpieczne, bo oznacza „przejście na drugą stronę”, jak we wspaniałej powieści „Po tamtej stronie” austriackiego pisarza Alfreda Kubina.

W „Stygmatkach” (1999), które stworzył pan z Claudio Piersantim, pod koniec bohater-narrator, który doświadczył wiele okrucieństw, słyszy pytanie: „Ale czy wszystko jest prawdziwe?”, i odpowiada: „Czy to ważne?”. Możemy pomyśleć, że była to relacja z koszmaru. W wielu pańskich opowieściach jest motyw snu i właściwie nie wiadomo, w jakiej rzeczywistości toczy się akcja. – Sen to terytorium, w którym wszystko wydaje się prawdziwe. Wierzę, że kiedy śnimy, żyjemy. Jest to doświadczenie fizyczne i intelektualne. Kiedy śpimy, zmieniamy się fizycznie. Zakochujemy się we śnie. Zakochujemy się w kimś, kogo nie znamy. Pamiętam, że kiedyś obudziłem się zakochany w kobiecie, o której śniłem. Al-

bo masz koszmary, śnisz, patrzysz, widzisz swoje lęki. Wierzę więc, że sen jest częścią rzeczywistości. Kiedy się budzę, mam za sobą fizyczne doświadczenia, które się dokonały w moim mózgu. Logika snienia jest inna, to jasne. Trochę jak muzyka. A ja mieszałem jedno i drugie, nie rozgraniczałem.

Na początku – w latach 70. – światy były mocno rozdzielone: istniał mój wymagowany świat i świat rzeczywistości. Było wtedy dużo ideologii, zaangażowania społecznego, to była „rzeczywistość” i ludzie zapominali zaglądać pod jej spód. Potem wszystko się wymieszało. Zdaliśmy sobie też sprawę, że rzeczywistość może być również najgorszym koszmarem.

A skąd pomysł na „Ghirlandę”, o której już trochę mówiliśmy.

– Czarno-biała „Ghirlanda” powstała po długim okresie, kiedy tworzyłem znacznie bardziej złożone strukturalnie i narracyjnie historie, w kolorze. Naszła mnie chęć powrotu do pewnego rodzaju naiwności w opowiadaniu. Wielcy autorzy komiksów także opowiadali, improwizując historie dzień po dniu – daily strips. Jednego dnia robili pasek, następnego dnia kolejny i tak dalej. Potem jednak komiks jakby stracił swą dziecięcą naiwność.

Duża część mojej pracy, nazywana kruchą linią (linea fragile), to rysunki improwizowane z dnia na dzień. Także w „Ghirlandzie”.

Ghirowie – proszę o nich powiedzieć.

– Zawsze lubiłem takie dziwne stworzenia, niezwykle zwierzątka, jak np. Muminki, czy „Krazy Kata” George’a Herrimana (Kot Krejzol, 2017). Opowiadanie o Ghiarach, które musiały się mierzyć z różnymi wyzwaniami, o ojcostwie i macierzyństwie, o posiadaniu dziecka, które wychowujesz i które potem odchodzi, sprawiło mi wielką przyjemność.

W „Ghirlandzie” były momenty, w których z Kramskym, czyli moim przyjacielem Fabrizio, improwizowałem. Znajdziesz tam sekwencje, w których – z obrazka na obrazek – bohater zaczyna nagle przechodzić do innego świata. To wszystko sprawiło, że na nowo odkryłem smak używania rysunku jak słów, jak pisma. Smak improwizowania, zatracania się w strumieniu opowieści, podążania za postacią. I trochę odkrywania przyjemności z dzieciństwa, kiedy rysowałem pierwsze komiksy.

„Ghirlanda” jest trochę jak „Odyseja”, z głównym bohaterem, który musi odbyć podróż, by ratować rodzinę i w ogóle świat Ghirow...

– Jasne. To podróż, podczas której bohater wiele doświadcza, nabiera mądrości. Hipolit nic nie wie o tym świecie. Jest bardzo naiwny, bardzo ujmujący. I powoli odkrywa całe terytorium na zewnątrz, odkrywa przemoc, gubi się, także w swojej głowie. Takie rzeczy zdarzają się młodym. Zaczyna poznawać, ale nie rozumie wiele. To wszystko zostało opowiedziane w formie baśni, myślę, że pięknej. To być może mój ostatni komiks.

Mam nadzieję, że nie.

– Nie wiem, ponieważ – jak pan widzi – moje wyobrażenie, czym powinien być komiks, jest bardzo zawile. Nowa opowieść oznacza wielki trud. Czasem przychodzi

mi nowe pomysły i nowe chęci. Potem jednak zniechęca mnie perspektywa wysiłku...

Teraz robię wiele immagini libere – swobodnych obrazów. W czasie epidemii COVID-19 rysowałem ich mnóstwo. Tworzę wariacje różnych tematów czy kadrów, są wariacje w wodzie, w pokojach – to inny pomysł na opowiadanie historii, obrazami. W ten sposób narracje są jeszcze bardziej ulotne. Trochę jak kino eksperymentalne.

Myślę, że przyszłością komiksu jest język, w którym będzie można mieszać wiele różnych kodów graficznych, jak robił to Frank Zappa w swoich strukturach muzycznych, włączając jazz, eksperymenty, rock progresywny. Znam kilku młodych artystów, którzy świetnie posługują się tym nowym językiem komiksu i obrazów, włączając się jednocześnie w psychologię po-

ło dla mnie wielkim wyzwaniem. W tej historii jest wszystko: etyka, mitologia, starożytne bajki, współczesna historia. To wspinała opowieść pełna znaczeń, choć ta wyprawa była bardzo trudna. Sześć lat pracy, dzień w dzień, z często zmienianym scenariuszem. Robienie filmu animowanego nie ma nic wspólnego z komiksem, to zupełnie inny świat.

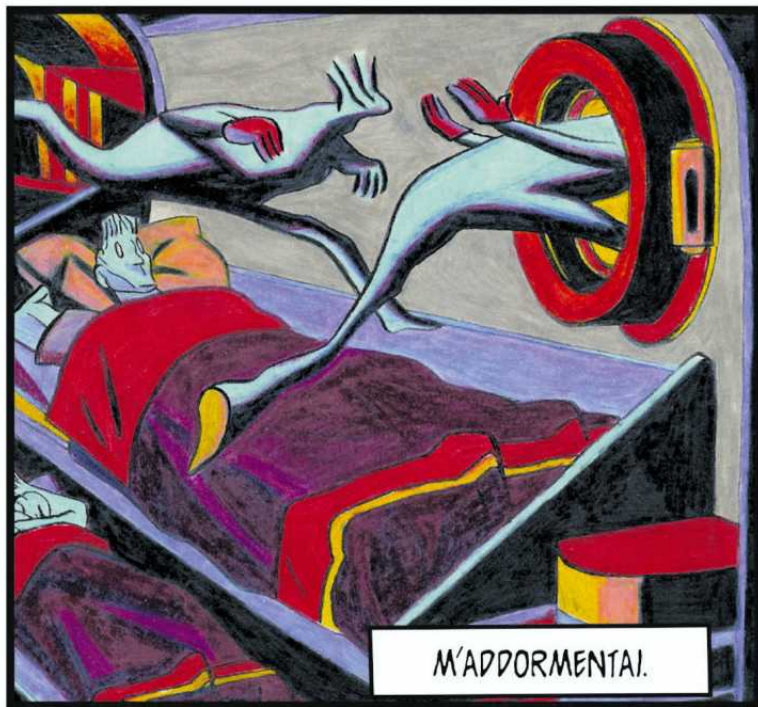
Robi pan też plakaty: na festiwal w Cannes, Biennale w Wenecji, do „Le Monde”, „Vanity”, „New Yorkera”.

– Kiedyś robiłem plakaty Franka Zappy czy Jethro Tull i sprzedawałem na koncertach. Fascynował mnie Milton Glaser, wielki amerykański grafik, ten, który zrobił słynny portret Boba Dylana, podobała mi się czeskosłowacka szkoła plakatu.

większą przyjemność sprawiło mi tworzenie całego krajobrazu za nim. Cały teren wokół to natura, ale złożona: okolica jest pełna zakrętów, wzgórz, kolorów. Możliwość nadania harmonii tym naturalnym różnicom poziomów wydawała mi się interesująca.

To ważne, zważywszy na bolesną historię międzyetnicznych relacji w tym regionie.

– Tworzenie manifestów na temat bardzo abstrakcyjnych i złożonych pojęć jest trudne. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo popadnięcia w retorykę. Można więc stworzyć retoryczny obraz, ale jeśli użyje się go w interesujący graficznie sposób, można zniszczyć tę retorykę. Można podejść do zadania z ironią, z intelligen-



• Kadry z „Ogni”. Porucznik Assenzio, główny bohater, pochyla się nad jednym z marynarzy, który mówi i gestykuluje we śnie

Kiedy śpimy, zmieniamy się fizycznie. Zakochujemy się we śnie. Zakochujemy się w kimś, kogo nie znamy. Pamiętam, że kiedyś obudziłem się zakochany w kobiecie, o której śniłem

staci. To prawdziwi geniusze, zanurzają się bez wahania w różne dziedziny (malarstwo, komiks, film), a ich komiksy osiągają poziom wielkiej literatury.

Tak jak pańskie... Ale zilustrował pan także i wyreżyserował „Słynny najazd niedźwiedzi na Sycylię” (2019), film animowany na podstawie powieści Dino Buzzatiego z 1945 r.

– Czulem, że muszę to zrobić. Ta historia niedźwiedzi wydawała mi się tak ważna i piękna, że aż dziwne, że nikt wcześniej tego nie zrobił. Wiem, że Walt Disney proponował Buzzatiemu przejęcie praw do filmu, ale ten odmówił. Bał się, że Amerykanie wszystko mu pozmieniają. Buzzati znalazł się na rzeczy: sam był nie tylko wybitnym pisarzem, ale i rysownikiem, autorem niezwykłego „Poematu w obrazkach” (Poema a fumetti, 1969).

Spotkałem się z wdową po nim. Dała prawa do sfilmowania „Słynnego najazdu...” – zaufała mi, ponieważ pokazałem jej moje książki, opowiedziałem o atencji dla Buzzatiego...

Wykorzystanie tej wspaniałej historii, żeby zrobić dobry film dla dzieci, by-

Żeby plakat zadziałał, musi przyciągać wzrok, nie może być czarno-biały. Obraz powinien być mocny, ale nie jednoznaczny. Nie jestem grafikiem, ale z jakichś powodów moje plakaty są popularne i cały czas mnie o nie proszą. Ostatnio robię ich tyle, że boję się, iż ta praca może stać się więzieniem, jak każdy język. Może się okazać, że stajemy się „formułą”. „Tak, to jest Mattotti”. „Och nie, to nie jest Mattotti”. Wyobrażenia o artyście wsadzają go w klatkę. Dlatego od czasu do czasu staram się zmieniać styl i rozbijać te klatki.

Ostatnio zrobił pan plakat z okazji wspólnego wyboru dwóch przygranicznych miast, Gorycji we Włoszech i Novej Goricy w Słowenii, na Europejską Stolicę Kultury w 2025 r. Przedstawia parę tańczącą na moście.

– Nie było łatwo, bo co można umieścić na takim plakacie? Trzeba znaleźć silny wzorunek oddający ideę połączenia dwóch kultur, harmonii. Pomyślałem, że taniec może być symbolem harmonii, ponieważ kiedy tańczysz, musisz zwracać uwagę na to, co robi druga osoba, musisz współpracować. No i most – sprawa oczywista. Naj-

cją. Na przykład: otrzymujesz zadanie zilustrowania frazy: „Matka kocha dziecko”. Jak uniknąć banału? Jeśli narysujesz matkę w sposób abstrakcyjny, a dziecko jako potwora, możesz zmienić to zdanie i za pomocą grafiki, znaku, rysunku, pogłębić je, wzbogacić i nadać mu zupełnie inną treść. ●

Lorenzo Mattotti

• Urodził się w 1954 r. w Brescii, od 30 lat mieszka w Paryżu. Jest jednym z najwybitniejszych włoskich rysowników i autorów komiksów. 40 lat temu zastąpił opowieścią graficzną „Fuochi” (Ognie). Należał do grupy artystów, która zrewolucjonizowała język komiksu, odchodząc od historii o superbohaterach i włączając do opowieści graficznej poezję, psychologię, teorię snów. Stale współpracuje z „New Yorkerem”, tworzy plakaty do festiwali filmowych w Cannes i Wenecji.

Rozmawialiśmy podczas Festiwalu Komiksów i Gier w Lukce 1 listopada 2024 r.

„Notesy” Andrzeja Wajdy

AUTOPORTRET Z GNIEWEM W TLE



Zarzucano mu, że jest okrutny wobec ludzi, z którymi pracuje. Ale największym okrutnikiem był dla samego siebie, gdy bezwzględnie analizował słabości swoich dzieł.

Marek Beylin

• Rok 1974,
Andrzej Wajda
(1926-2016)
na planie
filmu „Ziemia
obiecana”

FOT. PAP/CAF/AN-
DRZEJ ZBRANIECKI

Andrzej Wajda to twórca przynajmniej kilku filmowych arcydzieł, o czym absolutna większość filmowców w Polsce i na świecie może jedynie pomarzyć. Wiecznie gniewny wobec świata i siebie. Owładnięty misją społeczną, w swych najlepszych dziełach dający nam filmy konfrontacje, a nie filmy schrony. Nie takie, w których możemy wygodnie chronić się przed rzeczywistością, lecz stawiające nas wobec naszych losów zbiorowych i indywidualnych, etycznych dylematów życia, wobec trudów relacji międzyludzkich i jednostek z normami społecznymi.

Wajda niemieszczący się w żadnych etykietach, którymi go opatrywano. A czyniono z niego buntownika i konformistę, profanatora świętości i artystę konserwatywnego, który podąża za zastanym światem, lewicowca i prawicowca. Żartowano z niego i go hołubiono. Zresztą, nierzadko nawet drwiny miały w tle hold.

Tak było choćby w prześmiewczym przedstawieniu teatralnym Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego „Był sobie Andrzej, Andrzej i Andrzej” (Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu, 2010). Wajda pokazany jako władca polskiej wyobraźni nieprzystającej do współczesnych realiów pozostawał jednak władcą. Wciąż rządził.

Wszystkie te kąśliwości, jak i proste holdy pod adresem Wajdy pokazują przede wszystkim bezradność polskich elit kulturalnych i umysłowych w próbach zrozumienia jego sztuki.

Wajda, który przez dekady wychodził z wojny i kompleksów, że przeżył okupację. I gnębiony świadomością, że robi filmy, bo nie mógł zostać malarzem na miarę Andrzeja Wróblewskiego, przyjaciele i mentora.

Wajda okrutny. Zarzucano mu, że źle traktuje ludzi podczas pracy. A w jego opowieści co rusz natykamy się na sarkastyczne i krytyczne uwagi o osobach z branży filmowej i teatralnej, także tych, z którymi przyszło mu pracować. Tyle że największym okrutnikiem był Wajda dla samego siebie, gdy bezwzględnie analizował słabości swych dzieł.

Wreszcie Wajda pracoholik. Niestrudzenie niemal do końca życia zaangażowany w twórcze poszukiwania, działał też społecznie i w polityce. Stworzył kilkadziesiąt filmów i tyleż przedstawień teatralnych. Ustawicznie czytał, najczęściej kilka prozatorskich książek naraz, szukając tematów do filmów i przedstawień teatralnych. Przez chwilę był nawet dyrektorem Teatru Powszechnego w Warszawie, co później wspominał jak najgorzej.

Zręby takiej opowieści wyczytuję w niedawno opublikowanych „Notesach”, dziele imponującym, liczącym cztery tomy i grubo ponad 2 tys. stron. Wajda przez całe życie zapamiętałe prowadził dziennik; zapisywał, co się wydarzyło jemu i w świecie, z kim rozmawiał, co oglądał i czytał, co zamierza i co sądzi.

Oczywiście, zajmował się głównie własną twórczością, ustawicznie ją analizując; notował, co mu się udało (rzadko) i jakie poniósł porażki (często). Ale wraz z wątkami autotematycznymi otrzymujemy świetną opowieść o polityce i kulturze w PRL-u i III RP, o społecznych mentalnościach i obyczajach. Wchodzimy w rzeczywistość chwytaną na ży-

wo w emocjach i namyśle. Jakbyśmy byli na planie filmowym sagi o losach kilku pokoleń polskiej inteligencji. Co każe również zastanowić się nad tym, czy rzeczywiście, jak przyjęło się sądzić, pojęcie „inteligencji” jest dziś tylko anachronizmem.

Niemal przez całe życie Wajda zmagał się z doświadczeniem niemieckiej okupacji. Właściwie nigdy z wojny zupełnie nie wyszedł. A to, że przeżył, inaczej niż tyle osób również z jego pokolenia, wpędzało go w poczucie winy.

„Swoich pięć pierwszych filmów zrobiłem z kompleksu, że nie byłem, nie brałem udziału, nie widziałem: 1939 roku, powstania, 1945 roku. Miałem szczęście, a to wstyd. Nie zabili, nie okaleczyli mnie, nie byłem w obozie. Mordercze pytanie: »Dlaczego?«” – notował w 1972 r.

I jeszcze zapis też z tego roku:
„Należę do pokolenia, które miało obowiązek osobiście: 1. Brać udział w wojnie; 2. Siedzieć w więzieniu niesprawiedliwie; 3. Trzymać na rękach umierającego przyjaciela.

Kto tego nie przeżył, jest podejrzany. Moje filmy to pokuta, ekspiacja. »Kanał« – za powstanie; »Popiół i diament« – za 1945 rok; »Wszystko na sprzedaż« – za to, że Zbyszek nie umarł na moich rękach”.

Co tu robi Zbigniew Cybulski, wspaniały i bliski Wajdzie aktor? Owszem, kreacja w „Popiele i diamentcie” wyniosła go na szczyty popularności. Wcielił się w tym filmie w postać akowca, który już po końcu wojny, choć pełen rozterek, zbrojnie walczy z komunizmem i ginie. Ale Cybulski zginął w wypadku w latach 60., a „Wszystko na sprzedaż” to żałobny film o nim i bez niego, wybitne studium bólu po bliskim. Wajda pisze jednak o tej śmierci, jakby wojna wciąż trwała, a wojenna żałoba rozciągała się na współczesność. To nie jest postawa wyjątkowa.

Niemal wszyscy, którzy przeżyli okupację, żyli potem w cieniu wojny, choć na ogół o tym nie rozmawiali; wypierali tę pamięć. Ale i tak tamten czas na różny sposób wpływał na ich powojenne wybory. Znamy postacie, dzielne i szlachetne w czasach okupacyjnych, które po wojnie tę swoją dzielność porzuciły, stając się wiecznymi konformistami na usługach władzy. „Trzeba pożyć” – to ich credo.

Znamy też takie, które zwątpiły w sens człowieczeństwa, w dawne wartości, więc rzuciły się w objęcia komunizmu, wielkiej obietnicy nowego świata, co świetnie przedstawił Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle”. Część z nich wydobyła się z tej nowej wiary, wracając do obrony podstawowych ludzkich wartości, do walki o prawa i godność. Jeszcze inni nigdy w owe dawne wartości nie zwątpili i nie dali się zwieść okrutnej etyce komunizmu.

Wajda należał do tych, którzy najpierw, w roztrzaskanym powojennym świecie, pragnęli uwierzyć w obietnicę nowego świata, a potem, gdy przyszło rozczarowanie, starał się pielegnować podstawowe wartości, przekazywać je innym. Tak rozumiał swą społeczną misję – owoc poczucia odpowiedzialności i winy zrodzonych z samego faktu przeżycia okupacji.

Co skłaniało go do tego, by – powiedziałbym – tworzyć w gniewie. Właśnie gniew na rzeczywistość, na los, historię, na nas, społeczeństwo, na szkodliwe idee, intensywnie brzmi w jego najlepszych dziełach. Wyraźnie wydobywa się też z „Notesów”. Gniewny twórca? Tak, wbrew pozorom.

Odpowiedzialność Wajdy rozciągała się na umarłych; chciał im dawać głos, by wspomnieć choćby film „Kanał”. Lecz obejmował nią również żywych czy raczej zbiorowe powojenne życie. W notatce Filipice z 1999 r. pisał:

„Zdrada intelektualistów. Jak wyglądałaby dziś Polska zdradzona po wojnie przez inteligencję? Zachwatawicz nie odbudowuje historycznej Warszawy. Lorentz nie odszukuje zrabowanych rzeczy z Muzeum Narodowego, a Estreicher Ołtarza Wita

Stwosza. Uniwersytety zamknięte. Miłosz nie wydaje, a ja nie kupuję za pierwsze pieniądze »Ocalenia«. Herbert nie pisze, nie drukuje i tak dalej... Nie czekałem też na III wojnę światową...

To nie były nasze pytania. Nie zadawali ich sobie ci, którzy odbudowywali stolicę, bo nikt ich nie pytał, gdy urządzano powstanie. To pomogło komunistom w wyborach, ale one i tak były sfalszowane. Ludzie we Wrocławiu nie żyli na ruinach, a powinni byli, gdyż to Stalin dał nam to miasto, a zabrał Wilno i Lwów. (...) Czy mieliśmy nie tworzyć naszej kinematografii, bo służyła komunie?”.

To była po wojnie postawa rozpowszechniona. Budować życie z gruzów, jakie zostawiła wojna, by stało się lepsze, a przynajmniej znośne, mimo że rządili komuniści. Tak wyrażał się osobny od władzy, autonomiczny patriotyzm powinności. Znam go zresztą z rodzinnych relacji. Moje ciotki, ocalałe z Zagłady, jak najdalsze od komunizmu, uznały tuż po wojnie, że należy wspierać odbudowę zwykłego życia. Odczuwały to jako rodzaj wierności wobec umarłych i żywych. Toteż skłoniły mego ojca, wówczas niemal chłopca, który wojnę zakończył w armii Andersa, a potem rozpoczął nowe całkiem mile życie w Paryżu, by wrócił do Polski i włączył się w odbudowę.

Skąd jednak tak namiętny ton wywodu Wajdy? Ten typ patriotyzmu nigdy nie zdobył publicznego uznania w III RP. Duża część elit posolidarnoscio-

W jego najlepszych dziełach brzmi intensywnie gniew na rzeczywistość, na los, historię, na nas, społeczeństwo, na szkodliwe idee. Gniewny twórca? Tak, wbrew pozorom

wych wynosiła na piedestał zbrojne polskie działania, w tym czynną walkę z komunizmem, a patriotyzm odbudowy życia, choć praktykowała go większość społeczeństwa, funkcjonował na ogół jako rodzaj kolaboracji z reżimem, może potrzebnej, lecz moralnie podejrzanej.

Było coś paradoksalnego w tym, że III RP tworząca pomyślną i bezpieczną zbiorową egzystencję odcinała się mentalnie od rzeszy uczciwych ludzi, która niegdyś starała się robić to samo, tyle że w dużo mniej sprzyjających warunkach. Dało się w tym dostrzec zinfantylizowaną czy wyabsolutnioną wersję romantyzmu, propagującą wieczną pogardę dla zwykłego życia oraz cywilnych potrzeb i osiągnięć. W III RP ta pogarda wobec „cywili” objęła również samą zwykłość demokracji, wraz z jej prawami, procedurami, kompromisami.

Wajda pozostawał zawsze w sporze z tą wersją romantyzmu. A ponieważ miał nosa do nastrojów, zauważył jej narastającą siłę. Co później ujrzeliśmy w państwowym kulcie „żołnierzy wyklętych”. To wzmożenie przejawiało się zresztą nie tylko w PiS-ie czy kręgach nacjonalistycznych. Na tej fali dzień „żołnierzy wyklętych” ustanowił Sejm w 2011 r., co nieźle kontrastuje z tym, że żołnierzy AK uhonorowano ich dniem dopiero niedawno, w styczniu 2025 r.

Oczywiście, Wajda nie był otwartym buntownikiem. Chciał robić filmy, więc lawirował między cenzurą i nadzorem partii a swoimi zamiarami. Opisuje w „Notesach” mękę ustawicznych kontaktów z nadzorcami kinematografii w sprawie filmów własnych, cudzych oraz w ogóle polityki PZPR w tej kwestii. Chodziło o to, by wyrwać jak największą porcję twórczej niezależności, przepchnąć niewygodne dla partii tematy.

Wajda mający w latach 60. i 70. mistrzowską pozycję potrafił grać w tę grę z władzą. Co jednak przysparzało mu, jak też innym uczciwym twórcom, ustawicznych rozterek moralnych. Wciąż pyta siebie, czy nie za dużo ustępstw popełnił, czy nie dał ciała.

Różnie bywało, sądząc z jego zapisków. Bo cienka była granica między kompromisem pozwalającym ocalić jakieś wartości i prawdy a zwykłym konformizmem nastawionym głównie na własną karierę. Jednak ta granica wyznaczała niepisany, lecz ważny podział w środowisku filmowym. Wiadomo było, kto postawił głównie na uległość, a kto się opiera.

Tak zresztą było w ogóle w polskim życiu kulturalnym oraz umysłowym. I wszędzie w Polsce, w prozie, poezji, teatrze, filmie, humanistyce i naukach społecznych, mimo cenzury powstawały dzieła wartościowe. Takie, które dawały wgląd w ponurą rzeczywistość, umacniały krytyczny namysł nad nią, zachęcały do wolnych działań, przypominały o ważnych wartościach zeszmaceranych przez władzę. Innymi słowy, dawały narzędzia, by zachować poczucie moralnej i intelektualnej odrębności wobec reżimu.

Zapominamy bądź, jak w wielu kręgach kombatanckich, wolimy nie pamiętać o tym, że właśnie te dokonania umożliwiły powstanie zorganizowanej opozycji demokratycznej otwarcie negującej system. Bez tego nie powstałby choćby Komitet Obrony Robotników ani tym bardziej „Solidarność” wyrosła nie tylko z gniewu, lecz również ze zbiorowego namysłu nad PRL-em i nad tym, co należy robić. Więcej, bez powstałej w tamtej Polsce kultury i humanistyki wcale nie jest pewne, czy upadek PRL-u wiązałby się z narodzinami demokracji. Groziłby nam raczej chaotyczny autorytaryzm.

A dziełem bezcennym w podtrzymywaniu czy masowym propagowaniu wzorów wolnego myślenia był „Człowiek z marmuru”. To, przypomnę, podwójna opowieść. O Birkucie, robotniku, bohaterze pracy socjalistycznej w czasach stalinowskich, któ-

ry zbrzydzony kłamstwem i terrorem demonstruje swoje obrzydzenie, idzie do więzienia i znika z historii. I o współczesnej dziennikarce, która poszukuje Birkuta, by wbrew władzy zrobić o nim dokument.

Ten film uderzył jak piorun. Ukazywał polski zbiorowy los, w którym wrogiem były kłamstwo, strach, cenzura, przemoc państwa. Czyli system. Cud, że zimą 1977 r. wszedł na ekrany, oczywiście nieco okrojony przez cenzurę, co nie odebrało mu jednak subwersyjnej siły.

Jak notował Wajda, losy filmu ważyły się do ostatniej chwili, bo część kierownictwa PZPR chciała film skonfiskować. Co więc przeważało o niechętnym pozwoleniu? Nie tylko rozgrywki wśród partyjnych frakcji. Jak sądzę, zdecydował kryzysowy klimat w Polsce.

Wcześniej bowiem, w czerwcu 1976 r., doszło do masowych protestów robotniczych wywołanych ostrą podwyżką cen żywności. Władze brutalnie je stłumiły, choć wycofały się z podwyżek; do robotników wprawdzie nie strzelano, lecz stosowano wobec nich fizyczne tortury, tzw. ścieżki zdrowia, i skazywano na wieloletnie więzienie w sfingowanych procesach. W odpowiedzi powstała zorganizowana opozycja polityczna, głównie KOR niosący pomoc prześladowanym robotnikom i ich rodzinom.

Tak dobiegła końca epoka gierkowska chlubiąca się spokojem społecznym i jak na PRL w miarę przyzwoitym poziomem konsumpcji. Toteż partia znalazła się w kryzysie i szukała sposobów, by odnowić pokój społeczny z robotnikami i wpływowymi kręgami inteligenckich elit. Dlatego część partyjnego kierownictwa uznała, że film o uczciwym robotniku może w tym pomóc.

Tyle że „Człowieka z marmuru” pokazywano tak, by trudno go było zobaczyć. Ograniczona dystrybucja, często brak informacji o seansach, zakaz pozytywnych recenzji sprawiły, że film niezależnie od swych walorów zyskał od początku status legendy i symbolu. Jak notował Wajda, „komitet [kolejowy, podstawowa forma samoorganizacji] pod kinem wymusił dodatkowe seanse... We Wrocławiu po skończonym seansie widownia wstała i zaczęła śpiewać »Jeszcze Polska...«”. Tak działo się w całym kraju. Mimo tych przeszkód film, jak szacuje Wikipedia, obejrzało wtedy ok. 2,5 mln osób.

Myślę, że to dzieło przyczyniło się do powstania „Solidarności”. Na masową skalę demaskowało bowiem system jako opresyjnego kłamcę i niosło przesłanie godnościowe oraz obywatelskie: możesz się

 | **magazyn wyborczej**

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielniński;

MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wleczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFIK: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biurowie reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



sprzeciwić. A właśnie poczucie godności obywatelskiej i sprzeciw wobec kłamstwa budowały „Solidarność”.

Wajda był dumny z tego filmu. Nie tylko stworzył arcydzieło, co przyznają wraz z licznymi bardziej fachowymi osobami, lecz w dodatku znacząco wpłynął na społeczną świadomość.

Inaczej rzecz się miała z „Człowiekiem z żelaza”, filmową kontynuacją powstałą w czasie „S”. Wajda nie był zadowolony. Notował podczas realizacji filmu: „Nikt [w ekipie] nie wierzy w powodzenie”; „Moje obawy, że 1) film będzie szlachetny, ale nudny, 2) zbyt długi i mało intensywny jako kino, 3) idee wyłożone słowami, a nie w obrazie – żadnych pomysłów”. A gdy już produkcję skończył, zapisał gorzko: „Rzecz jest najsłabsza ze wszystkich moich filmów zrobionych ostatnio”.

Jego opinii nie zmieniło nawet to, że na festiwalu w Cannes „Człowiek z żelaza” otrzymał Złotą Palmę. Przychylniej spojrzal na ten film dopiero ponad 20 lat później. Obejrzał go przypadkiem i zapisał: „Wielkie zdumienie: myślałem, że jest to bądź jak zlepiiony film okolicznościowy. Nie, rzecz jest ułożona z sensem, nakręcona żywą kamerą, zmontowana jak kino amerykańskie”.

Niech każdy rozstrzygnie, jak jest. Mnie akurat bliżej do pierwszych ocen Wajdy. Ale nie zawsze podzielał jego nadkrytyczne sądy o własnej twórczości.

„Kanał” (premiera w 1957 r.) opowiadał o powstaniach warszawskich, którzy bezskutecznie usiłują właśnie kanałami wymknąć się Niemcom. W Polsce uznano go za dzieło założycielskie polskiej szkoły filmowej. Na festiwalu w Cannes zdobył ważną nagrodę. A Wajda notował zaraz po premierze: „1) Ekspozycja nudna (...) 2) Akcja niejasna: nie widać, że muszą zejść do kanału...”. I dodał kilka lat później: to film „najbardziej zmarnowanych możliwości. Dlatego nie bardzo go lubię. (...) Ani jednego dobrego dialogu, ani jednej prawdziwej rozmowy”. Owszem, doceniał to, że „Kanał” oddaje psychologiczną prawdę upadku, ale, jak sądził, zawiódł jako artysta.

A „Panny z Wilka” (premiera w 1979 r), niewątpliwe arcydzieło, od którego nie mogłem się oderwać? Film nominowany do Oscara opowiadający o grupie kobiet żyjących w majątku Wilko i ich spotkaniu po latach z bliskim im niegdyś mężczyzną.

„Główna i podstawowa przyczyna niepowodzeń tego filmu leży w sposobie realizacji, a konkretnie w tempie pracy – nerwowym, pospiesznym i przez to bądź jakim” – ganił siebie Wajda tuż po zakończeniu produkcji. Nie był też zadowolony z męskiej roli Daniela Olbrychskiego.

Ja jednak pamiętam przejmujący obraz relacji międzyludzkich czy raczej pustki między postaciami, ich osobności i samotności. W dodatku, jak dziś widzę, Wajda przekroczył w tym filmie horyzont swego czasu, czego oczywiście nie mógł dostrzec. Wnikliwie i empatycznie ukazał bolesną egzystencję starzejących się kobiet. Starzejących się według dawnych kryteriów epoki, dziś bohaterki filmu byłyby w wieku średnim. Tyle że wtedy, lecz w niemałej mierze również współcześnie, starzenie się kobiety było równoznaczne z zanikiem jej atrakcyjności, o czym przesądzały normy społeczne. Właśnie ten świat kobiet Wajda przedstawił rewelacyjnie.

Jednak zarzucano mu mizoginię. Głównym powodem był film „Polowanie na muchy” (premiera w 1969 r), opowieść o silnej, manipulacyjnej kobiecie, która doprowadza do upadku słabego mężczyznę. Wajda zrobił ten film, jak sam sugeruje, by odreagować nieudane małżeństwo z Beatą Tyszkiewicz, co rzeczywiście nie jest najlepszą twórczą motywacją.

Nie lubił „Polowania...”. Nawet kilka dekad później zauważał: „jakiś głupkowaty dziwoląg bez sensu; poza Braunek [Małgorzata Braunek grała główną rolę], która próbuje stworzyć coś oryginalnego, reszta żenująca”.

W dużej mierze zgoda, ale da się na ten film spojrzeć inaczej – jako na opowieść o kryzysie męskości w komunistycznej dyktaturze. O tym, jak reżim wyzuwa mężczyzn z poczucia siły i sprawczości, zakorzenionego w mentalnościach fundamentu tradycyjnej „męskości tożsamości”.

Dodam tylko, że w Polsce dopiero kilkadziesiąt lat później poddaliśmy problem kryzysu męskości licznym analizom społecznym, politycznym i historycznym. Choć, rzecz jasna, w naszych współczesnych rozważaniach ów kryzys nie wiąże się z reżimem komunistycznym. Co, jak sądzę, jest niedoróbką wyobraźni, bo społeczne mentalności ewoluują wolno,

podlegają dłuższemu trwaniu niż jedno czy dwa pokolenia. Na pewno więc mocne ślady tamtego kryzysu męskości odciskają się na czasach współczesnych.

A co do mizoginii i patriarchalnej postawy? Takie były wówczas rzadko uświadamiane normy. I jak się zdaje, Wajda się z nich wylamywał.

Redaktorzy „Notesów” przywołują wypowiedź już z XXI wieku Anny Prucnal, znanej aktorki i pieśniarki, która wyemigrowała do Francji po Marcu ’68 i tam zrobiła karierę filmową oraz teatralną. „Samcze instynkty, ukryte w polskich intelektualistach, czynią z nich despotów i seksistów. Są z tego dumni. Zawsze lojalni wobec mężczyzn, zawsze ironiczni wobec kobiet. Kategoryczni i nieprzekonywalni w opiniach. Bez cienia litości. Jedynie Andrzej Wajda był wyjątkiem od tej reguły. Kobiętę, z którą się pokazywał, obdarzał czułością, uwagą, nadawał jej wartość”.

Przebijają zresztą z „Notesów” postacie świątłych, rozumnych kobiet. Nie tylko Krystyna Zachwatowicz, żona, scenografka, współpracowniczka oraz mądra doradczyni artystyczna i polityczna. Także Hanna Krall czy Maria Janion.

Właśnie czytając Janion w 2009 r., zdał sobie sprawę z ważnego kłopotu z „Ziemią obiecaną”. Chodziło o postać graną (znakomicie zresztą) przez Kasię Jędrusiak – Żydówki, wulgarnej erotomanki. „Robiliśmy to bez złej intencji, nie dzieląc postaci na złych Żydów i dobrych Polaków czy Niemców, bo wszyscy wkręceni w maszynę do robienia pieniędzy są tacy sami. Ale jednak polska blondyna gra na fortepianie i ze łzami w oczach czeka na Karola, a żydowska bruneta szlaja się z nim po pociągach do Berlina, pijana i odpychająca”.

Wajda konstatuje więc, że owa postać Żydówki wpisała się bezwiednie w kanon antysemickiej propagandy. Dlatego po latach przemontował „Ziemię obiecaną”, usuwając scenę w pociągu. W czasach bliskich współczesności nie ominął Wajdy związany z tym filmem zarzut antysemityzmu. Absurdalny, bo ahistoryczny.

W latach 70. nikt nie zdawał sobie sprawy z takich niebezpiecznych przecieży zbieżności. Owszem, w partii i poza nią istnieli jawni antysemici, rozpanoszeni zwłaszcza po Marcu ’68 i łatwi do zidentyfikowania. Ale nawet w najświatlejszych kręgach intelektualnych, także wśród osób pochodzenia żydowskiego, nie analizowano dogłębnie stosunków polsko-żydowskich. Nie zapuszczano się w mroczne meandry historii antysemickich kalek. Polska wyobraźnia rozbudziła się w tej sprawie dopiero w XXI wieku.

Zresztą, Wajda od początku niezbyt cenił „Ziemię obiecaną”, tuż po premierze w 1975 r. notował: „Jednak nie. Dlaczego to takie impresyjne, rozlazłe, polskie, o wodnistych konturach, pretensjonalne w sumie”. Ja jednak widziałem w tym znakomitym filmie, niemal arcydziele, wspaniały obraz żarłocznego kapitalizmu i nie mniej żarłocznej natury ludzkiej. Tyle że Wajda oceniał swe filmy według kryteriów idealnego arcydzieła, czyli sztuki, jaka zapewne nigdy nie powstanie.

To zmienia się w latach 90. Wajda ma poczucie, że traci kontakt z widownią, zwłaszcza młodszą. Przeżywa niepowodzenia swych filmów i obniża samokrytyczną poprzeczkę. Owszem, widzi słabości swych dokonań, ale zadowala się przekonaniem, że jednak spadł na cztery łapy. Miota się w poszukiwaniu dobrej i już napisanej opowieści o współczesnych czasach; sam swych scenariuszy nie tworzył, znajdował je lub inicjował, a potem nad nimi pracował. Myśli o ekranizacji „Przedwiośnia” Żeromskiego, wielokrotnie konsultując się w tej sprawie z Adamem Michnikiem, z którym zaprzyjaźnił się pod koniec lat 80. Chodzi mu po głowie, by ponownie nakręcić „Wesele” Wyspiańskiego i pokazać, jak świeża demokracja wraz z jej inteligentnymi elitami marnuje różne szanse. Rozważa film o Jacku Kuroniu, do czego namawia go Michnik. Ma w dodatku w garści scenariusz napisany przez Kuronia. Jednak nie... Skąd ta blokada? Z ubytku sił twórczych? Nie tylko.

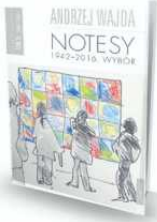
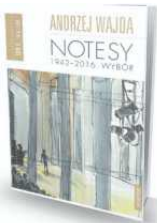
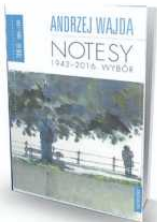
Myślę, że wpływ na tę wewnętrzną blokadę miała również postawa obywatelska, przykaz społecznej misji. Czuł się bowiem przede wszystkim lojalny wobec nowo powstałej III RP, choć patrzył na nią krytycznie. Niepokoili go zwłaszcza szybko rosnące nierówności, biednienie sporej części społeczeństwa oraz marna polityka kulturalna. Tyle że widząc słabości systemu, niepewną egzystencję demokracji, nie chciał jej dodatkowo osłabiać filmowymi reprimendami, bo, jak wiedział, byłyby one wpływowe.

Stał więc wobec rzeczywistości nieco jak Gajowiec z „Przedwiośnia”, który tłumaczył młodemu,



***Ewa Lipska** - ur. w 1945 r. w Krakowie, poetka. Wydała m.in.: „Przechowalnia ciemności” (1985), „Strefa ograniczonego postoju” (1990), „Ludzie dla początkujących” (1997), „1999” (1999), „Ja” (2003), „Pogłos” (2010), „Pamięć operacyjna” (2017) i „Wariacje Geldbergowskie” (2023). Tutaj wiersz z tomu „Stypendyści czasu”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994.

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Andrzej Wajda, „Notesy. 1942-2016. Wybór”, tomy I-IV, przepisali, opracowali, przypisami i indeksem opatrzyli Tadeusz Lubelski, Agnieszka Morstin, Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, Universitas 2024.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ewa Lipska*

Luksus

Bez tchu powróciłam do poezji.

Czterolistna koniczynka

rozrosła się w kwadraturę koła.

To luksus

osiągać nowe rekordy słów

kiedy wokół już tylko

czarne ultimatum.

zbuntowanemu Baryce: żeby marzyć o „szklanych domach”, trzeba najpierw zbudować zręby demokratycznego państwa. Co, dodam, w pierwszych latach III RP było postawą rozpowszechnioną wśród demokratycznych kręgów inteligencji. Widzieliśmy bowiem, jak kruchej demokracji realnie zagrażały narodowa prawica wraz z Kościołem.

Ten inteligentko-obywatelski etos kazał Wajdzie wdać się bezpośrednio w politykę. Najpierw w latach 80. w Komitecie Obywatelskim przy Wałęsie, potem jako senator po wyborach w 1989 r. Żle się czuł w tej senatorskiej roli, choć rozumiał, że jest na nią skazany, bo jako uznany klasyk winien przykładać się do legitymizowania III RP.

Jednak, jak wynika z „Notesów”, niezbyt pojmował meandry bieżącej polityki, a częstą radą służył mu Michnik; Wajda traktował go jako swego politycznego belfra. Z ulgą zakończył swą obecność w Senacie, co nie znaczy, że zaprzestał obywatelskiej aktywności. To on i Zachwatowicz wszczęli zbiorowy protest, gdy po katastrofie smoleńskiej Jarosław Kaczyński i Kościół postanowili pochować Lecha Kaczyńskiego na Wawelu, w krypcie Piłsudskiego.

Wajda i Zachwatowicz widzieli w tym akcie nie tylko zamach na przyzwoitość i manipulację narodową pamięcią, lecz także początek niebezpiecznego kultu. Jak proroczo notował Wajda, „Jarosław narzeczcie osiągnął wszystko, gdyż temat katyński [katastrofy] jest nie do pogrzebania i będzie do końca jego życia służył mu do podziału Polaków”.

Wajda, gdy wątpił w swoją twórczość, często przywoływał w „Notesach” Andrzeja Wróblewskiego i jego malarstwo. Razem studiowali tuż po wojnie na ASP w Krakowie i zaprzyjaźnili się. Ale talent Wróblewskiego eksplodował szybko, jeszcze podczas studiów. Stał się przywódcą i mentorem studenckiej grupy, w tym Wajdy. Rzeczywiście, to malarstwo wielkie i dziś też wstrząsające. Jego „Rozstrzelania” pokazują świat pokawalkowany, niemożliwy do złożenia, pełen trupów i brzydoty, wyzuty z wartości, życia i człowieczeństwa.

Wajda wiedział, że w malarstwie nie dostaje talentem do Wróblewskiego, dlatego poszedł na studia filmowe. I często sądził, że sztukę filmową uprawia zamiast tamtej. Że prawdziwa wielkość została przytwórcy „Rozstrzelań”. „Zrezygnowałem z prawdziwych ambicji” – pisał w 1972 r.; „nie zakochałem się w kinie” – zanotował w 1989.

Wróblewski zginął przedwcześnie w 1957 r., mając zaledwie 29 lat. Toteż przywołując go w „Notesach”, Wajda rozmawia ze zmarłym przyjacięlem mentorem. Ten jednostronny, fikcyjny dialog dwóch wielkich twórców, wątplącego z umarłym, tworzy poruszający wątek tych zapisów. Przywołuje wierność jako fundamentalną cechę życia. Wierność swoim ideałom oraz przyjaciółom, którzy czynią nas lepszymi. Wierność samemu sobie w tej mierze, w jakiej ważne jest, by pamiętać swoje życie i wiedzieć, po co się żyje. Bez tego świat jest marniejszy. ●



• Fotoreporterzy i operatorzy kamer na dachu jednego z budynków we wiosce olimpijskiej w pobliżu bloku przy domu przy Connollystr. 31, w którym palestyńscy terroryści uwięzili członków reprezentacji Izraela FOT. KEYSTONE/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

TRAGEDIA NA ŻYWO I W KOLORZE

Atak palestyńskich terrorystów z organizacji Czarny Wrzesień na wioskę olimpijską w Monachium w 1972 roku zakończony śmiercią 11 członków reprezentacji Izraela i niemieckiego policjanta był pierwszym zamachem transmitowanym na cały świat.

Joanna Banaś

Podczas igrzysk w Monachium Niemcy chcieli pokazać, że 27 lat po wojnie pozbyli się już brunatnego ducha. Miało być swobodnie, kolorowo i wesoło. Ochrona dyskretna i nienatrętna. Nieuzbrojeni policjanci w błękitnych strojach przypominali kaowców na statkach wycieczkowych.

Sztab organizacyjny spodziewał się korków, najazdu kieszonkowców i prostytutek oraz nagich hipisów w parkach. Ale nie zamachu. Trudno to zrozumieć, skoro na początku lat 70. Palestyńczycy atakowali obywateli Izraela w różnych krajach. Do zamachu doszło nawet w Monachium, gdzie 10 lutego 1970 ro-

ku na lotnisku zginął pasażer, który bohatercko rzucił się na granat wrzucony do autobusu pełnego pasażerów. Rannych zostało 11 osób. Zachodnie Niemcy terroryzowała też Frakcja Czerwonej Armii, której przywódców – Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof – aresztowano ledwie miesiąc przed igrzyskami.

Organizatorzy nie słuchali jednak ostrzeżeń agentów pracujących za granicą i służb zaprzyjaźnionych krajów. Zlekceważyli informacje dortmundzkiej policji o współpracy neonazisty Willego Pohla z Palestyńczykiem Abu Daoudem, jak się potem okaże, organizatorem zamachu. Dopiero 40 lat później wyjdzie na jaw, że to właśnie niemieccy prawicowi ekstremiści pomogli zorganizować atak.

Podczas inauguracji igrzysk 26 sierpnia wypuszczono 5 tys. gołębi pokoju, a „The New York Times” pisał: „Te dwa tygodnie mogą zmaść wspomnienie o igrzyskach w Berlinie z 1936 roku, z których propagandziści Hitlera uczynili karnawał nazizmu”.

Cały świat podziwiał nowoczesny stadion lekki jak namiot, ale i lokalną publiczność dopingującą sportowców z NRD, choć stosunki między państwami niemieckimi nie były przyjacielskie. Zmagania 7132 zawodników ze 121 państw transmitowano pierwszy raz w kolorze na cały świat, od rana do wieczora, na żywo. Do Monachium zjechało 4 tys. dziennikarzy.

Reprezentacja Izraela debiutowała na igrzyskach. Większość ekipy mieszkała w trzech mieszkaniach przy Connollystraße 31 – tylko dwie zawodniczki zostały zakwaterowane w innej części wioski olimpijskiej, a żeglarze – aż w Kilonii.

5 WRZEŚNIA

• **Świt.** Gdy lokatorzy mieszkań pod nr 1, 2 i 3 śpią po miłym wieczorze, który spędzili w teatrze na „Skrzypku na dachu”, pod ogrodzenie wioski trzema taksówkami podjeżdża kilku mężczyzn. Są w dresach, mają sportowe torby. Przechodzą przez dwumetrowy płot. Widzą ich pracownicy poczty, ale się

➤ **18.50** Sztab dzwoni do Lufthansy po samolot, ale linie nie mają w okolicy maszyny zdolnej dolecieć do Kairu. Odpowiednie boeingi wylądują dopiero o 20.40 i 20.45, a przecież muszą je najpierw opuścić pasażerowie.

Do Monachium przylatują szef Mosadu (izraelski wywiad) Cwi Zamir i szef Szin Bet (kontrwywiad) Victor Cohen. Widzą, że grupa przygotowująca się do szturmu na lotnisko to żadni fachowcy.

20.00 Przemówienie kanclerza RFN Willy'ego Brandta w telewizji ARD: „Pogodne igrzyska się skończyły” – mówi kanclerz. „Heitere Spiele” było sloganem igrzysk.

20.08 Tröger informuje Issę, że nie da się załatwić samolotu przed 21. Terrorysta przyjmuje to bez emocji, jakby zrezygnowany.

20.40 Premier Egiptu Aziz Sidqi informuje Brandta, że jego kraj nie przyjmie samolotu, bo nie chce mieszać się w sprawę ani mieć do czynienia z „tymi ludźmi”.

21.10 Genscher ponownie zgłasza się na zakładnika zamiast Izraelczyków. „Nie ma takiej potrzeby” – powtarza Issa.

21.35 Szef terrorystów chce osobiście sprawdzić trasę przemarszu na lądowisko. W sztabie konsternacja, bo nikt nie przewidywał takiego żądania. Tymczasem gotowi do strzału policjanci ukryli się w parkingu podziemnym. Nie mają dobrej widoczności ani łączności z dowódcą.

Gdy Tröger i Schreiber idą z Issą przez parking, obawiają się, że policjanci otworzą do nich ogień. Schreiberowi puszczają nerwy: „Próbne przejście!” – krzyczy. Issa natychmiast orientuje się, że to zasadzka. Plan odbicia zakładników w drodze na lądowisko został właśnie zniweczony. Issa żąda autobusu.

21.45 Na lotnisku Fürstenfeldbruck boeing 727 Lufthansy stoi przed wieżą kontrolną, ok. 100 m od planowanego miejsca lądowania śmigłowców z zakładnikami. Nikt nie uprzedził pilotów, że powinni byli zrzucić paliwo. Zostało go w zbiornikach 8,5 tony i nie ma jak ich tu opróżnić – to skrajnie niebezpieczne, bo maszyna znajdzie się w centrum strzelaniny.

Na 45 minut przed przybyciem terrorystów policja nie ma na lotnisku żadnego pojazdu opancerzonego. Wysłane tam wcześniej wozy omyłkowo odprawiono. Nikt nie wie, jak do tego doszło.

21.53 Policjantka Graes po 12 godzinach służby wycofuje się z akcji. Z Issą rozmawia teraz mężczyzna, który mówi mu coś podniesionym głosem. Terrorysta wyraźnie się denerwuje, idzie obejrzeć podstawiony autobus. Ma tylko 16 miejsc, więc Issa żąda większego, i to w ciągu pięciu minut. Przesłanie zbyt małego pojazdu to podstęp sztabu, by zyskać dodatkowy czas na przygotowanie akcji na lotnisku.

22.02 Gdy pod bramę budynku podjeżdża większy autobus, po schodach schodzą zakładnicy. Są powiązani po trzech.

Eskortują ich z przodu i z tyłu terroryści, a jeden z nich idzie za wszystkimi. Dopiero teraz policja zauważa, że jest ich nie pięciu, ale ośmiu. Nikt jednak nie powiadamia o tym sztabu.

22.06 Autobus rusza na pobliskie lądowisko, gdzie czekają dwa śmigłowce. W każdym po dwóch pilotów ochotników – Issa obiecał, że po wylądowaniu będą mogli odejść. Razem ze swym zastępcą Tonym sprawdzają maszyny, obsługę i wprowadzają zakładników. I znów nikt nie dzwoni do sztabu z informacją o liczbie terrorystów.

Śmigłowce wzbijają się w powietrze. Piloci mają lecieć jak najdłuższą trasą, po wielkich lukach, żeby przed wejściem na lotnisko dotarli śmigłowiec z członkami sztabu: Genscherem, Schreiberem, a także Izraelczykami Zamirem i Cohenem oraz pplk. Ulrichem Wegenerem. Genscher zabiera na pokład także premiera Bawarii Franza-Josefa Straussa.

22.20 W samolocie czeka 12 policjantów w mundurach Lufthansy. Mają wkroczyć do akcji, gdyby Palestyńczyków wcześniej nie wyeliminowali snajperzy. Tyle że od razu widać, że to nie personel pokładowy, ale przebierańcy, bo nie dostali kompletnych mundurów. Czapki i marynarki służbowe dziwnie wyglądają w połączeniu z cywilnymi spodniami. Kiedy policjanci dowiadują się, że zbiorniki samolotu są pełne w jednej trzeciej, a terroryści mają granaty i broń szturmową, głosują nad wycofaniem się z akcji. Tylko dwóch lub trzech jest za pozostaniem, więc opuszczają samolot. Nie zostają za to ukarani.

22.34 Lądują śmigłowce. Ale stają w niewłaściwą stronę, wskutek czego jeden ze snajperów znajduje się na linii strzału kolegów. Jest więc praktycznie wyłączony z akcji. Na ośmiu terrorystów (na lotnisku nadal myślą, że jest ich pięciu) przypadnie więc tylko czterech strzelców, choć proporcje powinny być odwrotne. W dodatku nie mają między sobą

• **Spalone helikoptery, w których zginęli Izraelczycy na lotnisku Fürstenfeldbruck 25 km od Monachium**

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS



łączności. Wiedzą tylko, że mają otworzyć ogień na rozkaz Schreibera lub Alfreda Baumanna, innego policjanta ze sztabu.

Gdy drzwi śmigłowców się otwierają, zakładników nie jest już 9, ale 13. Issa łamie bowiem umowę i nie zwalnia pilotów.

Dopiero teraz do sztabu i uczestników akcji dociera, że terrorystów jest ośmiu. Po dwóch staje przy każdym z helikopterów, dwaj w pewnej odległości od siebie idą sprawdzić samolot, dwaj pilnują zakładników w śmigłowcach.

22.36 Issa i Tony wchodzą do samolotu, jest pusty, choć silniki pracują. Wracają do helikopterów. Gdy są w połowie drogi, wicekomendant policji Wolf każe snajperom strzelać.

22.38 Pada dwóch terrorystów spod helikoptera. Ale snajper, który miał zdjąć Issę i Tony'ego, w chwili komendy akurat zmienia pozycję. Trafia Tony'ego tylko w udo, a Izza zostaje draśnięty w głowę. Obaj ranni strzelają w stronę wieży. Jedna z kul trafia w czoło policjanta Antona Fliegenbauera.

22.39 Snajperzy zabijają dowódcę terrorystów i jego zastępcę, ale pozostali strzelają do zakładników. W jednym śmigłowcu giną wszyscy, w drugim jeden spośród czterech jest tylko ranny. Piloci wykorzystują zamieszanie, trzech ucieka, jeden rzuca się na płytę obok snajpera. Trwa strzelanina. Dwie minuty po rozpoczęciu akcji żyje wciąż czterech terrorystów.

23.00 Na lotnisko nadal nie dotarły pojazdy opancerzone. Utknęły w korku – na lotnisko jadą dziennikarze i tłumy gapiów.

Wolf liczy, że terroryści się poddadzą. Woła przez megafon: „Rzućcie broń! To nie ma sensu”. Cohen powtarza to po angielsku i arabsku. Bez odpowiedzi.

23.13 Baumann widzi z wieży, jak rzekomo martwy terrorysta leżący przy helikopterze podnosi się, trzymając coś w dłoni. Granat rozrywa go na części.

23.34 Przybywa wsparcie: 24 uzbrojonych funkcjonariuszy. Nie znają rozmieszczenia snajperów. Gdy ten, który znalazł się na linii strzału kolegów, musi zastrzelić terrorystę, który prawie na niego wpadł, zdradza swoją pozycję. Policjanci, sądząc, że jest terrorystą, ciężko ranią jego i pilota, który ukrywał się obok.

Bayerischer Rundfunk apeluje do słuchaczy, by nie zbliżali się do lotniska. Oczywiście skutek jest odwrotny, tłum kłębi się przy ogrodzeniu.

23.30 Reuters podaje, że wszyscy zakładnicy zostali uratowani.

23.50 ZDF informuje, że trzech terrorystów zabito, jeden popełnił samobójstwo, a jeden uciekł, a zakładnicy ocaleli. Niektóre gazety zdążyły dać na jedynki wydania z 6 września tę radosną wieść.

23.55 Pojazdy pancerne w końcu docierają i podjeżdżają pod wieżę. Wolf wsiada do jednego i jedzie w stronę śmigłowców. Jego pojazd jest ostrzeliwany, silnik dymi.

Nagle terrorysta leżący jak nieżywy przy drugim helikopterze wrzuca do niego odbezpieczony granat. Maszyna staje w ogniu. Ranny ciężarowiec David Mark Berger, zanim udusi się dymem, przeraźliwie krzyczy. Klaus Bechler, jeden z pilotów śmigłowców, który leżał obok, udając martwego, nie zapomni tego krzyku do śmierci.

Rzecznik rządu Conrad Ahlers mówi w ZDF: „Można chyba stwierdzić, że operacja przebiegła szczęśliwie i skutecznie”. Chwilę później Jim McKey

z ABC informuje jednak o eksplozji jednego ze śmigłowców.

6 WRZEŚNIA

• **00.36** Bawarski minister Bruno Merk powiadamia kanclerza Brandta, że prawdopodobnie zginęła część zakładników.

• **1.20** Dowództwo akcji informuje bawarskie MSW, że nieznana jest liczba zabitych. Wkrótce jednak zamawia transport 12-14 zwłok.

• **2.00** Sztab w MSW dostaje informację: wszyscy zakładnicy nie żyją, pięciu terrorystów też, trzech zostało schwytanych.

• **3.15** Minister Merk informuje o tym dziennikarzy.

W ABC Jim McKey wygłasza komentarz, który wszedł do historii telewizji: „Gdy byłem dzieckiem, ojciec powtarzał mi, że nasze największe nadzieje i najgorsze obawy rzadko się spełniają. Dzisiejszej nocy nasze najgorsze obawy stały się rzeczywistością. Było 11 zakładników. Dwóch zamordowano w ich pokojach. Dziewięciu na lotnisku. Wszyscy nie żyją”.

Izraelska opinia publiczna jest zgodna: Żydzi znów zostali zamordowani na niemieckiej ziemi.

PO TRAGEDII

Wczesnym rankiem 6 września Genscher podał się do dymisji, ale Brandt jej nie przyjął. Merk również złożył rezygnację, lecz premier Bawarii też ją odrzucił.

O godz. 10 w uroczystości żałobnej na stadionie uczestniczyło 80 tys. ludzi. Flagi opuszczono do połowy masztu, trybunę honorową przystrojono w barwy Izraela, orkiestra zagrała marsz żałobny z „Eroiki” Beethovena. Mowę prezydenta RFN Gustava Heinemannna dziesięciokrotnie przerywano oklaskami, szczególnie gorącymi, gdy mówił o winie krajów, które nie zapobiegły tragedii – wszyscy wiedzieli, że chodzi o państwa arabskie. Słowa Avery'ego Brundage'a: „The Games must go on” zostały przyjęte entuzjastycznie.

Kuzynka jednego z zabitych sportowców dostała zawału i zmarła na stadionie.

O godz. 14 wznowiono rywalizację sportową, ale już bez Izraelczyków. Wieczorem dziesięć ciał poleciało do Izraela. David Mark Berger został pochowany w USA.

Już w nocy z 6 na 7 września izraelskie oddziały wkroczyły do Libanu i zaczęły bombardowanie obozów Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny.

26 września Hans-Dietrich Genscher powołał jednostkę antyterrorystyczną Grenzschutzgruppe 9 (później GSG 9). Jej szefem został Ulrich Wagoner, który pięć lat później przeprowadził na lotnisku w Mogadiszu brawurową akcję odbicia samolotu Lufthansy porwanego przez palestyńskich terrorystów. Jednostka uratowała wszystkich 86 zakładników i zabiła trzech z czworga porwaczy.

Trzech terrorystów zatrzymanych na lotnisku nie posiedziało długo w niemieckiej celi. Już 29 października terroryści z Czarnego Września porwali boeinga Lufthansy, by wymusić ich wypuszczenie. Rząd RFN szybko się zgodził. Wszyscy trzej odlecieli porwanym samolotem do Trypolisu, gdzie uwolniono zakładników. Terrorystom azylu udzielił dyktator Libii Muammar al-Kaddafi.

Palestyńczycy nie wiedzieli jeszcze, że na początku października premier Izraela Golda Meir zgodziła się na operację „Gniew Boży”, której celem była eliminacja liderów i członków Czarnego Września. ●

• Korzystałam m.in. z książki Svena Feliksa Kellerhoffa „Anschlag auf Olympia. Was 1972 in München wirklich geschah” oraz artykułu „They're all gone – Das Olympia-attentat 1972” Romana Deiningera i Uwe Rotzer (www.blz.bayern.de)

• **Niemiecki dramat „September 5”** z 2024 roku w reżyserii Tima Fehlbauma już do obejrzenia w kinach. W obsadzie m.in. Peter Saasgard, John Magaro, Ben Chaplin i Leonie Benesch

Historia krzepi

Jak prawica zdradziła Ukrainę

W 1921 roku za sprawą endeków Polska razem z Rosją dokonała rozbioru ziem ukraińskich.

Natęcz



Obecna walka Ukraińców przypomina wydarzenia sprzed 100 lat, kiedy po raz pierwszy starli się oni z Rosją w wojnie o własne państwo. Wykorzystali ten sam moment dziejowy co Polacy, czyli zrujnowanie mocarstwowej pozycji Rosji ciosami zadanyymi przez Niemcy w I wojnie światowej. Kryzys imperium pogłębiła rewolta bolszewików i wojna domowa między „czerwoną” i „białą” Rosją.

Kijów był w znacznie gorszej sytuacji niż Warszawa. Z odbudową Polski godziła się „czerwona” i „biała” Rosja, zadowolając się planami włączenia jej w swoją strefę wpływów.

Natomiast o niepodległej Ukrainie nikt w Rosji nie chciał słyszeć. Kwestionowano odrębność narodową jej mieszkańców tak jak dzisiaj Putin bajdurzący o „odwiecznej, nieodłącznej części trójjedynego narodu ruskiego”.

Aspiracji Ukrainy nie rozumiały Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania, które w 1919 roku na paryskiej konferencji pokojowej na nowo układały mapę kontynentu. Było na niej miejsce dla Polski, ale nie dla Ukrainy. Zachód uznawał ją za część Rosji, licząc na zwycięstwo „białych” i na to, że Moskwa ponownie stanie się sojusznikiem szachującym Niemcy.

Radykalnie antyukraińskie stanowisko zajmowała polska prawica zdominowana przez nacjonalistyczną Narodową Demokrację. Jej lider Roman Dmowski nie widział w Ukraińcach narodu godnego własnego państwa. Planował rozbiór Ukrainy do spółki z Rosją, wierząc, że powstanie w niej prozachodni rząd. Widział w nim sojusznika w starciu z Niemcami, najbardziej zagrażającymi polskości.

Zupełnie inaczej sprawę ukraińską pojmował obóz lewicowo-liberalny wspierający Józefa Piłsudskiego, który jako naczelnik państwa i naczelny wódz rozdawał karty w polskiej polityce. Strategię miał od dawna przemyślaną. Jej kamieniem węgielnym było przekonanie, że śmiertelnym wrogiem Polski jest Rosja dążąca do dominacji we wschodniej i środkowej Europie. Ktokolwiek by rządził w Moskwie: monarchiści, „biali” czy „czerwoni”, to celem bę-

dzie panowanie nad narodami zniewolonymi przez carat. Można to zablokować tylko w jeden sposób. Trzeba rozciąć imperium po szwach narodowych i na jego zachodnich rubieżach zbudować blok państw: od Finlandii, przez Estonię, Łotwę, państwo litewsko-białoruskie, Ukrainę, aż po kraje kaukaskie.

Polska winna być liderem tego bloku. Jego kręgosłup Piłsudski widział w osi Warszawa – Kijów. Dlatego 21 kwietnia 1920 roku doprowadził do zawarcia traktatu uznającego niepodległość Ukrainy w zamian za zrzeczenie się pretensji do Galicji Wschodniej i Wołynia. Umowę uzupełniła tajna klauzula o współdziałaniu wojsk polskich i ukraińskich pod dowództwem Piłsudskiego. Razem zamierzano rozgromić bolszewików i przebudować wschód Europy.

Cztery dni później ruszyła wielka polska ofensywa wspierana przez oddziały ukraińskie. 7 maja 1920 wojska zajęły Kijów, ale losy wojny odwróciła sowiecka kontrofensywa zablokowana dopiero w sierpniu 1920 przez bitwę warszawską. We wrześniu 1920 Sowietci przegrali kolejną batalię, nad Niemnem. Ocaliło to Polskę i Europę przed komunistycznym potopem, ale wróg nie został rozbity i mógł nadal prowadzić wojnę, a to wykluczało narzucenie mu kapitulacji na wa-

runkach Piłsudskiego, czyli odbudowę niepodległej Ukrainy.

Ostatnią próbę jej uratowania Piłsudski podjął podczas rokowań pokojowych w Rydze. Storpedowali to jednak wpływowi w polskiej delegacji endecy. W podpisanym 18 marca 1921 roku traktacie pokojowym Polska i Rosja podzieliły się ziemiami ukraińskimi, co Ukraińcy słusznie uznali za zdradę i rozbiór ich kraju.

Endecja triumfowała, nie zdając sobie sprawy, że zdradzając Ukrainę, pograżyła też Polskę. Zostając z Rosją sama na sam, bez wsparcia narodów pozostawionych w jarzmie rosyjskim, Polska naraziła się na niebezpieczeństwo, o czym przekonała się we wrześniu 1939.

Warto, by o tej lekcji pamiętał spadkobierca endecji, czyli kopiujący jej nacjonalizm i populizm PiS, który dzisiaj gorliwie przyklaskuje polityce Donalda Trumpa poświęcającej Ukrainę na ołtarzu współpracy amerykańsko-rosyjskiej. Doświadczenia historii pozwalają przypuszczać, że Stany Zjednoczone wyjdą na tej strategii jak Zablocki na mydle, ale polska strata będzie o wiele większa. ●

Tomasz Natęcz
historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Okruchy historii

Jak Węgrzy pomogli Eichmannowi

Zanim wywieziono z Zakarpacia Żydów do Auschwitz, musieli oddać swoje złoto, kosztowności i pieniądze.

Motyka



Gdy mowa o Holocauście na Węgrzech na myśl od razu przychodzi Adolf Eichmann, który go zorganizował. Zapomina się przy tym, że jego misja poniosłaby fiasko, gdyby nie wsparcie węgierskiego państwa. Świetnie to widać na przykładzie losów Żydów mieszkających na Zakarpaciu.

Dobrze opisał to pochodzący z Użhorodu historyk i przewodnik Jurij Sławik w niewielkiej, lecz przejmującej książce „Szliach do Auszvicu: Holocaust na Zakarpatti” wydanej przez Ukraiński Instytut Badań Holocaustu „Tkuma” w Dnieprze w 2017 roku.

Początkowo Węgry stosowały wobec mniejszości żydowskiej jedynie ograniczenia administracyjne.

Jednak po uderzeniu Niemiec na ZSRR i opanowaniu Ukrainy przez Wehrmacht postanowiono wydalic

z kraju Żydów nieposiadających węgierskiego obywatelstwa. Latem 1941 roku z Zakarpacia wywieziono na Podołe prosto w ręce Einsatzgruppen SS 18 tys. Żydów.

Niemcy za jednym zamachem postanowili pozbyć się także miejscowej społeczności żydowskiej, w efekcie w ciągu kilku sierpniowych dni rozstrzelali w okolicy Kamieńca Podolskiego 23 tys. ludzi. Ta jedna z największych egzekucji II wojny światowej, jak się dowiedziałem z pracy Sławika, miała polski akcent – może nawet 5 tys. ofiar deportowanych przez Węgrów miała polskie obywatelstwo. Uciekli w latach 1939-40 przed niemieckimi, a może też sowieckimi represjami. Jak pisze Sławik: „Węgry faktycznie stały się współuczestnikiem jednego z pierwszych masowych mordów ludności żydowskiej na terytorium Ukrainy w latach wojny”.

W marcu 1944 roku wojska niemieckie wkroczyły na Węgry, zmuszając regenta Miklósa Horthyego do zainicjowania radykalnej polityki wymierzonej w Żydów. Zgodzono się na umieszczenie ich w gettach i rozpoczęcie deportacji do Auschwitz. W pierwszej kolejności postanowiono wydać Niemcom żydowskich mieszkańców odległych prowincji, takich jak Zakarpacie. Mieszkali w regionach

mieszanych narodowościowo, a na ich miejsce można było w przyszłości osiedlić Węgrów, by zmienić strukturę etniczną terenu.

W kwietniu zakarpaccy Żydzi zostali skoncentrowani w dziewięciu gettach, między innymi w Użhorodzie. Mer tego miasta już 24 kwietnia, a więc ledwie po kilku dniach, zgłosił wniosek, by jak najszybciej przystąpiono do deportacji, jako powód podając obawę przed wybuchem epidemii. Zgodnie z jego oczekiwaniami już 14 maja ruszyły pierwsze transporty do Auschwitz. Na Zakarpaciu wywózki były prowadzone rękami wyłącznie policji i żandarmerii węgierskiej.

Zgodnie z administracyjnymi zarządzeniami Żydzi mogli zabrać ze sobą tylko rzeczy osobiste i zapas żywności na 14 dni. Nie wolno im było zabierać złota, kosztowności i pieniędzy. Wszystkie precjoza należało zapakowane i za pokwitowaniem złożyć u miejscowych starostów, którzy mieli obowiązek przekazać je do banku narodowego. Żydów wywożono w towarowych wagonach do Koszyc i tu dopiero eskortę węgierską zastępowali Niemcy, którzy dalej prowadzili transport do Auschwitz.

Jak pisze niemiecki historyk Götz Aly w książce „Europa przeciwko Żydom”: „Najważniejsze, żeby Żydzi zniknęli. Na takich fundamentach

oparta była ścisła współpraca urzędników i sił policyjnych węgierskiego ministerstwa spraw wewnętrznych z komandem Eichmanna”. Wywózka biednych i mocno religijnych wyznawców judaizmu z prowincji nie budziła większych oporów Węgrów, lecz potraktowanie w ten sam sposób zmardıaryzowanych mieszkańców stolicy już tak. Dlatego po „oczyszczeniu” prowincji w lipcu rząd węgierski odmówił współpracy przy dalszych deportacjach. Żydowsy mieszkańcy Budapesztu mieli przed sobą jeszcze kilka miesięcy gehenny, ale w ten sposób dostali szansę na przeżycie.

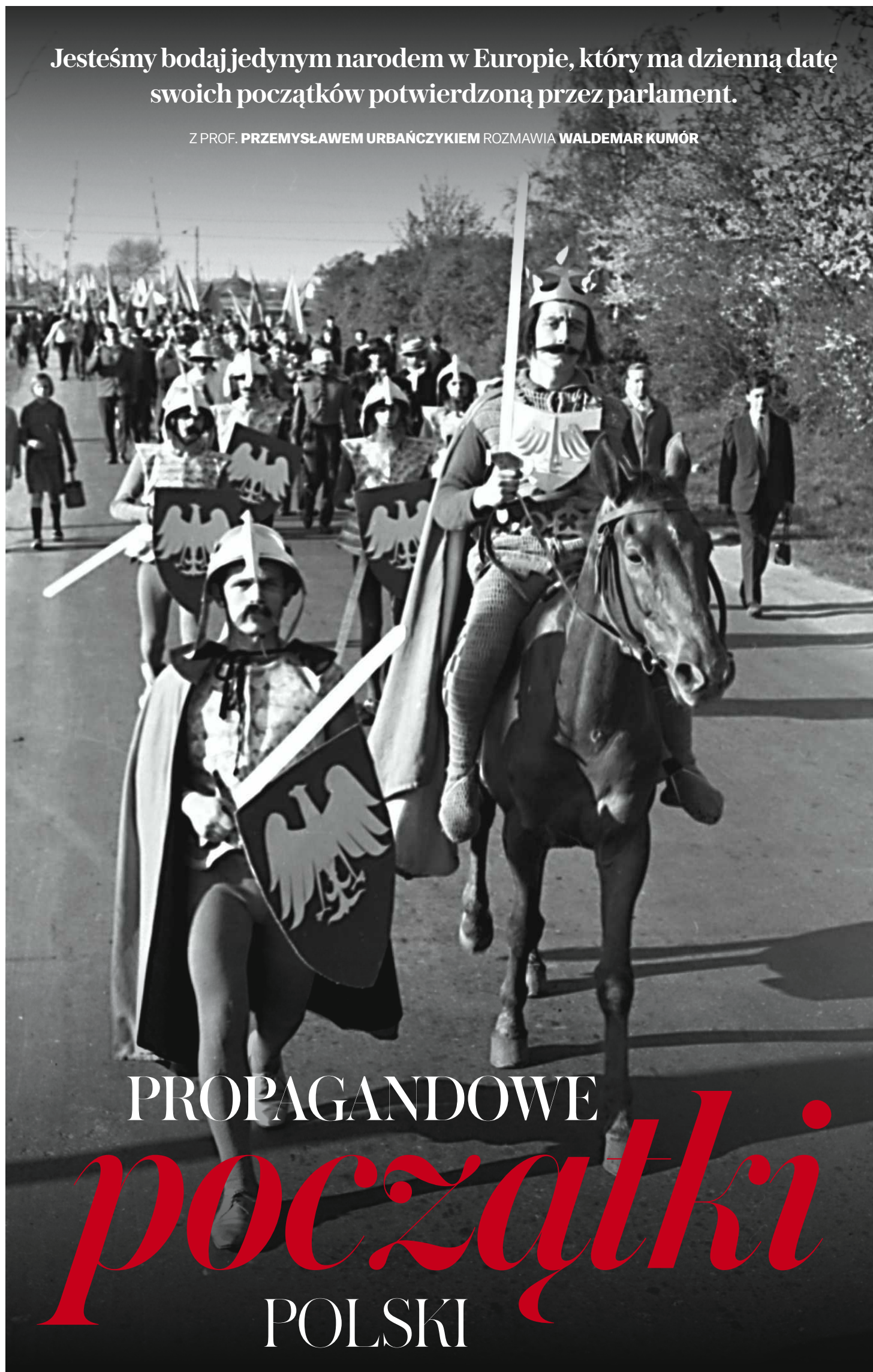
Od 14 maja do 9 lipca wysłano do Auschwitz 440 tys. Żydów z Węgier. Aż 80 proc. z nich zagazowano pierwszego dnia po przybyciu. Wśród deportowanych 86 tys. przybyło z Zakarpacia. Licząc z rozstrzelanymi w Kamieńcu Podolskim, zakarpaccy Żydzi stanowili blisko 20 proc. wszystkich ofiar Holocaustu na Węgrzech.

W Użhorodzie, dziś należącym do Ukrainy, w 2016 roku rząd węgierski ufundował pomnik ku czci deportowanych Żydów. To może najtańszy rachunek za oczyszczenie sumienia w historii. ●

Prof. Grzegorz Motyka
historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Jesteśmy bodaj jedynym narodem w Europie, który ma dzienną datę swoich początków potwierdzoną przez parlament.

Z PROF. PRZEMYSŁAWEM URBAŃCZYKIEM ROZMAWIA WALDEMAR KUMÓR



PROPAGANDOWE *początki* POLSKI

FOT. WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

WALDEMAR KUMÓR: Sejm w 2019 r. na wniosek Zjednoczonej Prawicy przyjął ustawę, że 14 kwietnia 966 r. nastąpił „chrzest Polski”. To właściwa data?

PROF. PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK: Od lat badacze próbują sprecyzować nasze początki. Informację o chrzcie Mieszka I podał saski biskup Thietmar z Merseburga w swojej kronice spisanej dopiero w latach 1012-1018, a sto lat później Gall Anonim. Thietmar zapi-

sał, że to wtedy ten ślepy dotąd naród przejrzał na oczy i zaczął „uprawiać winnicę pańską”.

Ale sam rok (zresztą też niepewny) dzielnym posłom nie wystarczył, chcieli mieć dokładną datę dzienną. Nie ma jej w żadnych źródłach historycznych. Uznali więc po prostu, że musiał być to jakiś ważny dzień i że była to Wielkanoc. A Wielkanoc tego roku wypadła na 14 kwietnia. Sejm przegłosował, klamka zapadła.

▲ **Król Bolesław Chrobry i jego wojowie. Przemarsz grupy rekonstrukcyjnej podczas obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego we Wrześni, 16 kwietnia 1966 roku**

Jesteśmy bodaj jedynym narodem w Europie, który ma dzienną datę swoich początków. To imponujące. Tymczasem nie wiadomo, kiedy dokładnie i gdzie doszło do chrztu Mieszka I. Są różne koncepcje – być może w Gnieźnie, może Poznaniu, a może w Magdeburgu.

Z czego to wynika? Kompleksy małych, peryferyjnych narodów? – Od zawsze mieliśmy kompleksy wobec naszych wielkich sąsiadów,

szczególnie wobec Niemców, którzy dysponują mnóstwem tekstów źródłowych, mają co analizować, łącznie z datami dziennymi przeróżnych istotnych wydarzeń. A u nas? Nie mamy takich źródeł historycznych. Zatem przevorsowanie dziennej daty chrztu jest jakimś sposobem podniesienia swojej wartości. Teraz możemy się chwalić, że mamy najbardziej precyzyjnie zdefiniowane nasze początki jako wspólnoty demograficzno-geograficzno-religijnej.

Dla nas, archeologów, rok 966 nie jest jakąś specjalną rewelacją; my przecież sięgamy nawet kilka milionów lat wcześniej.

No i – czytam w pana nowej książce „Korzenie Polski” – że nie ma też wiarygodnych źródeł o nas w starożytnym Rzymie czy Grecji.

– Nie ma. Starożytni wiedzieli jedynie, że była tu jakaś wielka rzeka – Wisła, Vistula. I że oddzielała ona mniej więcej Europę znaną od Europy nieznaną, czyli właściwie Europę od Azji. Po jednej stronie Germanie, którzy żyli na północ od Cesarstwa Rzymskiego, a dalej na wschód jacyś inni, jacyś Scytowie, Sarmaci, ludy azjatyckie.

Jedynie, co Rzymian interesowało w kontekście naszych terenów, to bursztyn, który był ważnym i poszukiwanym surowcem. Trochę wzmianek o nim jest z czasów cesarza Nerona. To on miał wysłać poselstwo nad Bałtyk, żeby sprawdzić, skąd ten bursztyn pochodzi. W efekcie tej wyprawy jego wysłannicy przywieźli go tyle, że cały cyrk Nerona – znajdował się mniej więcej tam, gdzie dziś Watykan – został nim ozdobiony.

Potem, w VI wieku, o bursztynie wspomniął jeden z najwybitniejszych intelektualistów i polityków tego czasu Kasjodor Senator. Zanotował przyjazd na dwór Teodoryka Wielkiego poselstwa, które przybyło z nad Bałtyku.

Też w sprawie bursztynu czy żelaza?

– Z perspektywy archeologicznej wydaje się, że byliśmy jednym z najważniejszych w Europie miejsc produkcji żelaza. Dotąd odkrywamy dymarki, czyli dawne piece hutnicze, w których za pomocą węgla drzewnego produkowano żelazo w I-II wieku naszej ery. W rzymskich relacjach nie ma o tym ani słowa, a o bursztynie jest. Żelazo było powszechne, więc o czym tu pisać. A bursztyn był luksusem.

A pisali, że nasz Krak pokonał samego Aleksandra Wielkiego?

– No skąd. To wymysł Wincentego Kadłubka. Jego kronika świadczy o kompleksach, o dorabianiu chwały piastowskiemu prapoczątkom. Nie mogliśmy być przecież gorsi od sąsiadów. Pod tym względem nie jesteśmy wyjątkowi – wszystkie dynastie średniowieczne dorabiały sobie heroiczne genealogie, śmiało je zakorzeniając w czasach przedhistorycznych.

No ale nasz mistrz Wincenty Kadłubek popłynął: nasi przodkowie nie tylko pokonali Aleksandra Wielkiego, ale i walczyli dzielnie z Juliuszem Cezarem. Byliśmy imperium. Stąd turbosłowianie i ten mit Wielkiej Lechii, utkany z pseudonaukowych nitek. Dzisiejsza popularność tego mitu dowodzi, że ludzie wciąż potrzebują legend, choćby i sprzecznych z wiedzą naukową, ale zaspokajających poczucie dumy narodowej, że my też sroce spod ogona nie wypadliśmy – wielcy wodzowie starożytności bali się nas i szanowali.

Skąd wziął się Mieszko? Mało o nim wiadomo.

– Zacznijmy od imienia. Koncepcji było wiele – od Kadłubka, poprzez Długosza i Kromera, aż do współczesnych historyków, którzy proponują przeróżne interpretacje. Bardzo trudno ustalić jednoznacznie oryginalny źródłosłów tego imienia, bo dzisiejsza forma jest spolszczoną wersją zapisu łacińskiego – *Misico* lub *Meseco*.

Skąd się wzięło to imię? Nie do ustalenia. Jest źródło staroruskie, które zdaje się potwierdzać informację Galla Anonima, że Mieszko był niedowidzący albo wręcz ociemniały przez siedem lat. A potem nastąpił cud i zaczął widzieć. Tak czy owak było to imię słowiańskie, którego zapisanie wymagało od ówczesnych kronikarzy ekwilibrystyki transkrypcyjnej. Najwcześniej zetknął się z nim w Pradze w 965 r. Ibrahim ibn Jakub, Żyd sefardyjski z hiszpańskiej Kordoby, który po arabsku zapisał *Mškh*.

Z kolei w kronikach pisanych po łacinie, np. przez Widukinda z Korbei, używano najczęściej formy Misaco. W Polsce po raz pierwszy Misico pojawia się na denarze, który długo uważany był za pierwszą polską monetę przypisywaną Mieszkowi I, ale wydaje się, że wybił ją Bolesław Chrobry dla swojego syna Mieszka II. Później dokonano zmiękczenia, czy wręcz re-slawizacji tego imienia, do panującej dzisiaj formy Mieszko.

Nie wiemy zatem, jak do Mieszka zwracali się jego bliscy i rodzice albo jak sam o sobie mówił.

Wiadomo, kim byli ci rodzice?

– Nie wiadomo, bo nie ma wiarygodnych źródeł. Została nam tylko zapisana przez Galla Anonima legenda o ubogim kmieciu Piaście, którego syn został księciem, a potem już pojawia się jego wnuk Mieszko I, pierwsza postać potwierdzona historycznie. Jest więc mgła pradziejów, nie wiemy, co wymyślił Gall Anonim, a co usłyszał na dworze Bolesława Krzywoustego. Już wtedy Piastowie próbowali rozbudować swoją genealogię. Przecież – myśleli zapewne – to wstyd, że nie wiadomo, skąd pochodzimy, więc posłużyli się propagandą dynastyczną. Uprawiali ją wtedy wszyscy rządzący. W opowieściach Galla Anonima Piastowie byli dzielni, zawsze zwyciężali i powiększali państwo. Trzeba więc tym „przyrodzonym panom królestwa” powierzyć rządzenie, bo gwarantują spokój i pomyślność. Nikt się za bardzo prawdą nie przejmował, ale propaganda działała: warto się podporządkować tym, co aktualnie są przy władzy, bo to daje konkretne korzyści. Pod tym względem do dziś się nic nie zmieniło.

Dlaczego Mieszko – skoro doprowadził do chrztu – nie został świętym?

– Mało tego. Żaden z Piastów nie został świętym. To ewenement, bo Czesi mają świętego Waclawa, Rusini świętego Włodzimierza, Niemcy świętego Henryka, Węgrzy świętego Stefana, a Norwegowie świętego Olafa. A przecież Mieszko doskonale się na świętego nadawał, bo był chrystianizatorem, wprowadził Polskę i swoich poddanych na właściwą drogę, ku cywilizacji chrześcijańsko-łacińskiej.

Chyba po prostu i banalnie miał pecha. Może nawet Bolesław Chrobry planował uświęcenie swojego ojca. Dałoby to Piastom sakralną legitymację ich władzy. Jednak w 997 r., czyli pięć lat po śmierci Mieszka, przyjechał do Polski praski biskup Wojciech, który 23 kwietnia zginął śmiercią męczeńską z rąk pogańskich Prusów. Był człowiekiem głębokiej wiary i, jak na ówczesne czasy, rygorystą moralnym.

Domagał się od księży i właścicieli od wszystkich, żeby przestrzegali chrześcijańskich zasad etycznych. Dwa razy uciekał ze swojej diecezji w Pradze, bo nie mógł patrzeć, jak niemoralnie żyją tamtejsi książę, możni i czeski książę Bolesław.

Taka ucieczka groziła biskupowi ekskomuniką, więc papież wymyślił, by posłać Wojciecha do dalekiego kraju, do Chrobrego, niech tam zmaże swój występek, nawracając pogan. Po swojej tragicznej śmierci błyskawicznie został ogłoszony świętym, bo wtedy niepotrzebny był żmud-

ny proces kanonizacyjny – wystarczała decyzja lokalnego biskupa. Żeby zostać świętym, wystarczyło wieść wzorowe życie, np. pustelnicze, więc męczeńska śmierć za wiarę całkowicie wystarczała.

Wojciech był wtedy niezwykle znany – od Polski, przez Niemcy, Francję, Czechy i Italię. Został niemal automatycznie świętym państwa piastowskiego, uniważniając ewentualne plany kanonizacji Mieszka I. Nie było więc już miejsca na drugiego. Tym bardziej że Mieszko – jak zapisał Gall Anonim – miał przed swoim chrztem siedem żon. Horrendum, a Wojciech czysty jak łąza.

Po Wojciechu przyszli kolejni męczennicy. W sumie w ciągu 12 lat (997-1009) siedmiu ludzi Kościoła poległo w imię poszerzania chrześcijaństwa.

W Polsce nastąpił więc wręcz nadmiar świętych. A jeszcze polskiemu Kościołowi nie zależało na kanonizacji któregoś z Piastów, bo to oznaczałoby sakralizację ich władzy. Pierwszymi polskimi świętymi zostawali więc wyłącznie ludzie Kościoła, począwszy od świętego Wojciecha, a kończąc na świętym Stanisławie.

Piastowie mieli pokusę, by zdobyć Europę?

Żaden z Piastów nie został świętym. To ewenement, bo Czesi mają świętego Waclawa, Rusini świętego Włodzimierza, Niemcy świętego Henryka, Węgrzy świętego Stefana, a Norwegowie świętego Olafa. A przecież Mieszko doskonale się na świętego nadawał

– Nie przesadzajmy, chociaż z drugiej strony mówienie, że mieli wąską perspektywę, wyłącznie polską, jest nieprawdą. Mieszko świetnie, jak sądzę, orientował się w geopolityce – już w 967 r. posłał przecież swoich wysłanników do Rzymu, a nie do Saksonii, z prezentem w postaci miecza zabitego właśnie hrabiego Wichmana, kuzyna cesarza Ottona I. Dzięki temu gestowi zyskaliśmy wcześniej niż Czesi swojego biskupa Jordana, choć Czesi dużo wcześniej przyjęli chrzest.

A perspektywa Chrobrego była już prawie kontynentalna. On korespondował z dwoma cesarzami i wysyłał poselstwa do Rzymu do papieża. Świetnie się orientował w hierarchii europejskiej.

Budował wpływy poprzez małżeństwa?

– Tak, swoisty eksport i import księżniczek charakteryzował wszystkie dynastie. Nawet nie wypadało, żeby mieć żonę „lokalną”. Międzydynastyczne małżeństwa zastępowały podpisywanie traktatów o współpracy. Zagraniczne żony władców nie były kwiatkami do kożucha, ale realnymi wpływowymi postaciami. Uważam, że córki władców w wielu wypadkach pełniły ważniejszą rolę niż ich synowie – oprócz tych wyznaczonych do dziedziczenia tronu.

To nie zmieniło się przez następne wieki, bo wymiana dynastyczna trwała w najlepsze aż do czasów nowożytnych. To ograniczenie wymiany małżeńskiej do niewielkiego kręgu osób zmniejszało pulę genetyczną, skutkując problemami dzie-

dzicznymi, jak choćby tzw. warga habsburska (prognatyzm szczękowy) czy hemofilia rozniesiona po europejskich dworach przez potomków królowej Wiktorii.

Sporo pisze pan o Emnildzie, żonie Bolesława Chrobrego.

– Miała naprawdę duży wpływ na męża. Ze źródeł wynika, że była jego trzecią żoną. Kiedy brali ślub, on był tylko potencjalnym władcą. Ojciec Bolesława długo zastanawiał się, z kim by go ożenić, by było to najkorzystniejsze dla piastowskiego klanu monarszego. Biskup Thietmar, który nie znośił Chrobrego, o Emnildzie pisał tylko pozytywnie. Gall Anonim uważał, że to ona łagodziła porywczy charakter swojego męża. Ale z drugiej strony to po jej śmierci Bolesław przestał prowadzić wojny, jakby mu zabrakło wsparcia psychologicznego i utwierdzenia w aktywności nieustrudzonego wojownika.

Podkreśla pan rolę propagandy, jaką prowadził Chrobry.

– Mamy w nią wgląd dzięki licznym monetom, które wybił. Chrobry naprawdę twórczo korzystał z tego poręcznego narzędzia propagandy, jaką były monety.

można będzie zgrabnie połączyć w jedną całość historyczno-polityczno-religijną.

Pana książka opowiada też o propagandzie, jaką uprawiano w PRL przy wykorzystaniu archeologii. Żeby uzasadnić piastowskość tzw. ziem odzyskanych, szczególnie w okolicach 1966 r., czyli tysiąclecia chrztu. Nie dziwi mnie, że nasze festiwale piosenki ulokowane na ziemiach zachodnich: w Opolu polskiej piosenki, w Zielonej Górze – radzieckiej, a w Kołobrzegu żołnierskiej.

– Paradoksalnie amfiteatr w Opolu zbudowano obok późnopiastowskiej wieży, ale przy okazji zniszczono autentyczny gród, który był w tym miejscu.

Obchody tysiąclecia chrztu Mieszka I, czy też „początku państwa polskiego” w oficjalnym wówczas ujęciu, poprzedził gigantyczny program badań archeologicznych. W latach 40., 50. i 60. XX wieku władze za-inwestowały duże pieniądze w wykopaliska – głównie na tzw. ziemiach odzyskanych. Prowadzono badania w Krakowie, Poznaniu czy Wiślicy, ale i tak najważniejsze były te związane z Wrocławiem, Szczecinem, Wolinem, Gdańskiem, Kołobrzegiem, Opolem czy Międzyrzeczem. Trzeba było udowodnić, że przed wiekami należały do Polski.

To nie oznacza, że archeolodzy oszukiwali, że tu były ziemie słowiańskie, bo Piastowie rzeczywiście byli tam w X i XI wieku, ale władze PRL wykorzystaly propagandowo wyniki pracy naukowej do uzasadnienia decyzji o przesunięciu granic Polski na zachód i do walki z Kościołem, pokazując, że nasze początki sięgają przed chrzest Mieszka I. To była walka o rząd dusz. Chodziło o to, by zminimalizować kościelny wymiar obchodów w 1966 r.

Pamiętam defiladę 22 lipca 1966 r., czyli w rocznicę lubelskiego Manifestu PKWN. Na czele pochodu szli wówczas wojowie Mieszka I, a na końcu współcześni żołnierze państwa socjalistycznego. Dla władz wszystko to układało się w ładną propagandową całość.

Uwikłanie archeologii (nie tylko polskiej) w propagandę jest ponadustrojowe. Za chwilę okaże się, że archeolodzy znowu będą przydatni politycznie, bo trzeba będzie rozpocząć np. ekshumację szczątków ofiar rzezi wołyńskich. Podobnie politycznie wykorzystywano archeologię na Białorusi, Ukrainie, na Litwie, czy gdziekolwiek indziej, szczególnie w tych państwach, które albo świeżo uzyskały niepodległość, albo czują się zagrożone w swojej tożsamości, którą trzeba zakorzenić w jak najgłębszej przeszłości. ●



Prof. Przemysław Urbańczyk

• Mediewista, archeolog, pracuje na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz w Instytucie Archeologii i Etnologii PAN, autor 20 książek, m.in.: „Bolesław Chrobry – lew ryczący”, „Co się stało w 1018 roku?”, „Niezwyczajni goście Bolesława Chrobrego”.



Korzenie
Polski

Przemysław
Urbańczyk
PWN 2024

Radosław Leniarski

Awantura, jaką Donald Trump wywołał w latach 80. futbolu amerykańskim, pozwala przeprowadzić swobodną analogię do stylu jego prezydentury i jej prawdopodobnych konsekwencji. Jeśli ta analogia jest celna, oznacza to dla nas ogromne niebezpieczeństwo.

Sprawa zaczęła się od próby wejścia przyszłego prezydenta USA – wejścia wymarzonego, upragnionego – do hermetycznego klubu właścicieli drużyn NFL. Zakończyła się próbą zemsty odrzuconego kochanka, a w konsekwencji upadkiem rozgrywek, którym Trump przewodził. Kłopotami naiwnych sojuszników, którzy mu zawierzyli, oraz upokarzającym dla niego wyrokiem sądu.

Każde z niefortunnych i brzemiennych w skutki wydarzeń dokonało się za jego sprawą.

ŚWIETNY PLAN DIXONA

W 1983 roku zaczęła rozgrywki United States Football League (USFL), czyli nowa zawodowa liga futbolu amerykańskiego. Na pomysł jej zorganizowania wpadł pewien bogaty deweloper i kolekcjoner sztuki z Południa. Uznał on – było w tym sporo brawury – że znajdzie się miejsce dla USFL u boku potentata, wszechmocnej, bajecznie bogatej NFL. A także obok niezwykle popularnych w Ameryce rozgrywek uniwersyteckich.

Futbol jest w genach Amerykanina. Powiedzieć, że to sport narodowy, to nic nie powiedzieć. Flaga, hymny, prezydent, myśliwce, poczty sztandarowe i 130 mln widzów. A to tylko NFL. Amerykanie są zakochani na zabój w swoich akademickich drużynach. Mogą pracować na wiertni w Alasce, ale kibicują swoim Gators z Gainesville na Florydzie, bo tam się uczyli, i gdyby Gators grali w finale NCAA to wydali by wszystkie pieniądze, żeby być na meczu. Uczelniane finały wypełniają 80-tysięczne stadiony. Byłem w niewielkim Eugene (160 tys. mieszkańców), gdzie największą budowlą jest stadion Kaczorów, lokalnej drużyny uniwersyteckiej – 60-tysięcznik, regularnie jest na nim komplet.

Ów biznesmen – David Dixon – pomyślał, że liga będzie grać późną wiosną i latem, czyli wtedy, gdy odpoczywa NFL i drużyny uczelniane.

Spisał biznesplan, zwany jakżeby inaczej Planem Dixona. Liga się zorganizowała według tego planu. Zabezpieczyła wielkie stadiony klubów NFL i uniwersyteckich, uzyskała prawa do transmisji telewizyjnych oraz przyciągnęła inwestorów. Niskie honoraria dla graczy, jedna, dwie gwiazdy w każdym zespole, lokalni zawodnicy, żeby kibice mieli za kogo trzymać kciuki, rozrywka na stadionie po meczu, więcej zabawy – to był plan na finansowy sukces.

Był to dobry plan. Telewizje ABC i ESPN transmitowały mecze. Kibice spragnieni futbolu przychodzili latem na stadiony. Zawodnicy i trenerzy mieli doświadczenie wzięte z NFL. Na przykład zatrudniono futbolistę z najważniejszą nagrodą w rozgrywkach uniwersyteckich, Heisman Trophy, przysłał wielką gwiazdę NFL. Zresztą kilku futbolistów zrobiło zawrotne kariery po upadku ligi, już u konkurencji. Jeden z nich jako rozgrywający (quarterback) cztery razy z rzędu grał w Super Bowl z Buffalo Bills i stał się jedną z największych gwiazd sportowej Ameryki, choć u nas nikt zapewne nie zna jego nazwiska. Sprawdźmy – Jim Kelly.

Gdy do tego wszystkiego dolożyć fakt, że pierwszy finał sezonu USFL zakończył się epickim starciem Michigan Panthers z Philadelphia Stars (24-22)...



FOT. AL PEREIRA/MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES

Futbolowa WTOPA TRUMPA

Jak przed laty dzisiejszy prezydent USA zamienił nieźle prosperującą ligę futbolu amerykańskiego w „kupę zarobaczonych psich odchodów”.

▲ **Nowy Jork, 5 lutego 1985 rok. Właściciel drużyny New Jersey Generals i jej główny trener Walt Michaels prezentują na konferencji w Trump Tower najnowszy nabytek klubu, rozgrywającego Douga Flutie'go**

Kibice uznali, że liga jest warta ich zaangażowania.

MARZENIE DEWELOPERA

Idea przewodnia USFL była taka, żeby rozwijać się, nie narażając się broń Boże NFL, a w każdym razie, nie narażając się zbyt mocno i za szybko. Bo narażanie się NFL groziło śmiercią przez zgniecenie, a w optymistycznym wariancie ciężkim kalectwem. Wiedza o tym była powszechna jak i akceptacja taktyki unikania kraksy.

Dixon w swoim planie założył, że w każdym wielkim mieście będzie drużyna USFL. Powinna więc być również w Nowym Jorku. Sam był deweloperem, wymyślił więc, że namówi do stworzenia nowojorskiej drużyny Donalda Trumpa, lokalnego dewelopera. Ten jednak ludził się, że uda mu się kupić przeżywający kłopoty finansowe klub Baltimore Colts, grający w NFL. Obecność w prominentnej grupie właścicieli drużyn NFL to było wielkie – i jak się później okazało nigdy niespełnione – marzenie Trumpa, kiedyś studenta-futbolisty w New York Military Academy.

Dla niego być wśród właścicieli drużyn NFL tożak być w G7, albo być zaakceptowanym przez klub Playboya z asystą króliczka miesiąca.

Kupno drużyny NFL miałoby również sens finansowy. Dwie drużyny NFL sprzedane w 1984 i 1985 roku kosztowały po 70 mln dol. Dziś średnia wycena w lidze to 6,49 mld dol, przy czym dla najdroższego klubu, Dallas Cowboys, wynosi ona 11 mld (wycena najdroższego w piłce nożnej Realu Madryt – 6,6 mld dol).

Skoro Trump miał inne marzenie, USFL wdrożyła w Nowym Jorku plan B. Nowa drużyna – New Jersey Gene-

rals – powstała TAM za pieniądze magnata naftowego J. Waltera Duncana. W pierwszym sezonie przegrała większość meczów, ale publiczność przychodziła na nie chętnie. Generals grali na stadionie New York Giants, czyli Giants Stadium w New Jersey, który na czas ich meczów przemianowywał się na The Meadowlands. Zanim Generalowie zagrali tam pierwszy mecz, właściciel stoczył wielką bitwę, żeby Giants wypożyczali im stadion. Ostatnim honorowym warunkiem Giants było to, żeby drużyna nazywała się New Jersey Generals a nie New York Generals. Umowę klepnięto, wszyscy byli usatysfakcjonowani. I w tym momencie do akcji wkracza Donald Trump.

ŻEBY NIE MIELI CZASU NA ODDECH

Jak później powie Jerry Argovitz, były właściciel Houston Gamblers: „Donald nie kochał USFL. Dla niego była bzdetem, blachostką. Straszne! Liga była świetna, świetny był pomysł. Ale potem wszyscy [właściciele i zarządzający USFL] pozwolili Trumpowi przejąć władzę. To była nasza śmierć”. Autor książki „Futbol za dolca” [“Football for a buck”] Jeff Pearlman ujął sprawę znacznie krócej: „Trump zmienił USFL w kupę zarobaczonych psich odchodów”. Oto jak to się stało.

Właściciel Generals Duncan miał dość podróżowania z domu w Oklahoma City do Nowego Jorku na mecze swojej drużyny, ale wiedział, że dla ligi priorytetową rzeczą jest to, żeby na nich był. Postanowił sprzedać drużynę lokalnemu inwestorowi. Trump – odrącony przez NFL jako kandydat na właściciela Baltimore Colts – był już gotowy w blokach startowych. W normalnych okolicznościach stworzenie drużyny USFL kosztowało około 6 mln dol (dzisiejsze ok. 23 mln). Trump zapłacił 10 mln (czyli dzisiejsze – ok. 38,3). Z rozmachem zaczął nowe porządki. Wydarzenia nawarstwiały się jedno po drugim w szaleńczym tempie, jakby zgodnie z amerykańską taktyką wojenno-sportową zwaną „flooding the zone”: zalać swoją masą, zając przeciwników i wrogów miliardami zdarzeń, żeby nie mieli czasu na oddech. Wywalił z drużyny trenera, ponieważ chciał mieć większe nazwisko. Po wywaleniu go wciąż nie miał kandydata, bo szukał coraz większego i większego. Szukał ich wśród trenerów NFL, czym drażnił wściekle wielką ligę.

Wreszcie znalazł – słynny Don Shula z Miami Dolphins, oczywiście z NFL. Zaoferował mu 5 mln dol., co było ogromną kwotą. Trener wahał się i zażądał jeszcze apartamentu w Trump Tower, wynajmowanego na czas jego pracy za darmo. Następnego dnia Trump wrzucił trenera pod autobus, jak mówią Amerykanie, to znaczy przekazał dziennikarzom, że kontrakt byłby dogadany, gdyby nie ta zachłanna szuja Shula, który żąda apartamentu za friko. Trener się śmiertelnie obraził, zerwał rozmowy. Po latach jeden z jego futbolistów wspominał, że już był spakowany, gdy usłyszał, co mówi Trump.

MISTRZ ŚWIATA W OBRABIANIU TYŁKA

Tymczasem Trump wziął się za głównego menedżera USFL, niejakiego Cheta Simmons’a. Po polsku powiedzielibyśmy, że obrabiał mu tyłek. Ale zwykle obrabianie tyłka nie jest w stylu Trumpa, a już na pewno nie Trumpa niespełna 40-letniego. Zwykle obrabianie tyłka jest czynnością z gruntu dyskretną – właściciel obrabianego tyłka nie

wie, kto mu go obrabia. Trump robił to z namiętnością, perwersją i hałaśliwie. Przecież dziś słyszymy, na co go stać. Joe Biden jest głupi. Wołodimir Zelen-ski to dyktator, tani komediant. Najbardziej szanowani ludzie w USA bywają dla niego crazy (wariaci), cons (zbiry), vicious (wściekli), sick (chorzy), crooked (krętacze), corrupt (skorumpowani). A on zawsze jest terrific, amazing, great and groundbreaking. Choć Simmons rozwinął ligę, rozszerzył z 12 na 18 zespołów, Trump grzmiał, że jest bezużyteczny jak grzyb na ścianie. Nudny jak mokry karton. Zatrudnił dziennikarza, który obdzwaniał innych dziennikarzy, aby i oni obrabiali tyłek Simmons’a w imieniu Trumpa.

Najbardziej szanowani ludzie w USA bywają dla Trumpa crazy (wariaci), cons (zbiry), vicious (wściekli), sick (chorzy), crooked (krętacze), corrupt (skorumpowani). A on zawsze jest terrific, amazing, great and groundbreaking

Aż w końcu Simmons zrezygnował z funkcji. Gdy już hamulcowego dla pomysłów Trumpa zastąpiła marionetka, namówił innych właścicieli drużyn USFL do zmiany terminu rozgrywania meczów. Grali wiosną i latem, żeby uniknąć konfliktu z NFL, ale Trumpowi właśnie o wojnę chodziło, o zderzenie czołowe z ciężarówką. Liczył, że wyjdzie z niego cało i dostanie odszkodowanie. Że w efekcie zderzenia albo doprowadzi do przejścia przez siebie jakiejś drużyny z arcybogatej, wymarzonej NFL, albo zmusi ją do połączenia z USFL. Uparł się, żeby grać jesienią i zimą, razem z NFL. Ukuł hasło: „Gdyby Bóg chciał, żeby futbol grał wiosną, nie stworzyłby baseballu”. Okazało się, że Bóg stworzył baseball z innego powodu. Zmiana terminów nie skończyła się dobrze ani dla zdominowanego przez Trumpa głównego menedżera ligi, ani dla zdominowanych przez niego właścicieli drużyn. Tracili kontrakty telewizyjne, tracili stadiony. Wtedy Trump namówił ich na złożenie pozwu przeciwko NFL za praktyki monopolistyczne, choć każdy Amerykanin powiedziałby mu bez zastanowienia, że to samobójczy pomysł. Proces był słynny w Ameryce. Gazety z całego kraju wysyłały do Nowego Jorku korespondentów, aby codziennie go relacjonować. Trump był w siódmym niebie – wreszcie Ameryka o nim mówiła. Cała Ameryka. Pewien ważny, a może nawet kluczowy epizod z procesu pokazywał, jak Trump podchodzi do rzeczywistości i do prawdy. Jego *modus operandi* wiadać jak na dłoni w zeznaniach z procesu – jego i szefa NFL Pete’a Rozelle’a

CO ZA ROBAL GRYZIE SŁONIA?

Ponieważ Trump bardzo pragnął być w klubie właścicieli drużyn NFL a nie miłośników z USFL, wynajął pokój w luksusowym hotelu La Pierre w No-

wym Jorku i zaprosił do niego Rozelle’a. Trzeba zaznaczyć, że dla najważniejszego człowieka w amerykańskim biznesie sportowym Trump był graczem w pchełki. Nie wiem, ile liga NFL była warta w latach 80., ale dziś same drużyny – nie licząc stadionów, a niektóre są ich własnością – to 220 miliardów dolarów. Podczas procesu przyszedł prezydent zeznał, że to on był zaproszony do hotelu La Pierre, że to on był namawiany przez NFL na odejście z USFL i przejście Baltimore Colts. Rozelle, zaszokowany kłamstwami, zaprzeczył słowom Trumpa – jego wersję potwierdziły rachunki za hotel zapłacone przez Trumpa i notatki, sporządzone przez Rozelle’a w trakcie spotkania.

Napisał w nich, że na odchodnym powiedział Trumpowi: „Nie będziesz miał drużyny w NFL tak długo, jak ja lub moi następcy będą rządzić ligą”. Dodał od siebie, już poza salą sądową, że namawianie Trumpa do kupna jakiegokolwiek drużyny NFL mogłoby oznaczać tylko jedno: że jego płyty czołowe mózgu zostały zaatakowane przez grzyba. Intencje Trumpa dla Rozelle’a były oczywiste: chciał mieć klub w NFL, gotów był przy tym wykołegować swoich partnerów biznesowych, krzycząc, że byli bezużytecznymi przegrywami. Ale był za krótki. Oferował za drużynę NFL 50 mln dol., o wiele za mało. Rozelle zgodził się na spotkanie „z tym człowiekiem” – zeznawał na procesie – tylko dlatego, że USFL zmieniła terminy meczów i groziła pozwem sądowym. Szef NFL przypominał słonia zdziwionego, ale i zaintrygowanego, co za robił jest na tyle głupi, że próbuje go ugryźć w trąbę. Proces przed sądem federalnym w Nowym Jorku był finałem awantury. Już wtedy właściciele USFL zostali wmanewrowani przez Trumpa w sytuację bez wyjścia – tylko zwycięstwo mogło ich uratować przed upadkiem. Nie uratowało. Właściwie proces stał się pętlą na szyję.

WZÓR CWANIAKA

W pozwie USFL domagała się 567 mln dol. odszkodowania za blokowanie dostępu do rynku futbolu amerykańskiego. Zgodnie z amerykańskim prawem antymonopolowym pula została potrojona do 1,69 mld dol. – zapamiętajmy tę kwotę. Trump, który do pozwu wrzucił dodatkowy punkt o nękanii przez NFL jego własnej drużyny New Jersey Generals, uparł się, żeby proces toczył się przed sądem w Nowym Jorku. Sądził, że zna tu każdy zakamarek, każdego sędziego, że to jego rewiry. Tymczasem – według autora książki „Football for a buck” (Futbol za dolca) Jeffa Pearlma-

na – jego wizerunek hałaśliwego kuglarza był tam mocno ugruntowany. Miał mądrego przeciwnika, prawnika NFL Franka Rothmana. Uznał on, że podczas procesu trzeba wysadzić w powietrze taktykę USFL, polegającą na przedstawieniu sprawy jako pojedynku Dawida z Goliatem. W tym celu musiał wykazać, że USFL nie jest firmą kierowaną przez zastraszonych, acz ambitnych biznesmenów, którzy chcą wzbogacić Amerykę i dać kibicom radość. Musiał przekonać sąd, że USFL jest kierowana przez takich samych bogaczy co NFL. W dodatku bogaczy, którzy po cwaniacku próbują przejąć wieloletni dorobek najpiękniejszej ligi świata, rozpowszechniając jednocześnie kłamstwa na jej temat. Trzeba było tylko takiego cwaniaka znaleźć i postawić w świetle reflektorów, jako wzór. Prawnik NFL nie musiał szukać. Taki wzór sam się znalazł i postawił.

WĄŻ NAJGORSZEGO GATUNKU

W swojej książce Pearlman pisze: „Rothman szukał kogoś, komu ławie przysięgłych trudno będzie uwierzyć, a jeszcze trudniej polubić. Szukał kogoś z fałszywą brawurą i z arogancją. »Im bardziej rozwijałem strategię – myślał sobie Rothman – tym bardziej chciałem, żeby Donald Trump był moim celem«”. W artykule przedyktowanym prosto z sali sądowej nr 318 dla LA Times reporter Richard Hoffer napisał, że według Rothmana „Trump był najgorszego gatunku wężem, który spuszcza pod łód swoich kolegów w zamian za obietnicę wejścia do klubu właścicieli NFL”. Czyli robił obrzydliwe rzeczy w imię przyszłych, iluzorycznych celów. W imię fatamorgany. Ławniczka w tym procesie Patricia Silbia, techniczka komputerowa spod Nowego Jorku, opowiadała, że już na początku 42-dniowego procesu zauważyła, że Trump odszukał ją wzrokiem, a następnie bezczelnie wgapił się w nią. – Była to ewidentnie próba zastraszenia – powiedziała później. – Co zabawne z dzisiejszego punktu widzenia, ten rzekomy geniusz biznesu zniszczył sprawę USFL. Był niewiarygodny we wszystkim, co mówił. Wydawał się arogancki i antypatyczny. Szczególnie niezwykła była nie-szczerość zeznań Trumpa w sprawie spotkania w hotelu La Pierre z Rozellem. Musiał mieć jakiś ukryty motyw – uznali ławnicy. Proces był wyczerpujący dla sześciu osobowej ławy przysięgłych. W finale przez 31 godzin ławnicy w izolacji wymieniali argumenty, bo połowa skłaniała się do racji NFL a połowa do racji USFL. Obrazali się na siebie, wracali do dyskusji. Ławniczka Miriam Sanchez miała palpacje serca. Ławniczka Patricia McCabe szmery w sercu, była bliska opuszczenia sali na noszach. Na koniec, po podobno bardzo żartej dyskusji, podjęli decyzję i 29 lipca 1986 roku ją ogłosili. NFL winien był – w minimalnym stopniu – tylko jednemu z punktów pozwu na dziewięć, które złożyła USFL pod przywództwem Trumpa. Ława uznała, że USFL obrała taktykę walki z NFL na własne ryzyko. Zamiast 1,69 mld dol odszkodowania ławnicy przyznali Trumpowi i spółce naiwniaków 1 dolara. Już wiemy, że tę kwotę trzeba potroić zgodnie z zasadami postępowania antymonopolowego. A więc trzy dolary. Donald Trump mógł sobie za to kupić flat white przy placu Kolumba naprzeciwko schodów sądu i wziąć taksówkę do Trump Tower. Cztery dni po wyroku USFL zawiesiła działalność. Liga przestała istnieć. ●

weekendówka
144

NIECH ŻYJE CESARZ!

Jest długa na ok 30 km, szeroka na 18, liczy sobie wszystkiego 224 km kw. Klimat śródziemnomorski, śniegu tu raczej nie uświadczysz, nawet w zimowe miesiące temperatura nie spada z reguły poniżej 7 st. C, niemal przez cały rok można się cieszyć piękną, słoneczną pogodą.

Jest wręcz sielsko. Ale najsławniejszemu mieszkańcowi tej wyspy dość szybko się znudziła. Na tyle, by spakował manatki i wrócił na kontynent.

Cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte trafił na Elbę – bo o tej wyspie i tym jej lokatorze rzecz jasna jest mowa – 3 maja 1814 roku, po klęsce w bitwie pod Lipskiem, abdykacji i traktacie w Fontainebleau, który właśnie pozwalał mu zachować godność cesarską oraz oddawał Elbę, wraz z 12 tysiącami jej mieszkańców, we władanie.

Początkowo Napoleon gospodarzył na leżącej ok. 10 km od brzegów Toskanii, a 50 km od jego rodzimej Korsyki aż miło. Zajął się miejscowymi fortyfikacjami oraz armią, usprawnił system podatkowy, fundował drogi wreszcie zaprojektował nową flagę.

Ale życie na skromnej wysepce, z dala od wielkich podbojów i wielkiej polityki, szybko mu zbrzydło. Poza tym nie subsydiowano go obcymi środkami. Postanowił więc Elbę opuścić.

W zasadzie traktat z Fontainebleau nie zabraniał Bonapartemu wyjazdu z wyspy, choć wody wokół Elby patrolowały angielskie i francuskie jednostki dozoru. Tymczasem cesarz 26 lutego 1815 roku wsiadł na pokład brygu „Inconstant”, i w liczącym pięć statków konwoju, wraz m.in. z kilkuset weteranami swej Cesarskiej Gwardii oraz setką polskich ułanów, ruszył do słodkiej Francji.

1 marca 1815 roku zespół Napoleona dotarł do francuskiej Riwiery, i w miasteczku Golfe-Juan cesarz zszedł na ląd. Rozpoczęło się „100 dni Napoleona”, zwane też lotem orla.

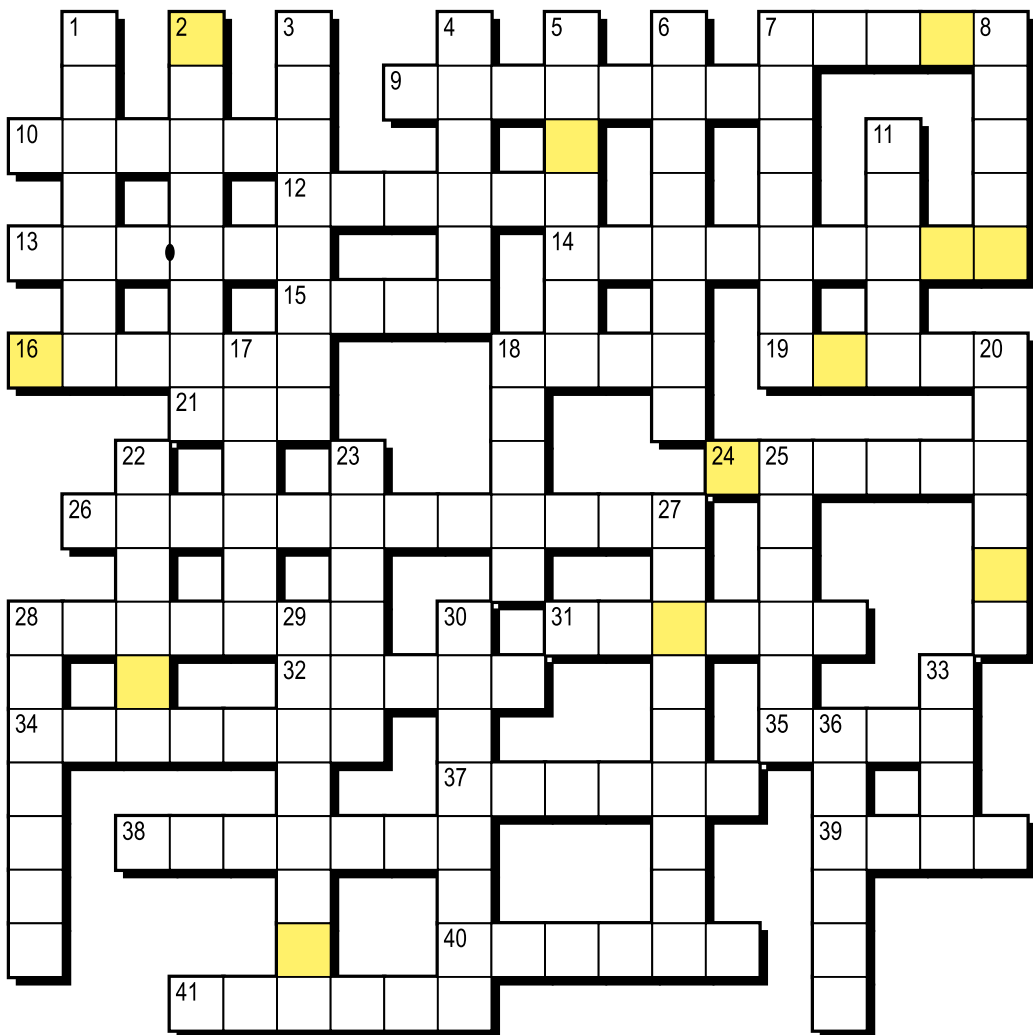
Na kontynencie tymczasem trwał kongres wiedeński, który miał na nowo poukładać polityczny porządek w Europie, już bez Napoleona ma się rozumieć. W Wiedniu m.in. mocarstwa zaborców rozdzieliły między siebie ustanowione przez Francuzów Księstwo Warszawskie i powołały do życia Królestwo Polskie.

Francja, po restauracji dynastii Burbonów, spokojnym krajem nie była, a wielu rodaków z tęsknotą wspominało cesarza. Do zmierzającego do Paryża Napoleona stopniowo przylączyły się kolejne oddziały, a także dawni dowódcy, jak marszałek Michel Ney, książę Moskwy. Bonaparte był w stolicy już 20 marca, witany owacyjnie, zaś król Ludwik XVIII czmychnął z Francji.

Sto dni Napoleona (czy też ściśle rachując 112), zakończyło się 22 czerwca 1815 roku, kiedy cesarz po raz kolejny abdykował. Kilka dni wcześniej, 18 czerwca, wojska brytyjsko-pruskie pobiły armię francuską pod Waterloo.

Dziś, w 210 rocznicę powrotu Napoleona do Francji, zapraszamy na „Weekendówkę” napoleońską. Allez!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 143
z 22.02:

Poziomo:

4) obuwie, 6) Lady, Pank, 10) obietnica, 11) odznaka, 12) ręka, 13) lilijka, 14) odkrywca, 16) Szare, Szeregi, 18) ognisko, 19) Zawisza, 21) idea, 24) komendant, 26) totem, 28) samarytanka, 30) Banan, 31) dłoń, 32) Stopy, 36) szara brzoza, 38) sznur, 39) Wilhelm, 40) śpiewniki, 41) odzew, 42) kurs.

Pionowo:

1) rajd, 2) Bytnar, 3) Małkowski, 4) Oko, 5) Wiewiórka, 7) gitarzysta, 8) harcerka, 9) skauci, 11) obozowicze, 13) las, 15) koncert, 17) gwiazdki, 20) Wanda, 22) wojsko, 23) stacja, 25) trasy, 27) mundurki, 29) ratunek, 30) biwaki, 33) pismo, 34) kolor, 35) kubek, 37) ćwik.

HASŁO:

MARSZ Z KOMPASEM

NAPOLEON

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

7) ... Ludwika Austriacka, druga żona Napoleona
9) rzeka na Białorusi kojarząca się z bitwą w 1812 r.
10) Napoleon Bonaparte – Mały ...
12) „Cztery nieprzyjazne ... są groźniejsze od tysiąca bagnetów”, powiedzenie Napoleona
13) okres powrotu Napoleona do władzy w 1815 r., po ucieczce z Elby
14) Józefina, pierwsza ... Francuzów i królowa Włoch
15) miejsce bitwy stoczonej w październiku 1806 r. podczas kampanii pruskiej
16) ... Napoleona, naczynie z kart powieści Joanny Bator „Chmurdalia”
18) „... Walewska”, tytuł filmu z Gretą Garbo (lub ciasto zwane też pychotką)

19) imię najstarszego syna Napoleona

21) „... do Napoleona”, poemat Byrona

24) Ignacy, wychowany przez ojca w kucie Napoleona („Lalka”)

26) murem za Napoleonem!

28) wyspa z Ajaccio – miejscem urodzenia Napoleona

31) „Ów mąż, bóg wojny, otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny, wprzągłszy w swój ... orły złote obok srebrnych, od puszczy libijskich latą do Alpów podniebnych” (o Napoleonie w „Panu Tadeuszu”)

32) Napoleon niedaleko Maczugi Herkulesa

34) wielka, rozstrzygająca bitwa

35) ... Bonapartych, pierwotnie z dwiema złotymi gwiazdami, później ze złotym orłem cesarskim

37) wieś w pobliżu Wiednia, miejsce wielkiej bitwy w 1809 r.

38) Paulina Bonaparte dla Napoleona

39) ... Powstańców Warszawy, z pomnikiem Napoleona

40) napoleon z procentami

41) kwiaty, którymi kobiety w miejscowości Fréjus obrzuciły Napoleona idącego na Paryż

Pionowo:

1) słodka napoleonka

2) miejsce bitwy wojsk Napoleona z armią Kutuzowa (1812 r.)

3) mieszkanka kraju, w którym obecnie znajduje się miejscowość Waterloo

4) Święta ..., patronka wyspy, na której zmarł Napoleon

5) imię matki Napoleona

6) Burbonowie lub Bonapartowie

7) „... Dąbrowskiego”, z Bonapartem w drugiej zwrotce

8) chłopcy z placów broni

11) imię Michałowskiego, twórcy obrazu „Napoleon na koniu”

17) wolność, równość, braterstwo – ... Wielkiej Rewolucji Francuskiej

18) miasto, w którym papież Pius VII odprawił mszę koronacyjną 2 grudnia 1804 r.

20) złota moneta, którą zastąpił napoleonor

22) ... armii Napoleona spod Moskwy, okupiony wielkimi stratami

23) w pudełeczku z wizerunkiem Napoleona, które nosił książd Robak

25) ... stanu, przejęcie władzy przez Napoleona w 1800 r.

27) zrzeczenie się władzy w kwietniu 1814 r.

28) „Ach, cóż za piękne ... są w Warszawie!”, okrzyk cesarza na balu w 1807 r.

29) ... Warszawskie, utworzone w 1807 r., podporządkowane Napoleonowi

30) Juliusz, autor wiersza „Na sprowadzenie prochów Napoleona”

33) Waterloo przyniosło im sukces

36) odmiana klasycyzmu w sztuce; styl cesarstwa

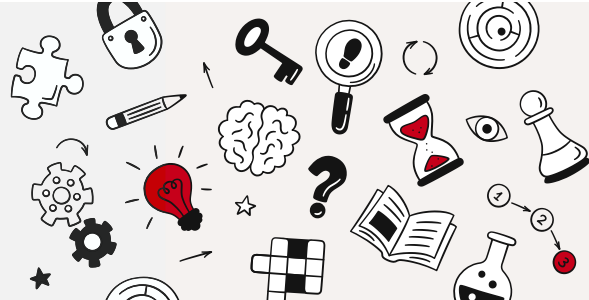
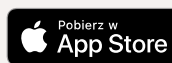
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz
i kiedy chcesz



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

